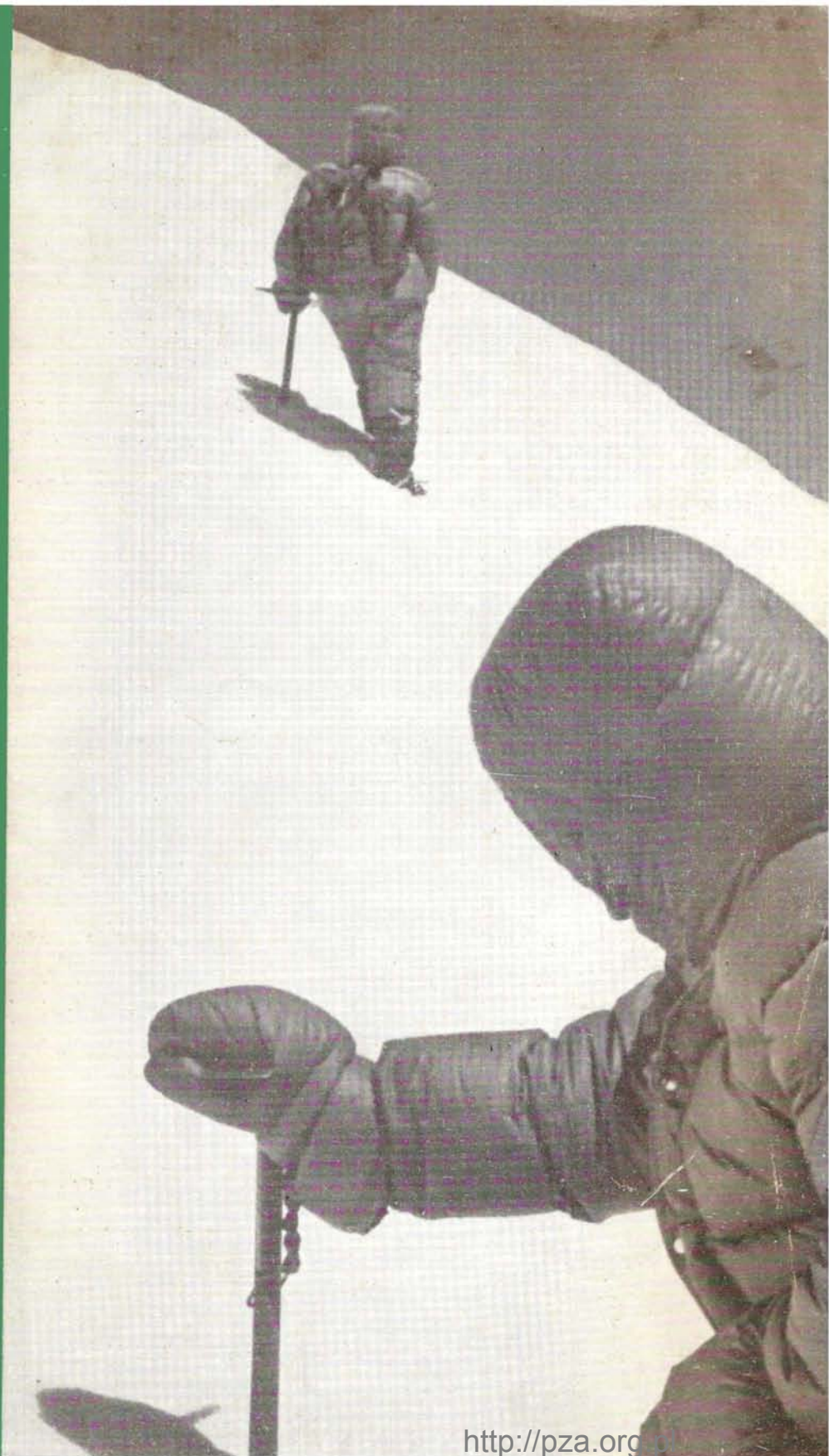


Taternik

1-2

1965



SPIS TREŚCI

Hindukusz a alpinizm polski (Józef Nyka)	1
Hindukusz 1962—1964 (Bolesław Chwaściniński)	2
Siedmiotysięczne masywy Hindukuszu (Jerzy Wala)	7
II Polska Wyprawa w Hindukusz, 1962 (Ryszard W. Schramm i Stanisław Zierhoffer)	9
Kronika grupy poznańskiej (A. Gąsiorowski)	12
Kronika grupy krakowskiej (M. Bała i A. Pąchalski)	14
W poszukiwaniu czołgi na Nadir Szacha (Stanisław Zierhoffer)	15
M 4 czyli Kuh-e Nadir Szach (Antoni Gąsiorowski)	18
Jak zdobyliśmy Kuh-e Mandaras (Stanisław Zierhoffer)	20
Warunki pogodowe (Jerzy Mitkiewicz)	22
Wśród lawin na Kuh-e Tez (Maciej Baranowski)	23
Apropozycja (Marian Bała)	26
Hindukusz 1962 — podsumowanie (Ryszard W. Schramm)	27
Które szczyty zdobyli salzburchy? (Stanisław Biel)	29
III Polska Wyprawa w Hindukusz, 1963 (Andrzej Wilczkowski)	31
Kronika działalności w górach	33
Omówienie i ocena	35
Zdobycie Kiszmi Chana (Bogdan Mac)	39
Lornetka (Andrzej Wilczkowski)	44
W mgłach na szczycie M 2 (Jerzy Michalski)	47
Languta-e Barfi (Jerzy Warteresiewicz)	49
Żeby tu jeszcze wrócić (Jerzy Michalski)	51
Landlord (Max Eiselin)	52
Sprzęt i ekwipunek (Bogdan Mac)	53
Uwagi o żywności (Tadeusz Bartczak)	55
Mówi lekarz wyprawy (Maciej Gryczyński)	56
Polska penetracja Hindukuszu Wachańskiego (Stanisław Biel)	59
Karta żałobna	63
Z piśmiennictwa	64
Aktualności w skrócie	66
Notatki	67
Sprostowania i uzupełnienia	70

Przednia okładka: Pod szczytem Kuh-e Nadir Szach (7125 m), 27 VIII 1962.

Fot. Jan Dobrogowski

Tylna okładka: Widok spod M2 na wschód. Od lewej — Urgend (7038 m) i Kuh-e Szach (6920 m), masyw Languta-e Barfi (7017 m), wreszcie 3 wierzchołki Langaru (7050, 7061 i 7070 m). W dole dolina Szachaur.

Fot. Tadeusz Bartczak

Zdjęcie obok: W drodze na Kuh-e Tez (7015 m) — przed obozem I.

Fot. Marian Bała

Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

Rocznik 41

Warszawa, 1965

nr 1 — 2 (186 — 187)

Hindukusz a alpinizm polski

Uderzmy się w piersi: ilu z nas, sportowo nastawionych taterników, naprawdę zna i docenia polski dorobek wyprawowy ostatnich lat, a zwłaszcza nasz Hindukusz? Kto umie bez zająknięcia wyliczyć „polskie” siedmiotysięczniki, kto wie, że nazwa „Urgend-e Bala” nie kryje w sobie angielskiej transkrypcji nazwiska Bały? Nikt mnie chyba nie posądzi o brak sentymentu do szóstek z plusem i naszych świetnych dokonań na Miżirgi czy Aiguille Verte. Dlatego zupełnie bezstronnie mogę stwierdzić: to, czego w ciągu lat 1960—1963 dokonaliśmy w Afganistanie, legitymuje nas wobec alpinistycznego świata co najmniej tak samo dosadnie, jak nasz niebiały dorobek za ten sam okres w Alpach, Dolomitach i Kaukazie razem wzięty. Za Hindukusz jesteśmy poważani, zachodnie pisma ciągle mówią o tej sferze naszej działalności, na międzynarodowym sympozjum w Salzburgu nie bez przyczyny powierzono przewodniczenie obradom Bolesławowi Chwaścińskiemu.

Hindukusz Wysoki (umownie obejmuję tą nazwą jego gniazdo siedmiotysięczne) jest ostatnio bez wątpienia najmłodniejszym górotworem świata. Czy nie napawa dumą fakt, że jego wachańskie stoki my otworzyliśmy dla Europy? Byliśmy po tej stronie — włączając Noszak — na 5 z ogółem 8 zdobytych siedmiotysięczników (z tego 3 pierwsze wejścia) oraz na 7 z ogółem 13 zdobytych sześciotysięczników (wszystko pierwsze wejścia). Na szczytach siedmiotysięcznych całego Hindukuszu Wysokiego stanęło dotąd 70 alpinistów — w tej liczbie aż 30 Polaków. Nasi koledzy weszli jako pierwsi Europejczycy do wszystkich 10 dolin wachańskiej części tej grupy i wymazali z mapy świata białą plamę o powierzchni ok. 900 km². Z ogółem 30 naniesionych na szki-

ce nazw szczytów, przeszło 20 nadały bądź wprowadziły nasze ekspedycje. „Wyprawy japońska i polska dokonały tu pionierskiej pracy i utorowały drogę innym” — oświadcza dr C. Rathjens w „Mitteilungen des DAV” (nr 1/65, s. 9). Wtórzuje mu „Alpinismus” (nr 2/65, s. 59): „Główną robotę kartograficzną wykonały tu jak dotąd ekspedycje polskie. Na ich (...) podkładach mogła powstać zdalna do użytku mapa granicowa Wysokiego Hindukuszu. Wisi ona w naszej redakcji...”. Brzmi to niewiarygodnie, ale nasza penetracja Wachanu jest chyba największym osiągnięciem odkrywczym polskiej... geografii w ostatnich latach.

To jednak nie wszystko. Nieprzepracowaną wartość ma dla nas także zdobyte doświadczenie. Do r. 1958 współczesne pokolenie alpinistyczne nie wydało żadnego uczestnika wypraw w góry najwyższe. Od wiosny 1960 roku miało takich praktyków 2 (Dhaulagiri), dzisiaj ma ich 33, nie licząc filmowców. Organizacja każdej wyprawy przynosiła nowe zdobycze. Przygotowując II PWH odkryliśmy cenne źródło energii tkwiącej w inicjatywie i patriotyzmie lokalnym środowisk. Korzystna okazała się też kooperacja z zagraniczną organizacją alpinistyczną (GUMS). III PWH, oparta prawie w całości na siłach Koła Łódzkiego, przyniosła rozwinięcie taktyki alpejskiej na gruncie Hindukuszu, zdołała też przełamać praktykę pielgrzymek na siedmiotysięczniki, odbywanych kosztem niewykorzystanych możliwości dalszych zdobyczy. Pewne błędy pozostały jeszcze do usunięcia. Wszystkie nasze wyprawy startowały zbyt późno — łódzka przybyła na miejsce akcji 26 sierpnia! Kosztowało nas to m. in. utratę pierwszeństwa na Noszaku i Kiszmi Chanie. Zbyt nisko — zauważył to J. Wala — instalowaliśmy bazy

główne (średnia dla naszych wypraw 4090 m, Szwajcarzy 4550 i 4650 m, Styryjczycy 4600 m). W niezgodzie z prawami aklimatyzacji rozpoczynaliśmy działalność od szturm na szczyty siedmiotysięczne, niższe obiekty pozostawiając na koniec pobytu w górach...

Czy w najbliższych latach będziemy mieli sposobność, by te doświadczenia rozwinąć i wykorzystać? Niewątpliwie jest to dla naszego Klubu jeden z nakazów chwili. Potęgi alpinistycznej nie można budować na samych tylko sukcesach sportowych — Claudio Boulevard jest z pewnością fenomenalnym wspinaczem, ale nikt by go nie nazwał „wielkim alpinistą”. A gdzie mamy szukać gór siedmiotysięcznych tak tanich dla nas, jak Hindukusz? Wbrew pozorom jest tam jeszcze ogromnie dużo do zrobienia. Jak wynika z zestawień J. Wali (s. 7—8) w samym tylko Hindukuszu Wysokim pozostały jeszcze do zdobycia 4 szczyty siedmiotysięczne i ok. 13 wierzchołków przekraczających tę wysokość. Są tam cudowne problemy wysokościowo-sportowe, jak choćby ów napoczęty przez łodźcian filar Szachaura. Jest możliwość dokonywania wielkich trawersowań granitowych, jest wreszcie kilka nie zwiedzonych przez nas kolosów siedmiotysięcznych i tłum — często pięknych — wierzchołków 6- i 5-tysięcznych. A przecież Hindukusz Wysoki to jeszcze nie wszystko.

Ma pełną rację Bolesław Chwaściński pisząc w swym artykule, że w latach 1960—

1963 zapelniała się „piękna karta dziejów naszego taternictwa”. Dodajmy od siebie, że jedna z najpiękniejszych kart, i wyrażmy gorące podziękowanie ludziom, którym to zawdzięczamy, a którzy narażali się na nerwice oraz przedwczesne siwizny, biorąc na siebie gorzki i zawsze niedoceniany trud organizowania ekspedycji. Nazwiska są zbyt dobrze znane, by trzeba je tu było jeszcze wymieniać.

*

Niniejszy zeszyt „Taternika” zawiera podsumowanie osiągnięć dwu ostatnich polskich wypraw. Układem, a nawet kolorem okładki, stara on się dowiązać do bogatego zeszytu 2—4/1962, którego egzemplarze są jeszcze do nabycia w magazynie ZG KW. Za pomoc w opracowaniu i życzliwe uwagi redakcja składa podziękowanie Helenie Stawińskiej, Bolesławowi Chwaścińskiemu, Bogdanowi Macowi, Ryszardowi W. Schrammowi, Jerzemu Wali i Andrzejowi Wilczkowskiemu. Miejmy nadzieję, że tę szczegółową relację z wypraw wezmą do ręki nie tylko kombatan ci dotychczasowych naszych wyjazdów w Hindukusz, ale również ogół taterników i alpinistów sportowych. Ostatecznie — trawestując znane już zdanie Justyna Wojsznisa — gdzieś tam w mglistej perspektywie każdy z nas ma swój siedmiotysięcznik, do którego dąży.

JÓZEF NYKA

Hindukusz, 1962-1964

Bolesław Chwaściński

Gdy w r. 1960 wyruszała w Hindukusz I Polska Wyprawa, góry te należały bez wątpienia do najmniej zbadanych zakątków świata. Odnosiło się to zwłaszcza do Hindukuszu Afgańskiego. Hindukusz Pakistański, opanowany pod koniec XIX w. przez Brytyjczyków, był już sporadycznie zwiedzany przez podróżników tej narodowości. Kartografowie z *Survey of India* nie tylko przebywali w dolinach, ale aby objąć pomiarami jak największy obszar wchodzili też na łatwiejsze wierzchołki i przełęcze. Powstała mapa Hindukuszu Czitralskiego w podziale 1 : 126 729.

Najwyższy szczyt Hindukuszu, z dala widoczny Tiricz Mir (7700 m), już w latach przedwojennych zaczął zwracać uwagę alpinistów. Usytuowany w Czitralu, atakowany był głównie przez miejscowych oficerów

brytyjskich. Zdobyty został w r. 1950 przez Norwegów, jako pierwszy z hindukuszkich wierzchołków mających alpinistyczne znaczenie. Po Norwegach przyszły dalsze wyprawy. Padły wznoszące się również w Czitralu następne co do wysokości szczyty Hindukuszu: Istor-o Nal (7398 m) w r. 1955 i Saragar (7349 m) w 1959. Uległ też ludziom nieco dalej leżący Buni Zom (6551 m) i wznoszący się w Swacie Falak Sar (5918 m).

Przyczyny natury historycznej, politycznej i gospodarczej spowodowały, że Hindukusz Afgański nie tylko nie był spenetrowany przez podróżników, ale nawet naniesiony na mapy. Leżąc na uboczu głównego nurtu alpinistycznego, kierującego się przede wszystkim w Himalaje i Karakorum, nie zwracał też na siebie uwagi alpinistów. Pierwsze szczyty w grani głównej zdobyto w r. 1959.

Były to 3 czterotysięczniki w pobliżu przełęczy Andżuman (4225 m), na które weszli norymberczycy, po uprzednim zdobyciu pobliskiego Mir Samira (6059 m). Były to jednocześnie pierwsze wierzchołki zdobyte w Hindukuszu Afgańskim.

Polacy torują drogę

I Polska Wyprawa wyruszyła w Wachan, najwyższą część Hindukuszu Afgańskiego. Tu wznosił się w grani głównej nie pokonany dotąd Noszak (7492 m), drugi co do wysokości szczyt Hindukuszu. U jego stóp spotkano wyprawę japońską. Obie one — japońska i polska — były pierwszymi wyprawami atakującymi szczyty Hindukuszu od północy. Drugie wejście na Noszak, które przypadło w udziale Polakom (27 VIII 1960), podwyższyło polski rekord wysokości, nie pobity od r. 1939, od czasu wejścia J. Bujaka i J. Klarnera na Nanda Devi Wschodnią (7434 m) w Himalajach. Był to jednocześnie pierwszy siedmiotysięcznik współczesnego polskiego pokolenia alpinistycznego.

W r. 1961 w Wachanie nie było znowu nikogo. W 1962 przybyła tu II Polska Wyprawa, zorganizowana przez środowiska krakowskie i poznańskie KW. Grupy obu tych kół rozdzieliły się w terenie i każda z nich rozpoczęła niezależną działalność. Padły nowe siedmiotysięczniki: Kuh-e Nadir Szach (7125 m) i Kuh-e Tez (7015 m), a nadto szereg sześciotysięczników.

Wyprawy z lat 1960 i 1962 zapoczątkowały ekspansję alpinizmu europejskiego w Hindukuszu Wachańskim. Nie ulega wątpliwości, że ekspedycje zachodnioeuropejskie i tak wyruszyłyby w te góry. Trudno sobie wyobrazić, aby w dobie tak intensywnej eksploracji wszystkich gór świata, Hindukuszu utrzymał się jeszcze długo nieznanymi i niezbadanymi. Wszak już w r. 1960 w Hindukuszu Munżańskim, na północ od przełęczy Andżuman, przebywały dwie wyprawy — niemiecka i brytyjska. Polacy jednak jakby przypomniałi nagle światu alpinistycznemu o istnieniu w tych górach matecznika siedmiotysięcznych szczytów. Działalność polska nie ograniczyła się przy tym jedynie do zdobywania wierzchołków. Grań główna Hindukuszu na odcinku wachańskim była co prawda naniesiona na mapy *Survey of India*, ale pomierzono ją od południa, z Czitrалу. Długie grzbiety odgałęziające się na północ, a także objęte przez nie doliny, były na tych mapach jedną wielką białą plamą. Polskie wyprawy z grubsza opracowały topograficznie ten teren afgański, dokonując w tym celu nieraz wejść na szczyty dające rozległe widoki. Kopie i odrisy polskich szkiców topograficznych zaczęły krążyć po całej Euro-



Szwajcarski atak na Urgend (7038 m — w głębi), wrzesień 1963. Na flance poniżej obozu I (5400 m).

Fot. Schweizerische Hindukusch-Expedition

pie. Ta strona naszej działalności niewątpliwie przyspieszyła ekspansję europejską w Hindukuszu Wachańskim.

Austria, Szwajcaria, Włochy, Polska

Na jesieni 1962 r. zjawili się w Wachanie pierwsi Austriacy. Był to na razie rekonesans, na którego czele stał S. Kutschera. Korzystając ze szkiców topograficznych naszych wypraw skierowali się pod Kiszmi Chana (7177 m). W następnym roku (1963) Wachan był już dosłownie zapchany wyprawami. Pierwszy zjawiał się S. Kutschera na czele *Oesterreichische Hindukusch-Expedition 1963 der Montanistischen Hochschule Leoben*. W skład grupy wchodził ponadto A. Maier, R. Weiss i W. Pongratz. Wyprawa zdobyła Kiszmi Chana, wchodząc na niego od północy. 27 VII stanęli na wierzchołku Kutschera i Pongratz, następnego dnia wejście powtórzyli Maier i Weiss. Uległy też wyprawy 2 dziewięciotysięczniki.

Pojawiają się w Wachanie i Szwajcarzy. Są to M. Eiselin (kierownik wyprawy), S. Burkhardt, H. Ryf, A. Strickler i V. Wyss.

4 IX weszli oni na Urgend (7038 m), dokonali też przedtem wejść na Szach Dhar (6550 m) i Urup (5650 m). Dalej na wschód od terenu działalności poprzedników ruszyła wyprawa włoska w składzie G. C. Castelli, G. C. Biasin, F. Chierigo, G. Cosulich i P. Guj, kierowana przez C. A. Pinello, współzdobywcę Saragraru (7349 m). I ona miała w planach zdobycie Kiszmi Chana, otrzymawszy jednak zezwolenie na penetrację dziewiczej grupy Lunho (6890 m), wybrała tę drugą jako teren działalności. 7 VIII Włosi dokonali w tym rejonie I wejścia na Baba Tangi (6513 m).

W dolinie Kazi Deh działały równolegle dwie dalsze wyprawy austriackie: *Steirische Hindukusch-Expedition 1963* (G. Gruber, kierownik, R. Pischinger, M. Schober, S. Weber, N. Zernig) oraz *Oberösterreichische Hindukusch-Kundfahrt 1963* (H. Pils, kierownik, S. Jungmaier, M. Hofpointner i G. Werner). Obie te wyprawy połączyły się: 21 VIII zdobyte zostało Ramię Noszaka (ok. 7350 m, I wejście), a następnie wierzchołek główny (7492 m, III wejście). Również wschodni wierzchołek (7480 m, I wejście) padł ich łupem. Po tych wejściach wyprawa styryjska wyjechała, natomiast druga powtórzyła wejście na Chorpuszt-e Jahi (5698 m) oraz zdobyła atakowany w r. 1960 przez Polaków szczyt Gunbaz-e Safed (ok. 6800 m), na którym 30 VIII stanęli Hofpointner, Pils i Jungmaier.

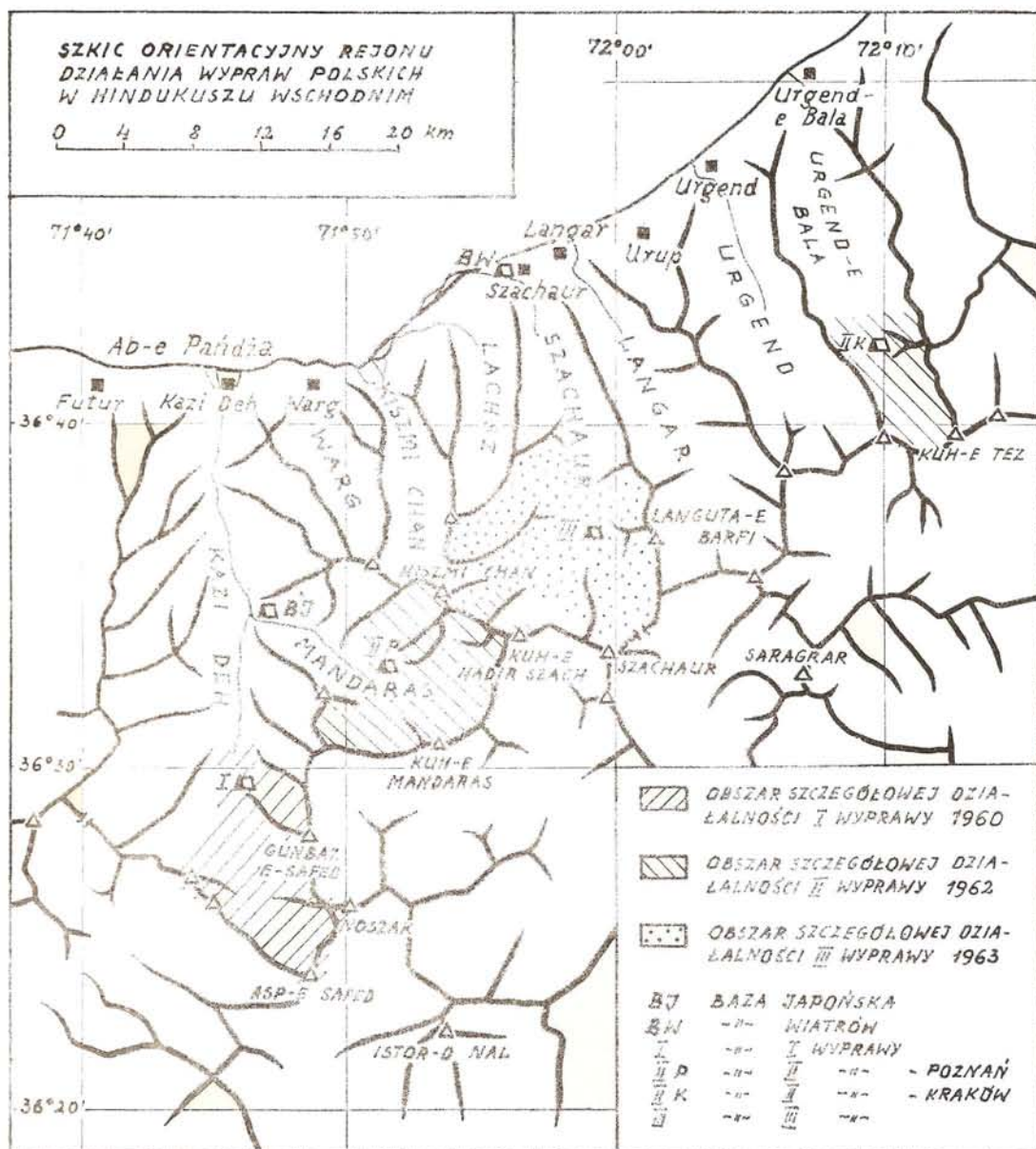
Od strony Czitrалу posunęła się w głąb Hindukuszu jeszcze jedna wyprawa austriacka. Była to *Hindukusch-Kundfahrt der Hochtouristengruppe Salzburg* (M. Schmuck, M. Gmachel i W. Frisch), która działała w rejonie lodowca Hurusko-Ku. Jej uczestnicy weszli 20 IX na Kuh-e Szogordok (ok. 6700 m), skąd kilometrową granią przeszli na Kuh-e Szajoz (6856 m). Była to pierwsza wyprawa atakująca grań główną od południa.

Wszystkie te zachodnioeuropejskie ekspedycje korzystały z polskich szkiców terenowych, na które się często w swych relacjach powołują. Sami Polacy zjawili się znów w Wachanie w r. 1963. Była to III Polska Wyprawa, zorganizowana przez Łódzkie Koło KW. Trudności organizacyjne sprawiły, że na miejsce dotarła ona dopiero w końcu sierpnia. Kiszmi Chan, główny cel wyprawy, był już zdobyty. Powtórzyła się historia z Noszakiem, jednakże łodzianie nie zrezygnowali: dokonali III i IV wejścia na ten szczyt, wchodząc na niego jako pierwsi z doliny Szachaur. Zapisali też na swoim koncie szczyt Languta-e Barfi (ok. 7000 m, I wejście) oraz dwa piękne sześciotysięczniki. Ich ambitny atak północnym filarem na Szachaur załamał się z powodu zbyt spóźnionej pory (1—4 października). Grupa kontynuowała również działalność kartograficzną, zapoczątkowaną i rozwiniętą przez poprzednie nasze wyprawy.

Hodża Mohammed. Widok z grupy Imun na wschód, ku Kuh-e Bandakor (6660 m). Na prawo grupa Rachuy.

Fot. DAV AS München





Opracował Ryszard W. Schramm na podstawie map zespołu krakowskiego.

Rok 1964

W r. 1964 w rejon Wachanu przybyła tylko jedna wyprawa. Na jej czele stał D. von Dobeneck, jeden z organizatorów ekspedycji w Hindukusz Munżański w r. 1961. Oprócz Dobenecka w *Deutsche Wakhan-Expedition* 1964 udział wzięli: K. Brenner, O. Huber, K. Kirch, K. Winkler oraz dwaj naukowcy: P. Mirwald (geolog) i H. Roemf (botanik). W dniach 5–8 VII wyprawa zdobyła 3

wierzchołki Langaru (północny, ok. 7050 m, główny, 7070 m i południowo-wschodni 7061 m), po czym przeczuli się dalej na wschód. Na południku 74° weszła 30 VII na szczyt Kuh-e Bay Kara (5426 m), a następnie udała się w Mały Pamir, gdzie zdobyła Kuh-e Batjens i stwierdziła, że bezpośrednio na zachód od przełęczy Barogil wznoszą się wspaniałe, nieznanne, wysokie szczyty. I ta wyprawa wiozła z sobą polski szkic topograficzny.

Od południa przybyła pod grań główną inna wyprawa — austriacka *Steirische Hindukusch-Expedition 1964* pod kierownictwem G. Grubera. Towarzyszyli mu: żona Hildgund, R. Göschl, R. Pischinger i H. Schindlbacher. 17 VIII padł Szachaur (7116 m), ku północy opadający lodowym urwiskiem, lecz od południa dający szerokie możliwości wejścia. 19 VIII zdobyli też Austriacy wznoszący się w grani bocznej Udren Zom (7131 m). Szczyt ten ochrzczili tym imieniem, stwierdziwszy, że dolina, nad którą panuje, nazywana jest przez ludność miejscową Udren-Gol, a nie „Atrak”, jak podają mapy *Survey of India*. Powtórzyli też 20 VIII wejście na Kuh-e Nadir Szach (7125 m) — nową drogą, od wschodu.

W r. 1964 zostaje również pokonany wschodni wierzchołek Tiricz Mir (7692 m). Zdobyła go w trudnej wspinaczce wyprawa norweska, której i tym razem przewodził A. Naess, kierownik zwycięskiej ekspedycji norweskiej z r. 1950 na główny wierzchołek Tiricz Miru (7700 m).

W Hindukuszu Munzańskim

Równoległe z Hindukuszem Wachańskim odbywa się — jeszcze intensywniejsza — eksploracja Hindukuszu Munzańskiego.

W r. 1962 w górnej części Doliny Munzańskiej działała *Bamberger Hindukusch-Kundfahrt 1962* (S. Ziegler, R. Fürst, K. Gross, W. Patzelt, O. Reus i H. Vogel). 26 VII padły szczyty Kuh-e Mondi (6248 m) oraz położony obok Kuh-e Jjumi (6020 m). Na południe od przełęczy Weran dokonano wejść na kilka pięciotysięczników. *Rosenheimer Hindukusch-Kundfahrt 1962* (W. Kaesweber, B. Sinnesbichler i A. Stadler) zdobyła 13 szczytów pięciotysięcznych w rejonie doliny Kyriagu i jej bocznych odgałęzień — Katatara, Kalodak, Kaszau i Czabtera.

Garmisch-Partenkirchner Hindukusch-Kundfahrt 1963 (T. Trübswetter, I. Trübswetter, V. Gazert, K. Holch i Ch. Speer) działała w otoczeniu dolin Ibler i Sachi. Zdobyto szereg pięciotysięczników. Z doliny Sachi, Holch i T. Trübswetter powtórzyli 17 VII drogę berlińczyków z r. 1960 na Kuh-e Bandakor (6660 m). Z południowego wierzchołka przeszli na północny (ok. 6400 m, I wejście). Tego samego dnia zdobyli też Kuh-e Bandaka Sachi (ok. 6200 m) w tej samej grupie. Gazert, Speer oraz I. Trübswetter przekroczyli następnie przełęcz Ramgul (ok. 4700 m). *Stuttgarter Hindukusch-Kundfahrt 1963* (R. Reiser, W. Lutz, D. Grundig i A. Kehrle) przeprowadziła się z doliny Andżuman do doliny Bologron, gdzie zdołała zdobyć aż 22 pięciotysięczniki.

W r. 1963 został po raz pierwszy zwiedzony przez Europejczyków nieznanymi zupełnie

i tajemniczy łańcuch Hodża Mohammed. Spenetrowała go wyprawa *Hindukusch-Kundfahrt 1963 der Akademischen Sektion München* (A. v. Hillebrandt, E. Grötzbach, E. Rübél, R. Köfferlein, J. Edrich, H. Huber oraz dr Baszir A. Samil z Kabulu). Sześciotysięczników, o których wspominała wyprawa berlińska na Kuh-e Bandakor (1960 r.) nie znaleziono, ale teren okazał się nadspodziewanie ciekawy pod względem alpinistycznym. Sięgające 7—8 km lodowce wypełniają doliny otoczone strzelistymi szczytami, których wysokość przekracza 5500 m. Rok 1964 przyniósł nową wyprawę monachijczyków w Hodża Mohammed. Niestety zakończyła się ona tragiczną śmiercią E. Rinkla i W. Straassa, zamordowanych w obozie przez bandytów (zob. s. 67).

München-Kemptener Hindukusch-Kundfahrt 1964 (kierownik Neugler) eksplorowała teren graniczny między Munżanem a Nuristanem. *Hindukusch-Kundfahrt 1964* pod kierownictwem J. Rufa z Hamburga, nie otrzymawszy pozwolenia na wjazd do Wachanu, działała w rejonie przełęczy Dorah (4554 m), wchodząc na szereg pięciotysięczników oraz kilka szczytów czterotysięcznych.

I co dalej?

Mineło zaledwie 5 lat od Pierwszej Polskiej Wyprawy w Hindukusz i eksploracja tych gór między południkami 71°45'E i 72°15'E, to jest części najbardziej nas interesującej, dobiega końca. Został tam jeszcze jeden samodzielny siedmiotysięcznik — Acher Czioh (7020 m, zob. zdjęcie s. 60). Gdy piszę ten artykuł, w Kabulu przebywa wyprawa naszych przyjaciół czechosłowackich. I ona zamierza atakować ten szczyt — szczerze życzymy jej powodzenia. Na jeden z siedmiotysięcznych trabantów Istor-o Nalu wybiera się T. Trübswetter... Pozostały jeszcze trabanty Tiricz Miru o podobnej wysokości, a w masywie Noszaka szczyty 7219 i 7291 m. I to już z grubsza wszystkie wolne jeszcze ciekawsze wierzchołki siedmiotysięczne, a i one pewnie nie ostoja się długo.

W tym jakby wyścigu, który miał miejsce w Hindukuszu Wachańskim w latach 1960-65, w wyścigu ku nie zdobytym szczytom, nie zabrakło i nas. Więcej — byliśmy pionierami, którzy torowali drogę następcom.

Eksploracja najwyższej części Hindukuszu jest na ukończeniu. Nie oznacza to jednak, że podobnie jest z całym Hindukuszem. Od doliny Urgend-e Bala potężny łańcuch górski ciągnie się dalej na wschód. Ciągłe jeszcze nieznanne szczyty wznoszą się w nim nad równie nieznanymi dolinami, czekając

na odkrywców i zdobywców. W grupie Lunho byli Włosi. Około przełęczy Barogil działali Niemcy. Padło kilka szczytów. Ale ile pozostało ich jeszcze w tych 250 kilometrach grani głównej? A ile w jej bocznych odgałęzieniach? Fotografie wskazują, że XIX-wieczne opisy wschodniej części grzbietu Hindukuszu, mówiące o kopulastych kształtach szczytów, mocno odbiegają od rzeczywistości. Jak tam jest naprawdę? Nie wiemy. A czy może być bardziej pociągający cel dla alpinisty-odkrywcy, niż góry o których nic nie wiadomo?

Hindukusz jeszcze długo pozostanie dla nas najłatwiej dostępnymi wielkimi górami o wielu nie zdobytych jeszcze szczytach sześć- i pięcioletnich. A przecież jest jeszcze Safid-i Hirs w zakolu Ab-e Pańdza, są Góry Wachańskie na Pamirze...

W Hindukuszu Wachańskim byliśmy pionierami. Być może, iż dalsze i dokładniejsze pomiary obniżą wysokości niektórych szczytów zdobytych przez Polaków. Nie jest wykluczone, że obliczenia Burna i Cadella z lat 1928-29 zawierają pewne błędy. Jednakże działalność nasza, która zapoczątkowała eksplorację najwyższej części Hindukuszu, która poprzez swe prace topograficzne tak bardzo ułatwiła innym penetrację tych gór, i która wreszcie dała nam w wyniku zdobycie 5 siedmiotysięczników (w tym 3 przedtem nie zdobytych), 7 sześciotysięczników i 5 pięcioletnich, pozostanie nie tylko piękną kartą dziejów naszego taternictwa, ale i trwałą częścią historii alpinizmu światowego.

Dolina Staroleśna — Warszawa 1965.

Siedmiotysięczne masywy Hindukuszu

Jerzy Wala

W najwyższej grupie Hindukuszu Wschodniego skupione są wszystkie masywy przekraczające wierzchołkami wysokość 7000 m. Masywów tych można wyróżnić 8, naturalnie przy założeniu, że koty podane na mapach wydanych w podziałce 1:126 720 przez *Survey of India* (1931), i oparte na nich obliczenia wysokości innych wierzchołków, są w miarę ścisłe. Posuwając się z południa na północny wschód będą to:

Masyw Tiricz Mir (Tirich Mir). Najwyższy w Hindukuszu, posiadający 2 wierzchołki: główny (7700 m) i wschodni (7692 m). Ponadto w grani północno-zachodniej, oddzielonej szerokim śnieżnym siodłem, można wyróżnić 2 wierzchołki po ok. 7500 m, a w dalszym jej przedłużeniu — niższy, lecz samodzielny szczyt 7056 m. Poza głównym i wschodnim, pozostałe wierzchołki nie zostały dotąd zdobyte.

Masyw Noszaka (Noshaq). Wyróżnić w nim można 3 samodzielne szczyty: 1. Noszak (7492 m) z 4 niezbyt wyraźnymi wierzchołkami, z których dla wschodniego (7480 m) proponuje się nazwę Noszak-e Szargi, a dla zachodniego (ok. 7350 m) — Noszak-e Gharbi. Ten drugi wierzchołek był przez I PWH nazywany Ramieniem Noszaka; kota 7220 m podana dla niego przez Austriaków jest w stosunku do pozostałych wierzchołków masywu zdecydowanie za mała. 2. Trójwierzchołkowy szczyt 7291 m wzno-

szący się na wschód od Noszaka w grani ku Istor-o Nal i oznaczony na zdjęciu w „Alpinismus” 12/64 s. 33 „Noshaq-Ostkamm”. 3. Wznoszący się również w bocznej grani, nieco na północ od Noszaka, szczyt 7219 m. Oba ostatnie szczyty nie zostały dotąd zdobyte i nie posiadają nazw.

Masyw Istor-o Nal ma 3 wierzchołki: główny (7398 m), odsunięty ku północy zwornik (7247 m) oraz usytuowany na wschód od zwornika wierzchołek ok. 7100 m. Jak dotąd, zdobyty został tylko główny, oba pozostałe, nie posiadające nazw, proponuje się oznaczyć cyframi II i III. Pomiedzy masywami Noszaka i Istor-o Nala znajduje się niezbyt wybitny kopulasty szczyt o wysokości bez mała 7000 m (6999 m), również nie zdobyty.

Langar (7050, 7070 m) — widok od północy

Fot. Deutsche Wakhan-Expedition

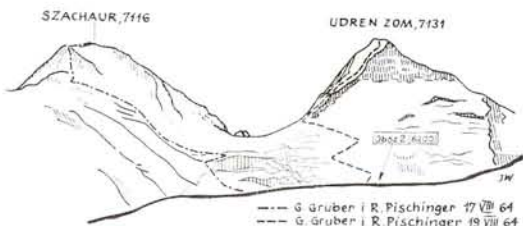


Masyw Udren Zom tworzą 3 samodzielne szczyty: Udren Zom (7131 m), Szachaur (7116 m) i Kuh-e Nadir Szach (7125 m). Wielkim łukiem swoich grani otaczają one tarasowaty kocioł lodowcowy zawieszony ponad lodowcem Udren Północnym, po którego osiągnięciu Austriacy w r. 1964 łatwo już mogli wejść na wszystkie trzy wierzchołki. Dla Kuh-e Nadir Szacha mapa brytyjska podaje kotę 7125 m, jest on jednak zdecydowanie niższy od Szachaura. Bez dokładnych pomiarów nie da się jednak ocenić, który z nich ma błędną wysokość, wydaje się, że Kuh-e Nadir Szach.

Masyw Kiszmi Chana, wznoszący się w grani wybiegającej na północny zachód od Kuh-e Nadir Szacha, spina jak klamra granie rozchodzące się w różnych kierunkach, sam tworząc śmiałą w kształtach piramidę osiągnąca wysokość 7177 m (wg pomiarów i obliczeń III PWH).

Masyw Languta-e Barfi. Podobnie jak Kiszmi Chan, tworzy on samodzielny szczyt. Pozioma grań ze słabo zaznaczonym obniżeniem łączy odległe od siebie o ok. 400 m dwa wierzchołki: wyższy północno-zachodni (7017 m) i nieco niższy południowo-wschodni, dotąd nie zwiedzony. Wysokość podana jest wg pomiarów i obliczeń III PWH. Wierzchołek II usytuowany jest w grani głównej i stanowi zwornik dla grzbietu odchodzącego na północny zachód.

Masyw Saragraru jest najrozleglejszy i posiada najwięcej wierzchołków przekraczających 7000 m. Jest ich razem 10, z czego dotychczas zdobyto 4. Trzy wierzchołki tworzą najwyższe spiętrzenie masywu. Jest to Saragrar (7349 m) wraz z wierzchołkiem południowym (ponad 7300 m) i usytuowanym na wschód od niego — południowo-wschodnim (7307 m). Za nimi znajduje się jeszcze jeden, znacznie już niższy. Z całej tej czwórki tylko najwyższy został dotąd zdobyty. Dla wierzchołka południowego na szkicu Austriaków podano — chyba szacunkowo — wysokość 7350 m, sugerując, iż jest on w całym masywie najwyższy. W grzbiecie biegnącym od Saragraru ku grani głównej można wyróżnić 6 wierzchołków. Pierwszy z nich (7040 m), to jakby przedwierzchołek — zdobyli go Włosi w r. 1959. Następny, najniższy w masywie, wznosi się w środku największego obniżenia grani. Nie posiada koty, powinien jednak osiągać 7000 m. Następnie mamy 4 wierzchołki wielkim łukiem okalające taras lodowcowy. Przyjęła się dla nich nazwa Langar. Pierwszy, znajdujący się nieco w bok od grani, to Langar IV (7061 m), w „Alpinismus” 12/64 nazwany „Hinter-Langar”. Następne, usytuowane już



4 Widok z grani Nadir Szacha na wschód. Drogi wejściowe Steirische Hindukusch-Expedition 1964. Opracował Jerzy Wał na podstawie zdjęcia H. Schindibachera.

w grani, to Langar III (ok. 7050 m), Langar I (ok. 7070 m) i Langar II (ok. 7050 m). Ten ostatni, oddzielony dość głębokim siodłem, wznosi się już w grani głównej i jest zwornikiem dla całego masywu. Wysokości tych wierzchołków ustalone są szacunkowo, przez porównanie z kotą 7061 m. Na kopii wykonanej dla czechosłowackiej wyprawy w Hindukusz ze szkicu orograficznego Austriaków, sporządzonego m. in. w oparciu o podkłady polskie, kota 7061 m przeniesiona jest na wierzchołek Langer I, natomiast Langar IV ma kotę 6950 m. Przyczyna tej zmiany nie jest znana, nie wydaje się jednak uzasadniona. W myśl zasady przyjętej przez wyprawy polskie, nadawanie nazwy Langar wierzchołkom I, III i IV nie jest w pełni uzasadnione, przemawia jednak za tym fakt, że wszystkie one są najłatwiej osiągalne właśnie z doliny Langar.

Masyw Urgendu wznosi się w grani głównej, tworząc potężny wał o kierunku równoleżnikowym, nieco wygięty ku północnemu wschodowi. Z jego grzbietu wyrasta 6 wierzchołków, z których 3 przekraczają 7000 m. Pierwszy z nich (idąc od zachodu) jest najwyższym wzniesieniem całego masywu i nosi nazwę Urgend (7038 m), następnie grań się nieco obniża, by w piątym z kolei wierzchołku, pięknym i regularnym stożku Kuh-e Tez osiągnąć 7015 m. Stąd grań główna zwraca się ku północy, by po okrążeniu górnych pięter lodowca Kotgaz skierować się ponownie na północny wschód. Głęboka przełęcz oddziela Kuh-e Tez od przedostatniego wierzchołka masywu — Acher Czioh (7020 m), wznoszącego się już po stronie pakistańskiej.

Acher Czioh — „Ostatni Tęgi” — jest najdalej na wschód wysuniętym siedmiotysięcznikiem całego Hindukuszu. Niemniej pasmo to ciągnie się jeszcze dalej ku wschodowi, kryjąc w sobie szereg nie znanych bliżej szczytów przekraczających wysokość 6800 m.

II Polska Wyprawa w Hindukusz (1962)

Gdy 27 sierpnia 1960 r. 7 uczestników I Polskiej Wyprawy w Hindukusz stanęło na szczycie Noszaka (7492 m), otworzyła się przed nimi, szczególnie ku północy i północnemu wschodowi, olbrzymia panorama Hindukuszu Wschodniego. Góry te, których grzbietem biegnie granica między pakistańskim Czitraliem od południa, a afgańską prowincją Wachan od północy, słabo tylko poznane od strony Czitralu, od strony afgańskiej były jeszcze zupełnie dziewicze — nie eksplorowane, nie naniesione na żadne mapy. Nie była zwiedzona żadna z dolin lewo-brzeżnych dopływów Ab-e Pańdża na wschód od doliny Kazi Deh aż po Mały Pamir, nie był zdobyty żaden z dziesiątków, może setek, szczytów sześciotysięcznych i kilkunastu zapewne siedmiotysięczników.

W końcowej fazie wyprawy zapadła decyzja przeprowadzenia szybkiego rekonesansu w głąb doliny Mandaras. Na podstawie posiadanych map i widoku z Noszaka, w otoczeniu tej doliny spodziewano się zastać szczyty przekraczające wysokością 7000 m. 12 IX weszła tu trójka K. Berbeka, J. Mostowski i S. Zierhoffer, osiągając w dniu następnym najwyższe piętro o wysokości ok. 5000 m. W zaworze doliny wznosił się wielką czarną ścianą potężny szczyt, bez wątplenia siedmiotysięczny, zaś po obu jego stronach szereg sześciotysięczników.

Wykonane w czasie rekonesansów i ze szczytu Noszaka zdjęcia i namiary kierunkowe pozwoliły, po dowiązaniu ich do obejmującej Czitral mapy *Survey of India*, na stworzenie z gmatwaniny grani i szczytów pierwszego schematycznego szkicu afgańskiej części najwyższych obszarów Hindukuszu Wschodniego. Rekonesanse na przełęcz nad doliną Warg i do doliny Mandaras wykazały naocześnie obecność szczytów siedmiotysięcznych, stosunkowo niezbyt odleg-

łych od drogi wiodącej afgańskim brzegiem Ab-e Pańdża.

Podsumowanie wyników pionierskiej I Polskiej Wyprawy w Hindukusz wypadło nadspodziewanie korzystnie i zachęcająco. Wyprawa spotkała się z życzliwym przyjęciem i korzystała z dużej pomocy ze strony władz afgańskich. Koszty, głównie dzięki tanioci przejazdu przez ZSRR, okazały się nieporównanie niższe, aniżeli w jakiegokolwiek innej wysokiej góry. Teren został w dużej mierze rozpoznany i zapowiadał możliwości dalszych zdobyczy o wartościach na miarę światową. Wszystkie te czynniki czyniły z Hindukuszu afgańskiego teren niezwykle atrakcyjny dla polskiego alpinizmu. Zdecydowało to w Klubie Wysokogórskim o postanowieniu kontynuowania eksploracji alpinistycznej tych gór.

Organizacja

W ciągu zimy i wiosny w 1961 r. do ZG KW wpłynęło szereg wniosków kół terenowych o powierzenie im organizacji drugiej wyprawy w Hindukusz afgański w lecie 1962 r. Na plenarnym posiedzeniu ZG w maju 1961 r. w Krakowie uchwalono powierzyć organizację wyprawy dwóm kołom: Poznańskiemu i Krakowskiemu. Postanowiono też, że wyprawa będzie miała w zasadzie charakter centralny, będzie finansowana częściowo przez ZG KW i wspólnie załatwi sprawy kontaktów z władzami krajowymi i zagranicznymi. Natomiast baza materiałowa przygotowywana będzie przez oba środowiska oddzielnie, a w terenie obie grupy będą prowadziły działalność niezależnie od siebie. Koordynację przygotowań do czasu wyznaczenia kierownika powierzono Stanisławowi Zierhofferowi z Poznania. Zarząd Koła Poznańskiego mianował go też

kierownikiem grupy poznańskiej; kierownikiem grupy krakowskiej został Stanisław Biel. W marcu 1962 r. ZG KW powierzył Zierhofferowi oficjalnie kierownictwo całości wyprawy.

W skład grupy **poznańskiej** weszli ostatecznie: Henryk Dembiński (l. 32), Jan Dobrogowski (l. 28), Antoni Gąsiorowski (l. 30), Jerzy Mitkiewicz (l. 35), Ryszard Wiktor Schramm (l. 42, zastępca kierownika grupy), Jan Stryczyński (l. 31, lekarz) i Stanisław Zierhoffer (l. 37, kierownik grupy i całości wyprawy). W składzie **grupy krakowskiej** znaleźli się: Marian Bała (l. 31), Maciej Baranowski (l. 27), Stanisław Biel (l. 33, kierownik grupy), Henryk Ciončka (l. 33), Karol Jakubowski (l. 35), Roman Łazarski (l. 32) i Adam Pąchalski (l. 36, lekarz). Do składu wyprawy dokończono poza tym dwóch kolegów z Koła Warszawskiego KW, Jerzego Krajskiego (l. 33) i Kazimierza Waldemara Olecha (l. 34).

Sprawę uzyskania dewiz rozwiązano przez zaproszenie do udziału w wyprawie czterech alpinistów francuskich z Groupe Universitaire de Montagne et Ski (GUMS). Byli to: Jean Brunaud (l. 41), Michel Ginat (l. 32), Bernard T. Langevin (l. 36, kierownik grupy francuskiej) i François Moreau (l. 33). Weszli oni w skład grupy poznańskiej. Jako korespondentki gazet francuskich towarzyszyły alpinistom francuskim do Kabulu i z powrotem panie Ginat, Langevin i Pierrot (redaktorka tygodnika „Elle”). W zamian za pokrycie przez Klub Wysokogórski kosztów przejazdu do Afganistanu i z powrotem, a w stosunku do czterech alpinistów także pełnego utrzymania w czasie wyprawy, dostarczyli oni kwotę dewizową potrzebną na wydatki w Afganistanie, z której pozostała jeszcze pewna rezerwa finansowa.

Zamierzenia

Wyprawa poznańska wystąpiła z projektem eksplorowania otoczenia doliny Mandaras. Za główny cel postawiono sobie zdobycie szczytu rozpoznanego przez rekonesans w r. 1960 i zidentyfikowanego jako szczyt bez nazwy o wysokości 7125 m na mapach *Survey of India*. Biorąc pod uwagę dokonane rozpoznanie terenu oraz niezbyt długi domarsz od wioski Kazi Deh, do której można dojechać samochodem, zakładano możliwość dość szybkiego uporania się ze zdobyciem szczytu i dokonania później wejść na dalsze, nieco niższe szczyty w tym rejonie. W pierwszej kolejności brano pod uwagę szczyt wysokości 6631 m, wznoszący się na południowy zachód od głównego celu wyprawy, opadający ku dolinie Manda-

ras wspaniałą lodowo-skalną ścianą wysokości ok. 2000 m.

Grupa krakowska planowała w zasadzie eksplorację otoczenia doliny Szachaur, znajdującej się dalej na wschód. Głównymi celami miały być nienazwane szczyty 7116 m oraz 7131 m — pierwszy wznoszący się w grani głównej, drugi w bocznej, wysuniętej ku południowi. Przypuszczaliśmy, co się później potwierdziło, że szczyt 7125 m (cel grupy poznańskiej) jest być może zwornikiem również dla grani zamykającej dolinę Szachaur, chociaż przebieg grzbietów w tym rejonie wydawał się zagmatwany.

Przygotowania grupy poznańskiej

Na terenie Poznania celem uzyskania potrzebnych funduszy przeprowadzono szeroką akcję propagandową. O poparcie zwrócono się do władz wojewódzkich i miejskich, zaapelowano do instytucji i zakładów na terenie miasta, województwa i poza województwem. Założenia wyprawy popularyzowano drogą konferencji prasowych, wygłaszania pogadanek w radiu i telewizji, zamieszczania w prasie notatek o przygotowaniach. Wygłoszono szereg odczytów ilustrowanych przezroczami na temat I Wyprawy w Hindukusz, zorganizowano też dwie wystawy fotografii górskiej. W rezultacie tak przeprowadzonej akcji uzyskano gotówką 45 650 zł (w tym dotacja WKKFiT na sprzęt 20 000 zł i dotacja Oddziału PTTK przy Zakładach HCP 10 000 zł). Otrzymano również dotacje w naturze wartości ok. 30 000 zł, w tym konserwy mięsne z Centrali Handlu Zagranicznego „Animex” wartości ok. 20 000 zł, w zamian za przeprowadzenie oceny ich jakości w warunkach subtropikalnych, pustynnych i wysokogórskich. Szereg instytucji udzieliło wyprawie pomocy czy to przez wypożyczenie sprzętu (Dyrekcja MTP — materace, sprzęt kuchenny, kuchenki gazowe, radiodbiornik itp., Technikum Geodezyjno-Drogowe — przyrządy geodezyjne, PIHM — sprzęt meteorologiczny), czy też służąc lokalem na składanie i pakowanie materiałów (Katedra Wysokich Napięć Politechniki Poznańskiej) lub transportem samochodowym na terenie kraju (Oddział PTTK przy Zakładach HCP).

Podstawowa część sprzętu biwakowego oraz niewielka ilość sprzętu wspinaczkowego wypożyczona została z magazynu ZG KW. Większość sprzętu wspinaczkowego, część biwakowego oraz cały ekwipunek osobisty stanowiły własność prywatną uczestników wyprawy. Koledzy francuscy dostarczyli m. in. kilku lekkich nylonowych namiotów izotermicznych wagi ok. 2 kg. Przy przygotowywaniu zestawu żywności odstąpiono



Grupa poznańska II PWH (1962) w bazie. Stoją od lewej: J. Brunaud, M. Ginat, J. Dobrogowski, B. T. Langevin, S. Zierhoffer, R. W. Schramm, J. Mitkiewicz i H. Dembiński. Siedzą: A. Gąsiorowski i F. Moreau.

Fot. Jan Stryczyński

od schematu I Polskiej Wyprawy w Hinduks, polegającego na dziennym porcjowaniu żywności zarówno bazowej, jak i działalnościowej. Racjonowana była jedynie żywność dojazdowa w porcjach dziennych na całą grupę, żywność działalnościowa (w porcjach na 4 dni) i szturmowa (w porcjach na 2 dni). Natomiast żywność bazowa nie była porcjowana. Jako jedyne paliwo na cały okres trwania wyprawy (dojazd, baza i działalność wysokogórska) grupa poznańska zabrała płynny gaz, butan i butan-propan, w dużych butlach (ok. 30 kg) na dojazd i do bazy, oraz w małych ładunkach, w większości ośmiogodzinnych, ze specjalnymi palnikami do działalności wysokogórskiej. Jako opakowania zastosowano odmienny niż w czasie I Wyprawy typ bębnowy ze specjalnej impregnowanej tektury, w dwóch wymiarach — tańszych i lżejszych niż bębny stosowane w r. 1960, jednak nieco mniej trwałych.

W organizacji wyprawy duże zasługi położyli członkowie ówczesnego ZG KW, zwłaszcza prezes, J. Fielt, wiceprezes, P. Czartoryski oraz skarbnik, L. Łącki. Dużą pomoc okazali też pracownicy biura ZG KW,

E. Piątkowski, R. Bardzyński, W. Lothowa i H. Starczewska. Bardzo cenne dla wyprawy były życzliwe rady i konsultacje kierownika I Wyprawy w Hinduks, B. Chwaścińskiego, który wspomagał organizatorów swoimi doświadczeniami oraz znajomością zagadnienia i terenu.

Podróż do stóp gór

Zgodnie z pierwotnymi założeniami, większa część uczestników wyprawy miała dojechać pociągiem do Termezu nad Amu Daria, skąd statkiem do Kizyl-Kala. Jedynie kierownik wraz z jednym lub dwoma uczestnikami miał udać się nieco prędzej samolotem do Kabulu, celem załatwienia tam koniecznych formalności. Spotkanie miało nastąpić w Kizyl-Kala, dokąd też miał być wysłany bagaż wyprawy.

Wyjazd z Warszawy, planowany na 15 czerwca, przesunął się w czasie z powodu późniejszego otrzymania zezwolenia na wyprawę od rządu afgańskiego. Grupa 13 uczestników jadących koleją opuściła Warszawę 5 lipca. W. Olech i R. W. Schramm odlecieli wraz z grupą francuską

samolotem, 6 lipca. S. Zierhoffer, również samolotem, następnego dnia. Bagaż wyprawy, przywieziony z Poznania i Krakowa do magazynu ZG KW w Warszawie, został wysłany do Kizyl-Kala przesyłką ekspresową za pośrednictwem firmy „Hartwig” na tydzień przed wyjazdem wyprawy z kraju.

W związku z nieoczekiwaną niemożnością przekroczenia granicy radziecko-afgańskiej w Termezie, grupa jadąca pociągiem musiała z Taszkientu udać się samolotem do Kabulu, gdzie przebywali już uczestnicy przybyli samolotem z Moskwy.

Dzięki pomocy Ambasady PRL w Kabulu, a zwłaszcza ambasadora Kolka i I sekretarza Tomkowskiego, udało się w stosunkowo krótkim, jak na miejscowe stosunki, terminie załatwić wszelkie konieczne formalności, jak uzyskanie wiz pobytowych, zezwoleń na wjazd i działalność w planowanym terenie oraz fotografowanie w pasie przygranicznym, uzyskać zwolnienie bagażu od cła wwozowego, dokonać wymiany pieniędzy itp. W czasie pobytu w Kabulu (również w drodze powrotnej) uczestnicy wyprawy korzystali z serdecznej gościnności Polaków przebywających tam, w szczególności pp. Włodarczaków, Kozłowskich i Bartłów.

Wyjazd z Kabulu wynajętym samochodem ciężarowym nastąpił w dniu 18 VII. Poprzez przełęcz Szibar, Doszi, Baglan i Kunduz wyprawa dojechała 20 VII do Kizyl-Kala, gdzie spotkała ją przykra niespodzianka w postaci niedotarcia do tego czasu bagażu. Ze względu na brak możliwości noclegowych na miejscu, wyprawa musiała zamieszkać w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów Hazrat Imam Sahib, gdzie od 21 — 24 VII oczekiwała na bagaż, interweniując telegraficznie. Dużą pomoc okazali w tym wyprawie inżynierowie radzieccy pracujący przy budowie portu Kizyl-Kala, a zwłaszcza kierownik grupy, inż. Powarow. Dzięki ich interwencji w Termezie, po trzech dniach otrzymaliśmy wiadomość o nadejściu przesyłki.

Po załadowaniu bagażu na samochód wyprawa ruszyła z Kizyl-Kala w dniu 24 VII i poprzez Kunduz, Chanabad (25 VII), Fajzabad (27 — 28 VII) i Iszkaszim (30 VII) dotarła do Kazi Deh (30 VII), gdzie nastąpiło rozdzielenie się grup poznańskiej i krakowskiej. W Fajzabadzie gubernator prowincji Badachschan przydzielił nam oficera łącznikowego, którym był Mohammed Khan Zobyt Amnia. Aż do czasu powrotu do Fajzabadu towarzyszył on grupie poznańskiej, z zadaniem ułatwiania kontaktów z miejscowymi władzami i ludnością. Z Kazi Deh grupa krakowska pojechała w tym samym dniu (30 VII) jeszcze dalej na wschód, do miejscowości Szachaur, natomiast grupa po-

znańska przystąpiła do organizacji karawany, celem osiągnięcia wysoko położonej doliny Mandaras. Jako termin spotkania grup w Kazi Deh wyznaczono dzień 10 września.

Okres właściwej działalności wysokogórskiej wyprawy był rozpoczęty.

*Ryszard W. Schramm
i Stanisław Zierhoffer*

Kronika grupy poznańskiej

Po rozstaniu się w Kazi Deh obydwie grupy działały zgodnie z założeniami całkowicie oddzielnie, nie kontaktując się z sobą. Grupa poznańska, po przepakowaniu bagażu i pozostawieniu jego części w Kazi Deh, przerzuciła się w ciągu jednego dnia karawaną złożoną z koni i osłów do tzw. Bazy Japońskiej, skąd bagaż został przeniesiony przez tragarzy do miejsca na wysokości ok. 4100 m w dolinie Mandaras, obranego na bazę główną wyprawy, założoną w dniach 3 i 4 VIII. Grupa krakowska udała się dalej samochodem w górę doliny rzeki Ab-e Pańdża, do miejscowości Szachaur, położonej na wysokości ok. 2600 m w pobliżu wylotu doliny tej samej nazwy. Założono tutaj bazę, od codziennych docuczliwych wichur nazwaną później „Bazą Wiatrów”.

1 VIII. Ok. godz. 11 ruszają tragarze (z wiosek Kazi Deh i Futur) z końmi i osłami. Transport 60 ładunków po ok. 30 kg w górę doliny Kazi Deh do tzw. Bazy Japońskiej u wylotu doliny Mandaras (3080 m).

2 VIII. Stryczyński i Zierhoffer wybierają w dolinie Mandaras miejsce pod bazę główną (ok. 4100 m). Budowa mostku dla tragarzy na potoku Mandaras. Strajk tragarzy. Zierhoffer schodzi do Bazy Japońskiej nakłonić ich do dalszej drogi.

3 VIII. Gąsiorowski i Stryczyński przeprowadzają rekonesans na lodowcu Mandaras. Tragarze dochodzą do bazy z połową ładunków.

4 VIII. Tragarze donoszą resztę ładunków, urządzenie bazy.

5 VIII. Gąsiorowski w bazie, pozostali wraz z 8 tragarzami zakładają obóz I (3 małe namioty typu Legionowo) na morenie nad lodowcem Mandaras (ok. 5000 m). Zachmurzenie, mały opad deszczu.

6 VIII. Stryczyński z 8 tragarzami uzupełnia wyposażenie obozu I. Pozostali urządają bazę. Drobny deszcz.

7 VIII. Początek rekonesansów. 6 uczestników wyprawy podchodzi do obozu I.

8 VIII. Ginat schodzi z obozu I do bazy. Stryczyński i Zierhoffer wchodzi z obozu I na przełęcz M 5/6 (ok. 5400 m) i biwakują na niej. Brunaud, Dobrogowski i Langevin osiagają z obozu I plateau lodowe pod M 2 i M 3, zwane potem „plateau z jeziorkiem” (biwak). Dembiński, Moreau i Schramm wyruszają z bazy do bocznej dolinki położonej na pd. od niej i biwakują na pn. grani szczytu 6028 m. Gąsiorowski i Mitkiewicz zwiedzają dolinkę pod pd.-zach. ścianą M 1 (Kiszmi Chana).

9 VIII. Stryczyński i Zierhoffer z przełęczy M 5/6 wchodzą skalną granią (20 wyciągów) na wierzchołek M 5 (ok. 6000 m). Zejście tą samą drogą na przełęcz, gdzie drugi biwak. Dobrogowski i Langevin wchodzą na przełęcz M 2/3, zwaną potem „przełęczą troków” (ok. 5800 m). Schodzą wraz z Brunaudem przez obóz I do bazy. Dembiński, Moreau i Schramm wycofują się z grani szczytu 6028 m i biwakują na lodowcu. Ginat i Mitkiewicz zwiedzają drugą dolinę pod M 1. Od trzech dni pogodnie.

10 VIII. Wieczorem wszyscy w bazie. Wobec niezalezienia drogi na M 4 i M 1, zapada decyzja wysłania dalszych rekonesansów w kierunku M 4 (Nadir Szacha).

11 VIII. Dobrogowski, Ginat i Mitkiewicz idą do obozu I.

12 VIII. Dobrogowski, Ginat i Mitkiewicz wynoszą piekaki pod przełęcz M 4a/5 i wracają na noc do obozu I. Dembiński, Gąsiorowski, Langevin, Schramm, Stryczyński i Zierhoffer podchodzą do obozu I. Brunaud i Moreau w bazie.

13 VIII. Dembiński, Gąsiorowski, Langevin, Schramm, Stryczyński i Zierhoffer wchodzą z obozu I przez „plateau z jeziorkiem” na przełęcz M 2/3, gdzie biwakują. Dobrogowski, Ginat i Mitkiewicz z obozu I dochodzą pod przełęcz M 4a/5 i zakładają biwak w szczelinie. Mały opad śnieżny.

14 VIII. Dembiński, Langevin, Stryczyński i Zierhoffer wchodzą z przełęczy M 2/3 śnieżną granią na szczyt M 3 (ok. 6100 m) i wracają tą samą drogą. Schramm na zboczu M 2 nad przełęczą. Po południu Dembiński i Gąsiorowski schodzą do obozu I. Dobrogowski, Ginat i Mitkiewicz wchodzą na przełęcz M 4a/5 i wracają do obozu I, a Dobrogowski do bazy.

15 VIII. Stryczyński i Zierhoffer schodzą z przełęczy M 2/3 ku pn.-wsch. na stronę doliny Szachaur po ok. 5000 m, po czym wracają na przełęcz. Langevin i Schramm na przełęczy. Ginat, Mitkiewicz i Moreau dochodzą z obozu I do założonego poprzednio biwaku pod przełęczą M 4a/5, gdzie nocują.

16 VIII. Langevin, Stryczyński i Zierhoffer sprządzają z przełęczy M 2/3 chorego Schramma. Brunaud, Dembiński i Dobrogowski wychodzą im naprzeciw do obozu I, skąd całą grupą osiagają wieczorem bazę. Ginat, Mitkiewicz i Moreau wchodzą na wierzchołek M 4a (ok. 6300 m) i wracają tą samą drogą na przełęcz M 4a/5, gdzie biwakują. Od 14 VIII pogodnie.

17 VIII. Ginat, Mitkiewicz i Moreau schodzą przez obóz I do bazy, pozostawiając obóz pod przełęczą M 4a/5. Wieczorem wszyscy w bazie. W wyniku rekonesansów ustalona zostaje droga na M 4 (Nadir Szach); z obozu I przez „plateau z jeziorkiem” na grani łączącą M 3 z M 3a i nią na przełęcz M 3/4.

18 VIII. Dembiński, Dobrogowski, Stryczyński i Zierhoffer wychodzą z bazy do obozu I.

19 VIII. Dembiński, Dobrogowski, Stryczyński i Zierhoffer z obozu I dochodzą na przełęcz M 3/4 (rozległe śnieżne plateau), gdzie zakładają wieczorem obóz II (ok. 6050 m). Gąsiorowski, Langevin, Mitkiewicz, Moreau i Ginat przechodzą z bazy do obozu I. Nadal pogodnie.

20 VIII. Stryczyński i Zierhoffer podchodzą z obozu II pod ścianę M 4 i wracają. Dembiński i Dobrogowski schodzą z obozu II do bazy, umacniając po drodze poręczówki na grani M 3—M 3a. Ginat i Moreau wchodzą z obozu I na przełęcz M 4a/5 i znoszą stamtąd pozostawiony sprzęt. Gąsiorowski, Langevin i Mitkiewicz wchodzą z obozu I z bagażem na grani M 3—M 3a i biwakują na niej. Po południu opad śniegu.

21 VIII. Stryczyński i Zierhoffer w obozie II. Gąsiorowski, Langevin i Mitkiewicz dochodzą do obozu II, donosząc resztę wyposażenia. Stają tu ostatecznie 2 namioty typu Meade. Ginat i Moreau wchodzą z obozu I na grani M 3—M 3a, gdzie biwakują. Pozostali w bazie.

22 VIII. Stryczyński i Zierhoffer podchodzą z obozu II ścianą M 4 na wysokość ok. 6650 m, gdzie stawiają pierwszy namiot obozu III i biwakują w nim. Gąsiorowski, Langevin i Mitkiewicz schodzą z obozu II do bazy. Ginat i Moreau dochodzą do obozu II, gdzie biwakują. Wieczorem na grani M 4 opad śnieżny.

23 VIII. Stryczyński i Zierhoffer schodzą z obozu III do bazy, zakładając po drodze poręczówki na ścianie M 4. Ginat i Moreau nie wynosząc reszty wyposażenia do obozu III schodzą do bazy. Wieczorem wszyscy w bazie. Ustalenie kolejności działania grup szturmowych. Pogodnie.

24 VIII. Po południu Dembiński, Dobrogowski, Gąsiorowski i Mitkiewicz wyruszają do obozu I.

25 VIII. Ci sami z obozu I docierają do obozu II. Reszta nadal w bazie.

26 VIII. Dobrogowski, Gąsiorowski i Mitkiewicz osiagają z resztą wyposażenia obóz III, gdzie rozbijają drugi namiot (stają tu ostatecznie 2 francuskie namioty izotermiczne). Dembiński w obozie II. Pozostali podchodzą z bazy do obozu I. Od 23 VIII ciągle pogodnie.

27 VIII. Dobrogowski, Gąsiorowski i Mitkiewicz wyruszają o godz. 10 z obozu III i przy silnym miotającym śniegiem wietrze osiagają o godz. 13,40 wierzchołek M 4 (Nadir Szacha, 7125 m), skąd schodzą o godz. 22 do obozu I. Dembiński schodzi rano z obozu II do bazy. Pozostali podchodzą z obozu I do II. Pogodnie.

28 VIII. Gąsiorowski, Dobrogowski i Mitkiewicz schodzą z obozu I do bazy. Dembiński w bazie, z obozu II schodzi tu również Brunaud. Pozostali podchodzą z obozu II do III, gdzie rozbijają jeszcze jeden namiot francuski.

29 VIII. Ginat, Langevin, Moreau, Schramm, Stryczyński i Zierhoffer wchodzą z obozu III na szczyt M 4 i schodzą do obozu II likwidując obóz III. Reszta w bazie. Nadal pogodnie.

30 VIII. Grupa z obozu II schodzi do bazy, znosząc część sprzętu. Wieczorem wszyscy w bazie. W górze opad śnieżny.

31 VIII. Rano Ginat, Langevin i Moreau znoszą z obozu I swoje rzeczy. Wieczorem pożegnana kolacja dla Francuzów. Pochmurno, zimno.

1 IX. Rano odchodzą Francuzi idąc pieszo do Kazi Deh. Po południu Gąsiorowski i Mitkiewicz podchodzą z bazy do obozu I. Pogodnie.

2 IX. Gąsiorowski i Mitkiewicz podchodzą z obozu I pod przełęcz M 6/7 i wchodzą na skalno-łodowe żebrze spadające z M 7 ku pn.-zach. Biwak na żebrze. Stryczyński i Zierhoffer udają się z bazy przez boczną dolinę pod lodowiec spadający z M 8 ku zach., gdzie biwakują. Dembiński i Dobrogowski podchodzą do obozu I.

3 IX. Gąsiorowski i Mitkiewicz po nieudanych próbach sforsowania bariery seraków na żebrze M 7 wycofują się do obozu I. Stryczyński i Zierhoffer podchodzą lodowcem M 8 pod przełęczkę w grani bocznej M 8, gdzie biwakują. Dembiński i Dobrogowski znoszą część wyposażenia obozu I do bazy.

4 IX. Stryczyński i Zierhoffer wchodzą na szczyt M 8 (6631 m) i wracają tą samą drogą do miejsca biwaku. Gąsiorowski i Mitkiewicz podchodzą z obozu I do II, likwidują go i wracają do I, gdzie podchodzą również Dembiński i Schramm.

5 IX. Stryczyński i Zierhoffer schodzą do bazy, Dembiński, Gąsiorowski, Mitkiewicz i Schramm likwidują obóz I i znoszą jego wyposażenie do bazy. Wieczorem wszyscy w bazie. Pogoda utrzymuje się nadal.

6 IX. Zaczynają ściągać tragarze. Pogodnie.
7 IX. Zwijanie bazy, pakowanie ładunków. Pochmurno, zimno.

8 IX. 35 tragarzy znosi bagaż do Kazi Deh. Wieczorem cała grupa w Kazi Deh. Spotkanie z częścią grupy krakowskiej, której ostatnie rekonesanse topograficzne wracają w dniach 9—11 IX.

Antoni Gąsiorowski

Kronika grupy krakowskiej

1 VIII. Biel i Ciončka wchodzą na zach. grań doliny Szachaur i obniżają się do doliny Lachs. Biwak na wysokości ok. 4000 m. Bała i Łazarski posuwają się dnem doliny Szachaur — biwak ok. 3500 m. Jakubowski, Krajski i Pąchalski udają się na rekonesans do doliny Langar, docierając do ruin starego ajłaku (3700 m).

2 VIII. Biel i Ciončka wchodzą na nienazwany szczyt w grani zamykającej dolinę Szachaur od zach. Nocują na szczycie (5041 m) w oczekiwaniu na pogodę umożliwiającą pomiary. Bała i Łazarski podchodzą pod przełęcz Kotgaz-An na wysokość 4000 m i wracają w dół doliny. Jakubowski i Krajski badają pd.-zach. górne piętra doliny Langar.

3 VIII. Biel i Ciončka po dokonaniu pomiarów teodolitem wracają do „Bazy Wiatrów” u wylotu doliny Szachaur. Bała z Łazarskim osiąga grań, skąd Łazarski zawraca, zaś Bała wchodzi na szczyt Jursang (4332 m) w grani rozdzielającej doliny Szachaur i Langar. Po dokonaniu pomiarów schodzą do bazy. Jakubowski, Krajski i Pąchalski w dalszym ciągu badają górne piętra doliny Langar.

4 VIII. Jakubowski, Krajski i Pąchalski wracają do „Bazy Wiatrów”, gdzie odbywa się odprawa i podsumowanie wyników rekonesansów.

5 VIII. Bała i Pąchalski jadą na koniach do doliny Urgend-e Payan, gdzie zakładają obóz na wysokości 3680 m. Krajski i Baranowski oraz Jakubowski i Łazarski idą na rekonesans w górne partie doliny Szachaur. Pierwsi nocują na skraju lodowca, drudzy pod jego językiem.

6 VIII. Zła pogoda. Zespoły z trudem kontynuują prace rozpoznawcze. Jakubowski i Łazarski stwierdzają niemożność wejścia na Szachaur prawym żebrem. Bała wspina się na wsch. stoki doliny Urgend.

7 VIII. Bała i Pąchalski wykonują zdjęcia i szkice, po czym wracają konno z doliny Urgend-e Payan do „Bazy Wiatrów”. Baranowski i Krajski usiłują wejść na przełęcz Kotgaz-An. Lawina śnieżna zruca kilkadziesiąt metrów Baranowskiego. Jakubowski i Łazarski kierują się w stronę bazy.

8 VIII. Po południu, wobec przedłużającej się nieobecności Baranowskiego i Krajskiego, wyrusza po nich konno grupa ratunkowa. Po spotkaniu następuje wspólny powrót do bazy. Tu od godz. 17 odbywa się narada połączona z burzliwą dyskusją. Wobec tego, że wejście na Szachaur od pn. wydaje się trudne i ryzykowne, zapada decyzja przerwania wyprawy w rejon doliny Urgend-e Bala.

9 VIII. Organizacja karawany. Biel i Bała jadą konno w dolinę Urgend-e Bala. Po południu Bała wraca do osiedla u wylotu doliny, gdzie zatrzymała się karawana, a następnie — wraz z Ciončką i Krajskim — udaje się ponownie w górę.

10 VIII. W osiedlu Urgend-e Bala dalsze przygotowywanie karawany. Baranowski i Łazarski udają się w górę rzeki Ab-e Pañdza, nie dostrzegając większych dolin. Biel i Ciončka wchodzą na wsch. stok doliny Urgend-e Bala, skąd dokonują pomiarów. Bała i Krajski rozpoznają wnętrze doliny i stwierdzają w jej pd.-wsch. rogu istnienie 2 szczytów identycznych zapewne z 7015 i 7020 m na mapach Survey of India.

11 VIII. Bała i Baranowski jadą w głąb doliny szukać drogi dla karawany, która posuwa się w górę. Nocleg koło ajłaku pasterskiego. Bunt tragarzy.

12 VIII. Rano „zbuntowani” nafarzy zgłaszają się do dalszej drogi. Założenie bazy głównej przy jezioru w zagłębieniu moreny (4350 m).

13 VIII. Urządzenie bazy.

14 VIII. Pochmurno, deszcz. Bała, Biel, Ciončka, Krajski, Łazarski i Pąchalski wchodzą z 2 tragarzami lodowcem na wysokość 4810 m i obozuja.

15 VIII. Biel, Łazarski i Pąchalski przenoszą obóz na wysokość 5050 m i zakładają tu bazę wysuniętą. Bała, Ciončka i Krajski zakładają tymczasowy obóz I (ok. 5400 m).

16 VIII. Bała, Ciončka i Krajski oraz z bazy wysuniętej Pąchalski schodzą do bazy głównej.

17 VIII. Baranowski, Biel i Łazarski wchodzą na lodowe plateau „Kraków” (5200 m) i stąd na szczyt ok. 5800 m nazwany później Aual. Jakubowski z 2 tragarzami podchodzi do bazy wysuniętej.

18 VIII. Bała, Ciončka i Krajski docierają z tragarzami do bazy wysuniętej.

19 VIII. Ta sama trójka osiąga wysokość 5700 m, gdzie biwakuje.

20 VIII. Bała, Ciončka i Krajski wchodzą na przełęcz w głównej grani (6400 m) i zakładają obóz II. Baranowski, Biel i Łazarski przenoszą obóz I na taras nad drugim spiętrzeniem lodowca (5600 m). Pąchalski i Olech podchodzą do bazy wysuniętej.

21 VIII. W nocy śnieg. Olech, Jakubowski i Pąchalski docierają do obozu I. Zespoły Bała, Ciončka i Krajski oraz Baranowski, Biel i Łazarski schodzą do bazy wysuniętej.

22 VIII. Przybywają tu również Jakubowski, Olech i Pąchalski. Cała grupa przeczekuje niepogodę.

23 VIII. Śnieg. Odpoczynek w bazie. Narada i ustalenie składu zespołów szturmowych.

24 VIII. Baranowski, Biel, Ciončka i Łazarski przynoszą żywność z bazy głównej.

25 VIII. Jakubowski, Krajski, Olech i Pąchalski wyruszają w górę. Jakubowski łamie czekan i zawraca, pozostali osiągają obóz I, a po południu wysokość 5800 m, gdzie biwakują.

26 VIII. Krajski, Olech i Pąchalski docierają do obozu II, reszta grupy przenosi się do obozu I.

27 VIII. Krajski, Olech i Pąchalski zakładają obóz III (6900 m). Pozostali podchodzą do obozu II.

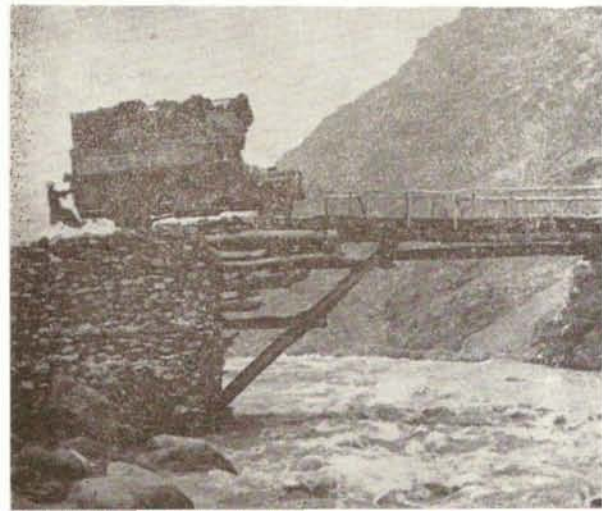
28 VIII. Krajski, Olech i Pąchalski stają o godz. 11,30 na szczycie Kuh-e Tez (7015 m). Po ułożeniu kopczyka i godzinnym odpoczynku, zejście do obozu II. Bała, Biel i Łazarski podchodzą do obozu III, skąd Bała samotnie osiąga wierzchołek Kuh-e Tez i wraca do towarzyszy.

29 VIII. Bała, Biel i Łazarski wchodzą na Kuh-e Tez i schodzą do obozu II. Zespół Baranowski, Ciončka i Jakubowski dociera do obozu III.

30 VIII. Załamanie pogody. Baranowski, Ciončka i Jakubowski zdobywają szczyt, likwidują obóz III i w trudnych warunkach schodzą na

Emocje dojazdu — kruche mostki nad rwącymi rzekami.

Fot. Ryszard W. Schramm



przełęcz. Cała 9-osobowa grupa w 3 namiotach szturmowych przeczekuje niepogodę.

31 VIII. Warstwa świeżego śniegu osiąga grubość 1 m.

1 IX. Słońce. Mimo ryzyka lawin likwidacja obozu II i zejście do bazy wysuniętej. Tylko Krajski i Olech zatrzymują się w obozie I, który nazajutrz likwidują.

2 IX. Wszyscy w bazie wysuniętej. Następnego dnia odpoczynek.

4 IX. Likwidacja bazy wysuniętej i zejście do głównej, gdzie 5 IX odpoczynek i pakowanie.

6 IX. Biel i Olech oraz Bała i Krajski schodzą do osiedla Urgend-e Bała. Reszta związa bazę.

7 IX. Bała i Krajski wchodzi w dolinę Urup i biwakują na wysokości 4200 m. Biel i Olech biwakują obok osady pasterskiej Kiszmi Chan. Reszta schodzi z karawaną w dół doliny.

8 IX. Bała i Krajski wchodzi na szczyt ok. 5100 m po wsch. stronie doliny Urup; po zejściu biwakują w osiedlu Szachaur. Biel i Olech osiągają środkową partię doliny Kiszmi Chan i biwakują na wysokości 3650 m. Reszta schodzi z bagażami do osiedla Urgend-e Bała, skąd samochodem zjeżdża do Kazi Deh. Spotkanie z grupą poznańską.

9 IX. Bała i Krajski przejeżdżają konno przez dolinę Szachaur, a następnie podchodzą pod przeł. Chali Kotal, gdzie biwakują. Biel i Olech wchodzi na szczyt Kalat (5376 m). Po wykona-

niu pomiarów schodzą wsch. zboczem i biwakują bez sprzętu na wysokości 4600 m.

10 IX. Biel i Olech schodzą do Kazi Deh. Bała i Krajski wchodzi na przełęcz Chali Kotal (ok. 5200 m), skąd obniżają się do doliny Kiszmi Chan. Biwak na wysokości 3500 m. Następnego dnia (11 IX) dołączają się do całej wyprawy w Kazi Deh.

Marian Bała i Adam Pąchalski

Droga powrotna

11 IX wyprawa wyjechała samochodem z Kazi Deh i zanocewała w Zebaku. 12 IX Zebak — Fajzabad, gdzie przeładowano bagaż na inny samochód. Nocleg w Keszimie. 14 IX przyjazd do Kizyl Kala. 15 IX wysyłka bagażu i wyjazd w dalszą drogę. 17 IX przyjazd do Kabulu, 18 — 22 IX pobyt w Kabulu — wizyty, konferencja prasowa, załatwianie formalności, 23 IX przelot samolotem do Samarkandy, skąd 24 IX wyjazd pociągiem do Moskwy. 27 IX przyjazd do Moskwy po 73 godzinach jazdy. 28 IX przyjazd do Warszawy.

W poszukiwaniu drogi na Nadir Szacha

Stanisław Zierhoffer

Już w czasie rekonesansu przeprowadzonego w dolinie Mandaras w czasie I Polskiej Wyprawy w Hindukusz (1960) przez K. Berbekę, J. Mostowskiego i S. Zierhoffera, narzucił się jako cel ataku dla przyszłej wyprawy olbrzym wznoszący się w północno-wschodnim kącie doliny. Identyfikowaliśmy go z zaznaczonym na mapach szczytem bez nazwy o kocie 7125 m. W dyskusji nad projektami ew. przyszłej wyprawy, uczestnicy rekonesansu analizując panoramę doliny zgodzili się, że droga na szczyt winna być poprowadzona przez przełęcz na zachód od niego, wcięta najgłębiej w otaczającą dolinę grań. Stamtąd, jak ocenialiśmy, będzie można przejść na południową stronę i, obchodząc od południa dwa niższe szczyty, dostać się na plateau lodowe, z którego wiedzie połaża grań ku wierzchołkowi.

Gdy projekty wyprawy w rejon doliny Mandaras weszły w stadium realizacji, szczyt 7125 m określony został jako ewentualny główny jej cel. W dniu 5 VIII 1962 r. grupa poznańska II Polskiej Wyprawy w Hindukusz stanęła wreszcie na tej samej morenie, z której przed dwoma laty oglądaliśmy panoramę Mandaras uczestnicy owego

rekonesansu. Zdania były nadal zgodne co do tego, że nasz siedmiotysięcznik dostępny jest najłatwiej przez przełęcz roboczo nazwaną M 5/6*. Korzystając z tego, że miejscowi tragarze wynieśli nam na morenę ładunki, założony tu został na wysokości ok. 5000 m I obóz. Uczestnicy wyprawy w tym samym jeszcze dniu wrócili do bazy, gdzie wspólnie ułożono plan rekonesansów.

Grupa Ginat, Stryczyński i Zierhoffer otrzymuje zadanie wejścia na przełęcz M 5/6, skąd spenetruje możliwości zaatakowania szczytu 7125 m (oznaczonego symbolem M 4) od strony zachodniej. Mimo iż ta droga wydaje się być przesądzona, druga grupa — Brunaud, Dobrogowski i Langevin — ma wejść na grań na północny wschód od M 4 i zorientować się w możliwościach ataku od

* Wobec braku nazewnictwa miejscowego, przyjęto roboczą nomenklaturę szczytów w otoczeniu doliny Mandaras od lewej ku prawej patrząc w głąb doliny (ku wschodowi). Przełęcz między szczytami nazwano odpowiednio M 1/2 między szczytami M 1 i M 2 itd. Uwaga: Wysokość szczytu M 4 (Kuh-e Nadir Szach) jest raczej mniejsza niż 7125 m — por. s. 8.

północy, od strony szczytu M 3. Wreszcie trzecia grupa, której zadaniem jest zbadać topografię rejonu, ma się udać do bocznej doliny, oddzielonej od głównej masywem M 8, i tam spróbować wejść na jeden z sześciotysięczników, by pobić pomiary i szkice terenu. W skład tej ostatniej grupy wchodzi Dembiński, Moreau i Schramm. W bazie zostają Mitkiewicz i chory Gąsiorowski. Jeśli ten drugi poczuje się lepiej, spenetrują oni dolinki pod szczytem M 1, co do którego żywymy podejrzania, że jest też bardzo wysoki, chociaż nie figuruje na mapie (okazuje on się potem identyczny z Kiszmi Chanem).

Rankiem 8 VIII, po nocy spędzonej w obozie I, dwie pierwsze grupy rozchodzą się w swoich kierunkach. Na samym początku odpada Ginat, który zażywszy na biwaku zbyt wiele środków nasennych czuje się źle i wraca do bazy. Stryczyński i Zierhoffer wchodzi więc sami około południa na przełęcz M 5/6. Droga początkowo prowadzi lodowcem, ostatnie kilkanaście metrów przed przełęczą pokonuje się wspinaczką skalną, wymagającą asekuracji. Na przełęczy stwierdzają, że na stronę południową opada stroma zerwa i zejście możliwe byłoby tylko zjazdami na linie. Postanawiają jednak następnego dnia spróbować wejść skalną granią na szczyt M 5, wznoszący się na wschód od przełęczy, by zorientować się w możliwościach przejścia przez niego na wzmiankowane wyżej plateau. Noc spędzają w namiocie rozbitym na przełęczy, następnego dnia w trudnej wspinaczce skalnej (ok. 20 wyciągów) osiągają o godz. 17 szczyt M 5 (ok. 6000 m) — pierwszy ze zdobytych przez wyprawę wierzchołków. Gęsta mgła nie pozwala co prawda na dokładną lustrację terenu, jednak już z tego co widzą wynika, że zejście nie byłoby łatwe. Jeśli dodać do tego trudności wejścia na przełęcz i z niej na M 5, jasne jest, że i ta droga do atakowania M 4 się nie nadaje.

Tymczasem druga grupa dociera po lodowcu na duże plateau lodowe otoczone szczytami M 2, M 3, M 3a i M 3b, nazwane później „plateau z jeziorkiem”. Tutaj zostaje założony I biwak. Następnego dnia Brunaud, który czuje się niezbyt dobrze na wysokości, zostaje, a Dobrogowski i Langevin wchodzi na przełęcz M 2/3. Stąd widzą z daleka północno-zachodnią grań M 4 i oceniają szanse wejścia nią na szczyt jako minimalne. Langevin, kierownik rekonesansu, ze względu na niezbyt korzystne warunki śnieżne nie decyduje się na dalszy marsz, który pozwoliłby na dokładniejszą ocenę drogi. Zawracają więc do bazy.

Grupa trzecia opuszcza bazę 8 VIII. Przeprowadzając się przez potok lodowcowy wcho-

dzi ona do dolinki na południe od bazy i za cel ataku wybiera szczyt 6028 m. Na jego grani zostaje założony I biwak. Następnego dnia jednak ciężki śnieg uniemożliwia wejście na wierzchołek i grupa zmuszona jest zawrócić z grani. Schodzi do dolinki, gdzie spędza drugą noc i 10 VIII wraca do bazy. Plonem rekonesansu są liczne szkice terenu i pomiary.

*

10 VIII uczestnicy rekonesansów spotykają się w bazie. Wyniki nie są zachęcające. Droga przez przełęcz M 5/6 odpadła definitywnie. Wchodzi jeszcze w rachubę próba osiągnięcia owego plateau lodowego przez dolinkę wypatrzoną przez dwie pierwsze grupy, wyprowadzającą na przełęcz między M 5 i M 4a — szczytem, który cofnięty mocno do tyłu, uszedł uwadze przy oglądaniu z dołu, okazał się jednak później jednym z wyższych w otoczeniu doliny (6274 m). Poza tym postanawiamy większą grupą powtórzyć rekonesans przez przełęcz M 2/3 i sprawdzić, czy wejście północno-zachodnią granią jest faktycznie niemożliwe, ewentualnie spróbować przejść na stronę doliny Sza-chaur i atakować M 4 z tamtej strony.

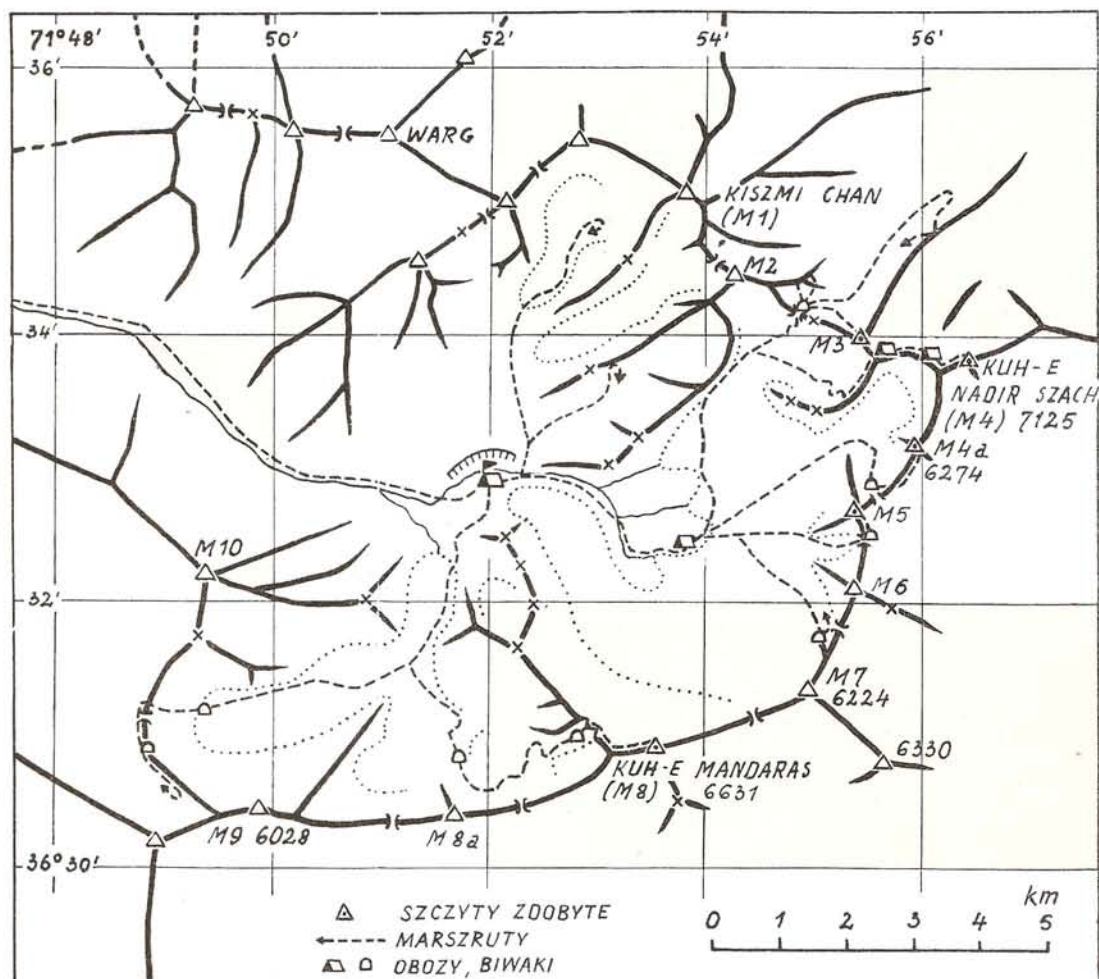
11 VIII Dobrogowski, Ginat i Mitkiewicz wyruszają z bazy głównej i biwakują w obozie I. Następnego dnia podchodzą pod przełęcz M 4a/5, jednak dość kiepska pogoda zmusza ich do zawrócenia. Pod przełęczą pozostawiają plecaki. 13 VIII ponawiają atak, biwakując w szczelnie poniżej przełęczy, którą osiągają 14 VIII. Stwierdzają przy tym, że bezpośrednio z niej nie ma możliwości obejścia M 4a od południa, natomiast wejście na ten szczyt nie powinno nastąpić poważniejszych trudności. Wycofują się ponownie do obozu I, gdzie dołącza do nich Moreau, który pozostawał w bazie. Następnego dnia Ginat, Moreau i Mitkiewicz znów wyruszają w stronę przełęczy M 4a/5, biwakują na niej, i w dniu 16 VIII lodową granią osiągają wierzchołek M 4a. Stwierdzają, że obniższy się z niego ok. 300 m ku północy można wyjść stosunkowo łatwą granią od południa na M 4. Jednak konieczność tak znacznego obniżenia i związane z tym ryzyko w razie potrzeby wycofywania się, stawiają pod znakiem zapytania przydatność tej drogi. Na wszelki wypadek zespół zostawia namiot na przełęczy i schodzi do bazy.

W tym samym okresie grupa w składzie Dembiński, Gąsiorowski, Langevin, Schramm, Stryczyński i Zierhoffer przeprowadza ponowny rekonesans od przełęczy M 2/3. Z obozu I wyrusza 13 VIII i biwakuje na przełęczy. Już w drodze Gąsiorowski i Schramm czują się niedobrze. Biwak zostaje urządzony przy opadzie śnieżnym, jed-

nakże następnego dnia wypogadza się. Rano Schramm czuje się lepiej i chce pozostać, natomiast Gąsiorowski jest nadal niezdrowy. Dwa zespoły: Langevin — Stryczyński i Dembiński — Zierhoffer wyruszają granią w stronę M 3. Pomimo ciężkiego śniegu docierają około południa na wierzchołek (ok. 6100 m). Widać stąd dobrze przełęcz M 3/4 i grań M 4, która opada ku przełęczy ścianą skalną wyżej przechodzącą w lodowe zbocze. Przecinająca ścianę rynna budzi nadzieję na możliwość przejścia. Jednak, jak to widać z góry, na przełęcz M 3/4 najlepiej będzie wchodzić nie przez M 3, lecz wprost z „plateau z jeziorkiem”, przez grań między M 3 i M 3b. Droga robi wrażenie trudnej, niemniej wydaje się możliwa do pokonania.

Grupa wraca do obozu na przełęczy, skąd Dembiński z Gąsiorowskim schodzą w dół. W międzyczasie Schramm podchodzi ok. 300 m zboczem M 2 w celu wykonania szkiców terenu. Twierdzi, że dostrzegł od strony doliny Szachaur możliwość łatwiejszego wejścia na M 4. Następnego więc dnia, gdy Langevin i Schramm pozostają w obozie na przełęczy, Stryczyński i Zierhoffer schodzą w dół do doliny Szachaur na wysokość ok. 5000 m, a następnie wznoszą się na grań rozdzielającą górne piętra doliny, odchodzącą od M 3. Widzą stąd, że wypatrzone przez Schrammą żleb, wyprowadzający pomiędzy wierzchołki M 4 i Szachaur, obrywa się w dole zerwami lodowymi, nie dającymi szans przejścia. Wieczorem wracają do obozu na przełęczy, gdzie zastają krytyczną sy-

Dolina Mandaras, rejon działania grupy poznańskiej II PWH. Liniami kropkowanymi zaznaczono zasięg lodowców. Opracował Ryszard W. Schramm.



tuację. Schramm poczuł się w ciągu dnia bardzo źle — typowe objawy choroby wysokościowej: silne osłabienie, zaburzenia równowagi. Ponieważ nie może sam ustać, o schodzeniu o własnych siłach nie może być mowy. Po trzecim z kolei biwaku na przełęczy, od rana dnia 16 VIII rozpoczyna się sprowadzanie chorego.

W dniu 17 VIII wszyscy uczestnicy spotykają się w bazie. Zostają podsumowane wyniki rekonesansów. Wszyscy teraz zgadzają się, że najrozsądniejsza droga na M 4 wiedzie poprzez przełęcz M 3/4 i północno-zachodnią grań. Nie będzie ona łatwa, ale rokuje stosunkowo największe szanse powodzenia. Zapada decyzja: tędy właśnie poprowadzimy atak.

M 4 czyli Kuh-e Nadir Szach

Antoni Gašiorowski

23 sierpnia przygotowania do ataku szczytowego zostały zakończone. Najpierw Staszek, Janek, Henryk i Jan założyli obóz II na przełęczy między M 3 a M 4, potem my z Jurkiem i Tiapą donieśliśmy tam trochę wyposażenia, wreszcie Michaś i Francowaciszek (*recte* Michel i François) przywlekli resztę sprzętu i żywności. W ścianie nad przełęczą stał już jeden mały czerwony namiot obozu III, a w stromym, zalodzonym kominie pod nim wisiała długa poręczówka.

24 sierpnia, gdy wszyscy odpoczywaliśmy w bazie, odbyła się narada. Problem był poważny: kto pierwszy ma atakować szczyt Doskonale wszystkim wiadomo, iż szczyt zdobywa Wyprawa a nie ten czy ów z jej uczestników, zawsze to jednak przyjemnie być w tej pierwszej grupie. Chociaż, z drugiej strony, pierwszy atak nie za każdym razem się udaje — i wtedy szansa często przepada... Przecięliśmy dyskusję ustaleniem, że pójdą ci, którzy najdłużej wypoczywali w bazie. Wypadło na Henryka z Janem i na Jurka ze mną. Po nas atakować miała czwórka francuska, wreszcie jako trzecia grupa — Staszek, Rysiek i Janek.

Kuh-e Nadir Szach (7125 m) z ramienia Kuh-e Mandaras

Fot. Jan Stryczyński



Z bazy wyruszyliśmy po południu, dnia 24 sierpnia. W obozie I wieczorem przepakowaliśmy rzeczy. Pobudkę przeforsowałem na 3 rano — skoro świt wychodziliśmy już, starając się dojść jak najwyżej, nim ogarnie nas mordercze słońce. Przy jezioru na plateau skręciliśmy w prawo, wchodząc stromym, śnieżnym zboczem na przełęczkę w grani łączącej M 3 z M 3a. Tu dopadło nas słońce. Tempo gwałtownie spadło, ale dzień mogliśmy już uważać za wygrany. O 13.30 byliśmy w obozie II. Świadomość, że drogę poprzednio pokonaną w półtora dnia przeszliśmy teraz w pół, dodawała otuchy.

Ranek 26 sierpnia był bardzo zimny. Ze zdumieniem stwierdziłem, że migawka mojej „Exy” trzymanej na wolnym powietrzu zamarza prawie natychmiast. Była to nauzka na przyszłość (a raczej na wysokość); aparat trzeba będzie nosić pod koszulą.

Z obozu drugiego wyruszyliśmy dopiero o 8. Mróz nie pozwalał na wcześniejszy start. Przed wejściem w mrok ściany naszego szczytu pożegnaliśmy się z Henrykiem. Nie spał w nocy, bolała go głowa, czuł się źle. Cofnął się do obozu. Nie było czasu na czułości. Każdy z nas zadawał sobie pytanie, czy sam nie wysiadzie nieco wyżej. Z każdym krokiem biliśmy przecież własne rekordy wysokości. Szliśmy dalej. W plecakach przybyło znów po parę kilo.

Zalodzony komin w ścianie naszego szczytu, mimo wiszącej poręczówki, był bardzo męczący. Gdy wydostałem się na śnieżne pola ponad nim, miałem już dość prowadzenia. Odczułem zmęczenie. Rozpoczął się pas kopnego śniegu. Jurek, jak zwykle najlepszy kondycyjnie, torował, zapadając się po kolana. Brnęliśmy za nim, zmieniając go czasem, ot tak, dla przyzwyczajenia. Długim skośnym trawersem w prawo obeszliliśmy barierę seraków, wydostając się na mniej nachylony stok. Szliśmy wolno. Odpoczynki były coraz częstsze.

Późnym już popołudniem dotarliśmy do samotnego namiociku obozu III. Obok niego ospale, jakby w półśnie, rozpoczęliśmy kopanie i udeptywanie platformy, na której wreszcie stanął drugi czerwony namiocik. Jan samotnie rozlokował się w jednym, my z Jurkiem zajęliśmy drugi. Rozpoczęło się codzienne misterium niekończącego się topienia śniegu i szykowania picia („Organizm ludzki na dużych wysokościach...” etc., etc.). Zjedliśmy jeszcze zupkę mojego pomysłu, którą karmiłem partnera we wszystkich obozach (nie próbujcie już nigdy częstować Mitkiewicza barszczykiem z fasolką...) i usiłowaliśmy usnąć. Jurek, jak zwykle, usnął szybko, ja, jak zwykle, nie mogłem zasnąć bardzo długo.

Około północy obudził mnie wiatr. Niedługo potem odezwał się i Jurek. Wiatr szarpał namiotem, wciskał do środka drobne kryształki śniegu, które wkrótce pokryły cały przedśionek i podgłówki materacyków. Nie usnęliśmy już tej nocy. Z sąsiedniego namiotu Jan beznamiętnie donosił, że powoli zasypuje go zaspą śnieżną formująca się na dachu. Odważyliśmy się wyjść z namiotów dopiero o 10. Wiatr był bardzo silny. Bił po twarzach twardymi krupami, zamrażał. Tego ranka nie zdejmowaliśmy już puchowych spodni i kurtek. Było za zimno. Mimo to zdecydowaliśmy się spróbować. Przeczekać nie mogliśmy — kończył się butan.

Po przekopaniu się przez kilkudziesięciometrowe pole głębokiego, nawianego śniegu, napotkaliśmy twardey beton. Raki trzymały tu doskonale. Szliśmy zupełnie na „lekką”, tylko Jurek niósł plecaczek z zapasowymi rękawicami i butanowym palnikiem z meżką. Liczyliśmy, że lina nie będzie potrzebna. Mimo to posuwaliśmy się bardzo powoli. Krok — oddech, krok — oddech, i tak kilkanaście, kilkadziesiąt wolnych kroków. Potem króciutki postój, a co jakiś czas dłuższa odsapka na stojąco.

W męczącym wietrze powoli, powoli, zbliżaliśmy się do punktu kulminującego w naszej ścianie. Chociaż wiedzieliśmy, że to jeszcze nie szczyt, łudziliśmy się, że może będzie on już tuż, tuż. Podciągając się na czekanie, Jurek pierwszy przeczołgał się przez mały nawis i zniknął nam z oczu. „Panie — zawołał po chwili, przekrzykując wiatr — to jeszcze cholerny kawał drogi.” W chwilę później posuwaliśmy się już wszyscy połam śnieżnym spłaszczeniem szczytowym, na którego końcu wznosił się mały wybitny wierzchołek M 4. Wiatr był teraz naszym sprzymierzeńcem. Popychał jego podmuchom przebieając szybko nogami, by po kilkunastu metrach opaść bezwładnie na czekany i łapać oddech. Każdy



Na szczycie Kuh-e Nadir Szach (7125 m). W głębi Udren Zom (7131 m).

Fot. Jan Dobrogowski

„frულ” na własną rękę. Trzy grube kukły z pokracznie rozłożonymi rękami wyprzedziały się nawzajem...

Szczyt bynajmniej nie przypominał wierzchołków Makalu czy Jannu, które oglądałem na licznych fotografiach. Oprócz nas zmieściłby się tu jeszcze cały legion ludzi. Rozległy, w całości pokryty śniegiem, różnił się znacznie od „niezdobytých” szczytów, o których dawniej naiwnie marzyłem. Ale nie myślałem teraz o tym, jak nie myślałem, że zdobyłem nietknięty nogą ludzką szczyt, wspaniały siedmiotysięcznik. Po osiągnięciu wierzchołka dominowało we mnie tylko jedno odczucie: nie trzeba już będzie mozolnie stawiać nóg, gwałtownie łapać oddechu; zacznie się droga w dół, która doprowadzi wreszcie do zacisznych namiotów niższych obozów, gdzie będzie można swobodnie oddychać, dobrze spać i jeść z apetytem. Dopiero znacznie później, po zejściu w doliny, przyszła radość ze zdobycia szczytu, dopiero później uświadomiłem sobie, że osiągnąłem tego dnia swój największy, jak dotąd, sukces górski.

Tymczasem tuż pod szczytem ustawialiśmy mały kopczyk z kamieni. Do pustej szklanej fiolki po środkach nasennych włożyłem kartkę z pieczętką Wyprawy i nazwiskami: Jan Dobrogowski, Antoni Gąsiorowski, Jerzy Mitkiewicz — 27.VIII.1962... Zrobiliśmy kilka fotografii (migawka wciąż zamarzała), nie utrwały one jednak nawet w części całej tej ogromnej panoramy ot-

czających nas zewsząd i w olbrzymiej większości nieznanym nam szczytów. Może widziałem gdzieś Nanga Parbat, może K 2, może...

Zejście ze szczytu nie trwało długo. Z obozu III zabraliśmy trochę rzeczy. Wczesnym wieczorem byliśmy w obozie II. Siedzieli tam już następni kandydaci do zdobywania szczytu, musieliśmy więc schodzić niżej. Noc złapała nas na śnieżnym plateau z małym jeziorkiem. Przy świetle latarek wolno i sennie kluczaliśmy między serakami i szczeli-

nami nad obozem I. Osiągnęliśmy go wreszcie przed północą.

29 sierpnia, w pięknej, słonecznej pogodzie, na szczyt weszła druga, sześciuosobowa grupa: Ginat, Moreau, Langevin, Schramm, Stryczyński, Zierhoffer... Pierwsze karty historii zdobywania siedmiotysięcznika M 4, który nazwaliśmy potem Szczytem imienia Nadir Szacha, Kuh-e Nadir Szach, zostały zapisane.

Keżmarską chatą, 28 grudnia 1963.

Jak zdobyliśmy Kuh-e Mandaras

Stanisław Zierhoffer

Kuh-e Mandaras (6631 m) od zachodu z drogą wejścia J. Stryczyńskiego i S. Zierhoffera i górnym biwakiem. Dolny biwak poza granicą oznaczoną punktem.

Fot. Ryszard W. Schramm



Gdy opuszczając główne koryto doliny Kazi Deh, w miejscu tzw. „Bazy Japońskiej” skręcało się w dolinę Mandaras, ukazywał się w dali szczyt zadziwiający swą pięknnością i śmiałością kształtów, sprawiający początkowo wrażenie najwyższego w otoczeniu. Dopiero po wejściu w wyższe partie doliny okazywało się, że ustępuje on wysokością Nadir Szachowi czy Kiszmi Chanowi — utrzymywał jednak niewątpliwy prymat piękności. Miejscowa ludność, nie zapuszczająca się w głąb doliny i znająca z widoku zapewne tylko ten szczyt, nazwała go, jak całą dolinę — Mandaras. Dla nas, nim poznaliśmy nazwę miejscową, nazywał się oficjalnie M 8, prywatnie nazywaliśmy go Eigerem, gdyż jego północna ściana, wznosząca się bezpośrednio nad obozem I nieodparcie nasuwała skojarzenia ze sławną ścianą alpejską. Pionowa skalno-lodowa zerwa, 2000 m wysokości, poprzegradzana barierami seraków przyciągała spojrzenia, kusiała. Daremnie jednak wypatrywaliśmy tam słabych punktów. Rozmiar, pion, bariery seraków, wysokość nad poziom morza — to były atuty, którymi odstraszała. Codziennie rano, gdy słońce oświecało jej górne partie, żlebami i rynnami lodowymi waliły w dół lawiny seraków, rozwiewając ostatnie złudzenia o możliwości jej zaatakowania z jakąś nadzieją na sukces, czy choćby szczęśliwy odwrót. Nie ulegało wątpliwości — ściana nie była dla nas.

Tym bardziej więc kuśił sam szczyt. Na razie byliśmy zajęci Nadir Szachem, który jako siedmiotysięczny miał pierwszeństwo — M 8 ze swoimi „zaledwie” 6631 metrami musiał poczekać. Już z pierwszego jednak re-

konesansu Dembiński, Schramm i Moreau przynieśli wiadomość, że wypatrzyli drogę na niego. Z bocznej dolinki wyprowadza ona od zachodu olbrzymim lodowym kuluarem na północno-zachodnią grań, a nią na szczyt. Wygląda trudno, ale da się chyba przejść w 3 dni.

Gdy wreszcie po uwieńczonych sukcesem perypetiach zdobywania Nadir Szacha wypoczywaliśmy w bazie, a do umówionego z Bielem spotkania w Kazi Deh pozostawało jeszcze kilka dni, nie mieliśmy z Jankiem Stryczyńskim wątpliwości, że dni te należy poświęcić właśnie na zdobycie „Eigeru”. Atakować postanowiliśmy drogą odkrytą przez kolegów. Korzystając ze zdobytej aklimatyzacji i dobrej kondycji atak chcieliśmy przeprowadzić „z marszu”, bez wstępnego obłożenia, zakładania obózów pośrednich itp.

*

2 września, w cztery dni po wejściu na Nadir Szacha, a w dzień po pożegnaniu francuskich kolegów, wyruszyliśmy we dwójkę w stronę bocznej doliny oddzielonej od doliny Mandaras masywem M 8. Na samym wstępie, kilkaset zaledwie metrów od bazy, wstrzymuje nas potok lodowcowy, który musimy przebyć. Wczesna pora dnia powoduje, że stan wody jest jeszcze dość niski, jednak wystające kamienie pokryte są cienkim szklawym lodowcem, grożącym przy próbie przejścia kąpielą, a co za tym idzie przemoczeniem butów wysokościowych, czego chcemy za wszelką cenę uniknąć. Po zdjęciu plecaków, potok udaje nam się jednak sforsować sucho — kąpią się tylko plecaki, które przeciągamy na linie.

Reszta dnia schodzi na niezwykle uciążliwym i nudnym podejściu systemem niekończących się moren do małej dolinki, podprowadzającej pod nasz kuluar. Tutaj, na wysokości około 4500 m, robimy pierwszy biwak. W górze dolinki, pod samą ścianą Kuh-e Mandaras nie odważamy się biwakować, gdyż liczne lawiniska obiecują tam zbyt wiele urozmaiceń. Wieczorem podchodzimy jednak dolinką jak najwyżej, by rozpatrzeć się w możliwościach dalszej drogi.

Wprost przed nami wielki, stromy kuluar lodowy wyprowadza na północno-zachodnią grań. W dole obrywa się on kilkusetmetrową zerwą, w środkowej części poprzegradzaną jest licznymi barierami seraków, w górze kładzie się nieco i rozdziela w dwa ramiona. Narzucają się dwie koncepcje wejścia: albo w lewo, poprzez system barier seraków i ścianek lodowych na boczną grań, tworzącą w górze duże plateau lodowe, i z niego do kuluaru już ponad jego zerwami, albo w prawo, bardzo stromym gładkim, lodowym zboczem powyżej zerw kuluaru i trwersem z powrotem do niego. Prawy wariant, może nieco bezpieczniejszy od lawin sera-

ków, robi jednak wrażenie bardzo nieprzyjemne, gdyż lód wygląda na wytopiony i zanosi się na konieczność rąbania stopni przez cały czas. Decydujemy się na wariant lewy, jednak żeby zmniejszyć ryzyko oberwania się seraków ruszamy następnego dnia bardzo wcześnie. Od razu na początku przyhamowuje nas kilkunastometrowa przewieszona ścianka lodowa, przez którą Janek przeraża się w pięknym stylu. Pierwsze trzysta metrów różnicy poziomów pokonujemy w trudnej wspinaczce, lawirując między barierami i szczelinami. Ciężkie plecaki bardzo utrudniają zadanie. Nie jesteśmy jednak jeszcze zmęczeni i stać nas na razie na zachwywanie się pięknem drogi — migawki aparatów fotograficznych trzaskają co chwilę.

Wreszcie osiągamy plateau i podchodzimy pod kuluar. Wśród lodowych barier wypatrujemy możliwości przejścia. Okazuje się, że trzeba trzymać się cały czas lewej strony. Zdobywamy powoli wysokość. Idziemy teraz niezwiązani; sztywna asekuracja przedłużyłaby wejście, lotna — nie dawałaby i tak szans zatrzymania przy obsunięciu się na twardym lodzie. Poruszamy się przeważnie na przednich zębach raków — jest to szybsze niż rąbanie stopni, ale na dłuższą metę bardzo męczące dla nóg. W pewnej chwili łamie mi się rak. Wiążę go jakoś taśmami, jednak czuję się odtań na lodzie znacznie mniej pewnie. Zmęczenie robi swoje — posuwamy się w górę coraz wolniej. Gdy kuluar rozdziela się na dwa ramiona, wybieramy lewe, mniej strome, ale wyprowadzające na grań dalej od szczytu. W tym dniu nie udaje się nam osiągnąć grani. Jesteśmy zbyt zmęczeni, by pokonać ostatnie 150 m wysokości i decydujemy się na biwak w kuluarze.

Wyrobienie platformy pod namiot w stromym lodowym zboczach zajmuje nam pełne dwie godziny. Pracujemy na zmianę — jeden rąbie, drugi dyszy. Wolimy jednak to niż dalsze podchodzenie na przełęcz — po prostu inny rodzaj wysiłku. Biwak mamy luksusowy. Gotujemy długo i obficie, łykamy po tabletkę nasennej i zasypiamy z przeświadczeniem, że szczyt będzie chyba nasz.

Rano ruszamy bez obciążenia. Musimy przed wieczorem osiągnąć szczyt i wrócić do namiotu. Osiągnięcie grani bez plecaka nie stanowi problemu. Wchodzimy na szerokie siodło przełęczy — widać z niego obóz I i bazę. Ku szczytowi prowadzi długa jeszcze grań. Początkowo szeroka i połoga, rychno spiętrza się ona w stromy śnieżny grzbiet, którym trzeba podejść około 300 m w górę. Dalszej drogi nie widać.

Śnieg na grani jest głęboki, zupełnie nie związany, na stromym podejściu zapadamy się po pas. Torujemy na zmianę, jednak drugi ma niewiele lżej od pierwszego. Wal-

czymy dosłownie o każdy metr wysokości, odpoczywając co parę kroków. Sprawa zaczyna wyglądać beznadziejnie. Jeśli tak będzie aż do szczytu — nie mamy rady. Czyżbyśmy mieli cofnąć się z tak wysoka? Na domiar złego wieje zimny wiatr i marzną nam nogi. Czuję, że z moimi dzieje się coś niedobrego. Odmroziłem sobie na Nadir Szachu stopy i teraz zaczynają mnie silnie boleć. Na szczęście śnieg stopniowo poprawia się. Grań biegnie bardziej poziomo, staje się natomiast ostra, tworząc coś w rodzaju lodowego konia. Mijamy liczne jej kulminacje, z których każda wydaje się oczekiwanym wierzchołkiem. Wreszcie szczyt. Nie mamy czasu na celebrowanie obrzędów pierwszego wejścia. Jest zimno — boimy się o nogi. Zejście do namiotu odbywa się szybko. W namiocie po zdjęciu butów konsternacja: obaj mamy odmrożone stopy.

Dzień następny, dzień zejścia do bazy, jest zarazem dniem bólu. Już wciągnięcie butów na obrzękłe, pokryte pęcherzami stopy stanowi nie lada problem. Potem udreka schodzenia w rakach, których paski napinając się uwierają nieznośnie, ustępuje jedynie męce wędrowki po niekończących się morenach. Z ulgą witamy odcinki, gdzie nie można schodzić i trzeba zakładać zjazd. Pod wieczór osiągamy potok, jakże niepodobny do tego, który przekraczaliśmy w drodze ku szczytowi. Tam, gdzie wówczas przebiegliśmy po kamieniach, teraz — po całodniowej operacji słonecznej, mętna woda sięga ud, a silny prąd z trudem pozwala na przejście przy asekuracji liną. Z determinacją ładujemy się do wody w butach i ubraniach. Po wyjściu z lodowatego potoku stopy bolą tak, że chce się krzyżeć. Na szczęście do bazy, gdzie oczekują koleczy, jest już niedaleko.

Warunki pogodowe

W bezpośrednim sąsiedztwie bazy, na bocznej morenie doliny Mandaras, na wysokości ok. 4100 m, założono stację meteorologiczną, wyposażoną w połowę klatkę meteorologiczną, termometr zwyczajny i minimalny, minimalny przy powierzchni gruntu, higrograf włosowy i anemometr prędkościowy. Stacja była czynna w czasie od 6 sierpnia do 6 września 1962, z przerwami spowodowanymi nieobecnością wszystkich uczestników wyprawy w bazie. Obserwacje wykonywano w godz. 7, 13 i 21 średniego miejscowego czasu słonecznego.

Oto niektóre dane z opracowanego materiału: Średnia temperatura, obliczona z 15 dni, w czasie których wykonano wszystkie trzy obserwacje, wyniosła 5,90°C. Najwyższą temperaturę w okresie obserwacyjnym zanotowano 7 VIII w południe: 13,40, najniższą — w nocy z 6 na 7 IX: -2,50 i — kolejno — 1 IX: -1,60. Wahanie temperatury były więc umiarkowane. Deszcz w czasie całego okresu padał trzykrotnie, najwyższy opad wynosił ok. 5 mm (6 VIII). Śnieg w bazie nie padał. Nie zaobserwowano burz ani mgły. Średnia wilgotność obliczona z 31 dni, wyniosła 53%, najniższa średnia dzienna parokrotnie wyniosła 37%, absolutne minimum osiągnęło 12% (17 VIII). W ciągu szesnastodniowego okresu zanotowano 8 dni pogodnych, a tylko jeden pochmurny. Średnie zachmurzenie w

tym okresie wynosiło 3,0. Największa szybkość wiatru w terminie obserwacji wyniosła 5 m/sek, średnia z 15 dni — 1,4 m/sek. Niestety, z powodu stłuczenia w transporcie termometru pracowego brak danych z wyżej położonych obozów.

Dla porównania przytoczę nieco liczb i danych z tego samego okresu dla Kasprowego Wierchu, reprezentującego niższe partie szczytowe Tatr. Średnia temperatura za okres od 6 VIII do 6 IX wyniosła 7,50; najwyższa (15 VIII) 17,50, najniższa (1 IX) -1,30. Dni z opadem 0,1 mm było 14, dni pogodnych nie zanotowano w ogóle, pochmurnych było 8, dni z mgłą 17.

Z powyższego krótkiego przeglądu wynika, że warunki pogodowe w dolinie Mandaras były bardzo łagodne, najłagodniejsze chyba z panujących w znanych Polakom wysokich górach lodowcowych. Należy jednak zaznaczyć, że grupa krakowska, działająca w odległości zaledwie ok. 50 km na wschód, napotkała o wiele gorszą pogodę, szczególnie pod względem opadów, które wystąpiły już w takiej ilości, że powodowały lawiny świeżego śniegu. Różnica ta była spowodowana zapewne tym, że obszary, na których działała wyprawa były położone na granicy wpływu monsunu letniego znad Oceanu Indyjskiego.

Jerzy Mitkiewicz

Atak na Kuh-e Tez (7015 m) — w drodze do obozu III. Na dalszym planie plateau Kraków i szczyt Aual (ok. 5800 m).

Fot. Maciej Baranowski

Wśród lawin na Kuh-e Tez

Maciej Baranowski

Od pięciu dni jesteśmy w Hindukuszu. Z bazy we wsi Szachaur zaatakować chcemy wspaniałą szczyt 7116 m, wznoszący się w grzbiecie głównym. Z wstępnych rekonesansów wynika, że zamyka on od południa dolinę Szachaur. Zgodnie więc z przyjętą zasadą nadajemy mu tę samą nazwę. 5 sierpnia wyrusza nowy rzut zwiadów. Mają one stwierdzić możliwość zdobycia wierzchołka i określić ewentualną drogę ataku. Z Jurkiem Krajskim otrzymujemy trudne zadanie: wejść na przełęcz Kotgaz-An i zorientować się, jak od tej strony wygląda grań Szachaura.

Bazę opuszczamy o 7 rano i niebawem wchodzimy w dolinę Szachaur. Staramy się iść prędko. Przed nami biegnie mały afgański chłopczyk i przynosi nam raz po raz garście dzikich porzeczek i malin. Jemy je z chęcią, gdyż doskonale gaszą pragnienie. Częstoujemy chłopca cukierkami i cukrem, zastanawiając się, czego może od nas chcieć. Wreszcie jego towarzystwo zaczyna nas denerwować. Chcemy się go pozbyć i po którejś z rzędu garści owoców dajemy mu paczkę herbaty. Teraz znika natychmiast. Dochodzimy wreszcie do moreny czołowej. Wejście na jezor lodowca jest uciążliwe. Trzeba pokonać oślizgłe gliniaste stoki i spiętrzenia „przewieszonych piargów”. Po godzinie mozolnego wdrapywania się stajemy na lodowcu. Pokryty grubą warstwą szutru i kamieni nie jest wcale trudny. Ale oto zaczyna padać deszcz. Rezygnujemy więc z dalszego podchodzenia i przygotowujemy platformę na biwak. Korzystając

z chwilowego roz pogodzenia zaglądamy jeszcze do bocznej dolinki. Nic jednak nie widać — mgły zasłoniły wszystko.

Nazajutrz pogoda jest niewiele lepsza. Dopiero koło południa robi się nieco jaśniej. Decydujemy się wyruszyć. Robi się od razu gorąco, droga jest ciężka. Grzeźniemy w mokrym świeżym śniegu, coraz bardziej czując dokuczliwy ciężar plecaków. Nagle doliną wstrząsa ogromny huk... To Szachaur daje znać o sobie. Olbrzymia lawina seraków wali się do stóp ściany i zakwita wspaniałym śnieżnym grzybem. Znajdujemy się w odległości kilometra od niej, a mimo to podmuch niosący kryształki lodu i śniegu dochodzi aż do nas. Chmura śnieżnego pyłu rozchodzi się z wolna. Przez 20 minut jesteśmy świadkami wspaniałego widowiska...

Droga na przełęcz prowadzi szeroką depresją zaslaną olbrzymimi bryłami lodowymi. To pozostałości lawin seraków. Klucząc pomiędzy nimi zbliżamy się powoli do lawinowego stożka zamykającego rynnę lodową, która powinna wyprowadzać na przełęcz. Jeszcze kilka metrów... Przekraczamy most śnieżny nad ogromną szczeliną i znajdujemy się na szczycie 30-metrowego seraka. Nad nami ucieka stromo w górę lodowe pole, zakończone barierą skałek. Mały czarny kamyk, który przed chwilą tkwił jeszcze w którejś ze skałek, obrywa się i zabawnie koziołkuje pomyka ku nam, to przyspieszając, to zwalniając biegu. Mamy czas. Czekamy, aż zbliży się na taką odległość, że będzie wiadomo, na którą stronę należy uskoczyć. Odwracam na moment wzrok, ale



gdy kieruję go znów ku górze kamień pędzi z ogromną szybkością unoszony przez śnieżną lawinę! Sunący śnieg podcina mi nogi... Jak wystrzelony z procy przelatuję przez szczelinę i zbliżam się na skraj seraka... Lecę!

Potem wszystko nieruchomieje. Ze zdumieniem rozglądam się dokoła. Żyję. Trzydzieści metrów wyżej Jurek wygrzebuje się ze zwałów śniegu. Próbuje wstać. Chyba nic mi się nie stało, czuję tylko ból w nodze. Przygotowujemy się do odwrotu a potem powoli schodzimy w dół. U wylotu doliny spotykamy resztę grupy. Zaniepokojeni naszą przedłużającą się nieobecnością i opowiadaniem Karola Jakubowskiego o lawinie, która zesłała w rejonie przełęczy, zorganizowali akcję ratunkową. Razem schodzimy do bazy.

W bazie długie dyskusje. W ich wyniku decydujemy się na przerwanie zwiadów w dolinie Szachaur — widoki na zdobycie stąd szczytu są raczej nikłe. Organizujemy karawanę i przenosimy się dalej na wschód. Biel z Bałą wyprzedzają nas o pół dnia — mają zbadać teren przyszłego działania. Po-

nieważ już poprzednie rekonesanse eliminują z kręgu naszych zainteresowań doliny Langar i Urgend, od razu kierujemy się do doliny Urgend-e Bala. Czekają tu na zdobycie trzy wspaniałe siedmiotysięczniki, z których środkowy obieramy jako cel ataku. Na wysokości ok. 4350 m zostaje założona baza główna. Sprzęt i żywność wynieśli tragarze, teraz schodzą w dół — spotkamy się z nimi za trzy tygodnie. Zostaje z nami tylko trzech Afganów: wojskowy opiekun i dwaj najwytrwalsi tragarze. Pomogą nam oni przenieść bagaż do bazy wysuniętej.

Przez następne dni sami zamieniamy się w tragarzy. Bała, Ciončka i Krajski zakładają obóz I, Biel z mną i z Łazarskim wchodzi na bezimienny szczyt nad obozem ok. 5800 m wysokości. Widok i pomiary z wierzchołka rozwiewają ostatnie powątpiewania. Szczyt ma 7015 m wysokości i piękną ostrą sylwetkę, od której otrzymuje nazwę w miejscowym narzeczu *farsi* — Kuh-e Tez.

W dwa dni później — 19 sierpnia — z bazy wysuniętej wyruszają Bała, Ciončka i Krajski z zadaniem założenia obozu II, na przełęczy między szczytem Kuh-e Tez a bezimiennym wierzchołkiem 6856 m. Nie korzystając z obozu I podchodzą oni na wysokość 5700 m, gdzie biwakują. Następnego dnia rozbijają pierwszy namiot obozu II. Tymczasem z bazy wysuniętej wyrusza Biel z Łazarskim i ze mną, by tymczasowy obóz I przesunąć wyżej, a w dalszej kolejności rozbudować obóz II. Na wysokości 5600 m, na skraju olbrzymiego tarasu lodowego ograniczonego z dwóch stron szczelinami, ustawiamy pierwsze namioty obozu I. Niestety, śnieżyca uniemożliwia nam dalszą pracę i wraz z zespołem Bały wycofujemy się do bazy wysuniętej. Tu wieczorem narada z obecnością całej grupy. Staszek Biel podejmuje decyzję: „Dzielimy się na dwa zespoły. Olech, Krajski, Jakubowski i Pąchalski wyruszą jutro jako pierwsi. Powinni założyć obóz III i jeśli im sił wystarczy zaatakować szczyt. Nasza piątka wyjdzie dzień później rozbudowując obozy. Spotkamy się na przełęczy...”

Jest 26 sierpnia. Opuszczamy bazę wysuniętą, idzie z nami Jakubowski, którego złamany czekan zmusił wczoraj do odwrotu. Śnieg staje się coraz straszniejszy, coraz częściej musimy kluczyć między serakami. Po cichu liczymy kroki: ...dwanaście, trzynaście, czternaście. Może tym razem uda się ich zrobić więcej. Jest gorąco, pot zalewuje. W głębokim śniegu zapadamy się powyżej kolan. Gdzieś w górze wyczuwamy plateau przełęczy, obóz wydaje się już blisko. Znów odpoczynek. Śiadamy na workach. 30 kilo na tej wysokości to stanow-

Kuh-e Tez (7015 m) z drogą grupy krakowskiej II PWH. Baza wysunięta oraz obozy I—III.

Fot. Maciej Baranowski



czo za dużo. Gdyby nie ostatnie załamanie pogody, moglibyśmy iść z obciążeniem o połowę mniejszym. Uniemożliwiło ono planowe zakładanie obozów i zmusiło nas do przyspieszenia szturmu. Znowu mozolny marsz ku górze, potem teren staje się mniej stromy. Południe, temperatura w słońcu dochodzi do 30 stopni. Na szczęście obóz I już blisko.

Dochodzimy do namiotów, z ulgą zrzucamy plecaki. Zaczynają warczeć prymusy. Lokalizacja obozu wydaje nam się zupełnie bezpieczna, to też poruszamy się po nim beztrasko, z ciekawością obserwując lawiny seraków zwałające się ze stoków Urgendu. Olbrzymie turnie lodowe obrywają się w górze i spadają z grzmotem w dolinę. Tutaj tracą pęd i przewalając się z boku na bok, lub sunąc po śniegu jak sanie, wpadają po kolei w szczeliny. Inne zatrzymują się przed szczelinami i tworzą fantastyczne budowle lodowe. Szybko zbliża się wieczór. Wchodzimy do śpiworów i tylko przez uchylone rękawy namiotów obserwujemy zachodzące słońce. Wtem nowa lawina seraków odrywa się ze ściany Urgendu. Rozbijając się o skały pędzi z dużą szybkością w dół. Po śniegu zsuwają się lodowe bryły. Spokojnie patrzymy na nie, czujemy się bowiem bezpieczni. Jednak lawina zmienia raptem kierunek i zaczyna sunąć w stronę naszych namiotów. Od obozu dzieli ją jeszcze 500 metrów, ale odległość ciągle maleje. Niosące zagładę kawały lodu przewalają się i kotłują... Lecz teren staje się płaski i lawina traci impet. Z wolna zatrzymuje się, od obozu dzieli ją zaledwie 200 metrów.

Następnego dnia wstajemy wcześniej. O godz. 6 wychodzimy z obozu. Słabo widocznymi śladami naszych poprzedników posuwamy się do góry. Co jakiś czas napotykały małe czerwone chorągiewki. To trasy, którymi wyznaczili nam bezpieczną drogę. W miejscu, w którym nocowali, spotyka nas niemiła niespodzianka. Worek z jedzeniem i namiot, dodatkowe paręnaście kilogramów, czekają aby je wynieść na przełęcz. Sprawiedliwie obdzielamy się bagażem i ruszamy dalej. Śnieg staje się ciężki, co parę minut trzeba zmieniać prowadzenie. Wyraźnie odczuwamy wpływ obciążenia. Ruchy stają się powolne, każde szybsze poruszenie powoduje zadyszkę. Krok za krokiem pniemy się w górę. Nad głowami wisí nam bariera seraków — ostatnia przeszkoda dzieląca nas od przełęczy. Na wy-

sokości 6000 m ostatni większy odpoczynek. Herbata, parę zdjęć. Nie musimy się już spieszyć — niebezpieczny odcinek pod serakami mamy poza sobą. Podziwiamy wspaniałe formacje lodowe, które tym razem okazały nam swą życzliwość. Potem dalej w górę. Ostatnie spiętrzenie pokonujemy zapadając się dosłownie po pas w śniegu. Jeszcze godzina podejścia i oto obóz II. Nie zastajemy w nim nikogo, zespół Krajskiego nocuje widocznie wyżej, w założonym obozie III.

Rozpoczyna się kluczowy akt naszej przygody. 28 sierpnia Bała, Biel i Łazarski wyruszają z obozu II. Spotykają schodzących w dół Krajskiego, Pąchalskiego i Olecha, którzy założyli zgodnie z planem obóz III, a następnego dnia — 27 sierpnia — zdobyli szczyt Kuh-e Tez i w ustawionym kopcu złożyli proporce i wizytówki. Zespół Biela idzie dalej i osiąga obóz III, skąd Bała robi szybko samotny wypad na szczyt. Następnego dnia wchodzi tam po raz wtóry razem z Bielem i Łazarskim. 29 sierpnia spotykamy ich, gdy schodzą na dół. Pogoda zaczyna się wyraźnie psuć. Gdy wieczorem docieramy do obozu III, szaleje wichura z zamiecią. Mimo ciężkich warunków i my wchodzimy następnego dnia na wierzchołek. Tworzy on małe śnieżne plateau, na którym zastajemy kopczyk nieporadnie ułożony rękami naszych kolegów. Znajdujemy w nim puszkę z proporcami wyprawy i nazwiskami, do których dopisujemy i swoje. Mgła i śnieżycy nie zachęcają do dłuższego pobytu na szczycie. Huk kamieni wrywanych z grani przez szalejącą wichurę przypomina poligon artyleryjski. Chwilami trudno utrzymać się na nogach. Trzeba wracać na dół.

W śnieżycy, przy zupełnym braku widoczności likwidujemy obóz III i zaczynamy schodzić na przełęcz. Gdy wieczorem dobijamy do namiotów obozu II zastajemy je zasypane kompletnie śniegiem. Zejście staje się niemożliwe — metrowy opad unieruchamia nas. Tkwimy w namiotach oczekując poprawy pogody. Odczuwamy pierwsze objawy deterioracji. 1 września rozpozgodzenie. Likwidujemy obóz II i rozpoczynamy zejście. Schodzimy w dużych odstępach trzema zespołami. Późnym wieczorem docieramy do bazy wysuniętej. Krajski i Olech zostali jeszcze w górze, by zwinąć obóz I. Potem przychodzi tragarze i zaczyna się powolna likwidacja baz, a potem powrót w dolinę.

Aprovizacja

Sporządzając plan zaopatrzenia w żywność grupy krakowskiej II Polskiej Wyprawy w Hindukusz opieraliśmy się głównie na doświadczeniach i zestawach I PWH (patrz „*Taternik*” 2-4/1962 s. 146-151). Zmiany w zestawach spowodowane były jedynie brakiem pewnych asortymentów na rynku, a także koniecznością dostosowania wielkości opakowań do racji dziennych. Żywność zaprojektowana była dla 9 osób na 73 dni. Podzieliliśmy ją na 4 grupy: 1. na dojazd i powrót przez Afganistan (20 dni); 2. na zasadniczą działalność górską (26 dni); 3. na żywność „szturmową” (10 dni); 4. na żywność bazową (17 dni). Całe zaopatrzenie — poza aprovizacją bazy — mieliśmy podzielone na racje dzienne. Przy żywności domarszowej były to porcje na 9 osób, przy zasadniczej — na 3 osoby, a przy szturmowej — na 2 osoby.

Nie będę się zajmował opisem poszczególnych zestawów, podam natomiast parę uwag, które moim zdaniem należałoby uwzględnić planując zaopatrzenie żywnościowe następnych wypraw. Uwagi te opierają się na moich obserwacjach poczynionych w trakcie wyprawy.

Ogólnie biorąc ilość żywności, jaką wzięliśmy z sobą, była nieco za duża. Szczególnie uwidaczniał się nadmiar słodzonego mleka w puszkach oraz wszelkiego rodzaju słodkich ciasteczek. Ilość przetworów mięsnych w zasadzie wystarczała, pomimo że nie było ich zbyt dużo. Na trwałość poszczególnych produktów nie możemy się uskarżać. W sposób nie nadający się do użycia zepsuł się nam tylko ser tyłżycy, paczkowy w metalowe puszki specjalnie na nasze zamówienie.

Żywność domarszowa. Podróż samochodem ciężarowym przez Afganistan narzuca sposób odżywiania się. Klimat umożliwia jedynie jazdę we wczesnych godzinach rannych i wieczorem do późnej nocy. Południowa przerwa z powodu zbyt wysokiej temperatury nie sprzyja przyrządzaniu zbyt skomplikowanych posiłków.

Posiłek poranny winien być oparty na dodatkach do kupowanych w miejscowych „czajchanach” herbacie i chlebie (bardzo dobry i chętnie przez wszystkich jedzony). Na posiłek południowy wystarcza jedno danie gotowane i duża ilość napojów (najlepiej sok lub kompot). Przyrządzana zazwyczaj późno w nocy kolacja również powinna się opierać na jednym gotowanym danu (zupa lub drugie danie). Poza tym konieczne jest przygotowanie prostych potraw możliwych do zjedzenia w czasie jazdy lub krótkich postojów. Porcje żywnościowe winny być jak najbardziej zróżnicowane — co najmniej w 4 wariantach. Waga bębnów, w których przewozi się żywność domarszową, nie jest istotna, ponieważ całą drogę odbywają one samochodem.

Żywność na pobyt w górach. W Hindukuszu, gdzie nie zachodzi w zasadzie konieczność długiego przebywania w obozach pośrednich na dużych wysokościach, porcjowanie żywności nie ma wielkiego znaczenia i może być ograniczone do ok. 1/3 czasu przewidzianego na działalność. Racje powinny zawierać wyłącznie produkty podstawowe — wszelkie dodatki, jak owoce, cukierki, pieczywo itp., należy pozostawić do wyboru uczestnikom.

Jeśli chodzi o tzw. żywność szturmową, jej porcjowanie nie jest potrzebne (na 45 porcji zużyto 10), byłaby natomiast pożądana jako spe-

cialny dodatek do normalnych porcji na działalność zasadniczą na ok. 3-4 dni.

Żywność bazowa powinna zawierać jak najwięcej produktów nie ujętych w normalnych racjach dziennych. Mogą to być produkty wymagające dość dużo czasu do przygotowania, przy czym wielkość opakowania nie odgrywa roli. Wszystkie artykuły masowe winny być pakowane w porcje dzienne dla określonej ilości osób (ważne). Należy się też liczyć z kupowaniem niektórych produktów na miejscu, np. świeżego mięsa, chleba czy owoców. Żywność bazowa powinna być zaprojektowana na ok. 2/3 czasu przewidzianego na pobyt w górach.

Próba oceny. Kwalifikacja poszczególnych artykułów w warunkach wyprawy wypadła częściej inaczej, niż w normalnym gospodarstwie domowym. Poniższe zestawienie kilkunastu wyróżniających się będzie zapewne przydatne nie tylko organizatorom przyszłych wypraw, ale i kierownikom obozów sportowych, a nawet osobom wyjeżdżającym indywidualnie w góry.

1. Ser topiony — najlepszy okazał się złoty „ementaler”, paczkowy specjalnie dla wyprawy. Ser edamski cieszył się mniejszym powodzeniem. Tyłżycy zepsuł się.

2. Jajka w proszku — bardzo potrzebne, zwłaszcza jako dodatek do zup i potraw. W hermetycznych puszkach dobrze zniósł transport.

3. Kiełbasa „salami” — znakomita i chętnie jedzona. Wytrzymała gorący klimat do końca wyprawy.

4. Szynka mielona — obok gatunkowej konserwy wieprzowej należała do najchętniej spożywanych mięs. Doskonale zniósła podróż.

5. Konserwy mięsnojarzynowe — dobre i proste w przygotowaniu, w naszych warunkach były za mało urozmaicone (mieliśmy tylko 3 gatunki).

6. Ogórki konserwowe i fasola szparagowa — bardzo dobre i chętnie jedzone na wszystkich wysokościach.

7. Soki owocowe w konserwach (borówkowe i malinowe) — świetnie gaszą pragnienie, jednak ze względu na wagę było ich niestety mało.

8. Gotowane ziemniaki w proszku — robiono z nich najsmaczniejszą z zup.

9. Pieczywo — najlepsze słone paluszki.

10. Ciastka — konieczny możliwie największy wybór.

11. Cukierki — również w miarę możliwości rozmaite i konieczne miękkie (nadziewane).

12. Mleko skondensowane — było go za dużo, najlepsze jest niesłodzone.

13. Dżemy — dosyć chętnie jedzone, jednak za mało urozmaicone.

14. Owoce suszone — nie znajdowały wielu chętnych, być może dlatego, że mieliśmy tylko dwa gatunki (śliwki i morele).

15. Masło topione — przydatne w bazie, jako tłuszcz do przyrządzania potraw. Zabrałszy go zbyt dużo.

Ogólna waga żywności dla naszej grupy wyniosła brutto 1250 kg. Zapakowaliśmy ją w 35 bębnów o przeciętnej wadze 45 kg przy żywności domarszowej i 33 — 37 kg przy pozostałej. Łączny koszt zaopatrzenia żywnościowego zamknął się sumą 29 000 złotych.

Marian Bała



Pod wierzchołkiem Aual (Auwal, ok. 5800 m) nadplateau Kraków. Szczyt zdobył zespół Baranowski, Biel i Łazarzski.

Fot. Maciej Baranowski

Hindukusz 1962 – podsumowanie

Ryszard Wiktor Schramm

Wyprawa w Hindukusz w r. 1962 była dalszym bardzo poważnym krokiem zarówno w poznaniu tych gór, jak i w rozwoju polskiego alpinizmu egzotycznego.

Działalność wyprawy była wyraźnie dwutorowa: alpinistyczna i topograficzna. Grupa poznańska, która wyjechała z konkretnym celem eksplorowania otoczenia doliny Mandaras, a w szczególności zdobycia szczytu 7125 m (M 4, nazwanego następnie Kuh-e Nadir Szach), realizowała ten cel konsekwentnie, nie wychodząc w zasadzie poza obręb doliny i zdobywając w efekcie zamierzony szczyt siedmiotysięczny (weszło na niego 9 uczestników) oraz 4 szczyty o wysokości ponad 6000 m. Natomiast osiągnięcia topograficzne grupy poznańskiej są stosunkowo niewielkie i sprowadzają się do sporządzenia szczegółowego planu otoczenia samej doliny Mandaras. W tej dziedzinie najważniejszym sukcesem było odkrycie w grani bocznej odchodzącej od M 4 przeszło siedmiotysięcznego szczytu M 1, który na-

stępnie zidentyfikowano ze szczytem widzianym przez rekonesans I Polskiej Wyprawy (1960) z przełęczy 5200 m nad doliną Warg oraz ze szczytem oglądanym przez wyprawę austriacką pod kierownictwem Su Kutschery (1962) z doliny Kiszmi Chan. Ten siedmiotysięcznik, nie figurujący na żadnej mapie, najdalej wysunięty ku dolinie Ab-e Pańdża, był znany ludności miejscowej pod nazwą Kiszmi Chan i jest najwyższym szczytem wznoszącym się w całości na terytorium Afganistanu. Jego wysokość, oceniona przez II Polską Wyprawę (1962) na 7200 m, zmierzona została w r. 1963 przez III Polską Wyprawę (Łódźką) na 7177 m. Rekonesans grupy poznańskiej wypatrzył też stosunkowo łatwą drogę na Kiszmi Chana z doliny Szachur, którą w roku następnym zdobyła go III Polska Wyprawa w Hindukusz.

Grupa krakowska, która z braku materiałów przyjechała z niezbyt sprecyzowanym planem zdobycia jednego lub więcej szczy-

tów siedmiotysięcznych wznoszących się na wschód od Nadir Szacha, rozpoczęła działalność od doliny Szachaur. Stwierdziwszy tu problematyczne możliwości zdobycia zamkniętego ją od południa szczytu 7116 m, któremu nadano nazwę Szachaur, zmieniła plany i skierowała swe poczynania w dwóch kierunkach: wyszukania jakiegoś łatwiej dostępnego szczytu siedmiotysięcznego, oraz możliwie dokładnego zbadania reszty najwyższej części Hindukuszu po stronie afgańskiej, stanowiącej dotąd białą plamę na mapach. Dążąc z pośpiechem do realizacji tego planu, przeoczono najpiękniejszy i stosunkowo łatwo dostępny cel, jakim był Kiszmi Chan, widoczny z dna doliny Szachaur, choć dość daleko od niego odsunięty. W jego pobliże dotarły dopiero ostatnie rekonesanse tej grupy, po zakończeniu właściwych działań. Sukcesem alpinistycznym krakowskiej części wyprawy stało się zdobycie szczytu nazwanego Kuh-e Tez (7015 m), wznoszącego się w grupie najdalej ku wsch. wysuniętych wierzchołków siedmiotysięcznych Hindukuszu. Pełnym powodzeniem zakończyła się też działalność topograficzna alpinistów krakowskich, w trakcie której zdobyte zostały 3 szczyty pięcioletni i 5 czteroletni.

W sumie działalność wysokogórska II Polskiej Wyprawy w Hindukusz przyniosła zdobycie 2 szczytów o wysokości przekraczającej 7000 m (weszło na nie 18 uczestników, w tym 15 Polaków), 4 szczytów 6-tysięcznych, 3 szczytów 5-tysięcznych oraz 5 szczytów 4-tysięcznych. W ten sposób ilość zdobytych przez Polaków „siedmiotysięczników” wzrosła do 4: Noszak 7492 m (1960), Nanda Devi East 7434 m (1939), Kuh-e Nadir Szach 7125 m (1962) i Kuh-e Tez 7015 m (1962), zaś liczba alpinistów, którzy weszli na wysokość 7000 m z 9 na 24. Z alpinistycznego punktu widzenia na szczególnie podkreślenie zasługuje też wejście na Kuh-e Mandaras (6631 m) śnieżno-lodową drogą o dużych miejscami trudnościach i ok. 2000 m różnicy wzniesień, najpiękniejszy tego rodzaju wyczyn w naszym dotychczasowym alpinizmie egzotycznym.

Działalność topograficzna obu wypraw, a w szczególności II Polskiej Wyprawy, doprowadziła do dosyć dokładnego poznania dziewiczej afgańskiej części najwyższych partii Hindukuszu Wschodniego. Zwiedzono wszystkie doliny w tym obszarze, idąc od zachodu ku wschodowi: Kazi Deh, Mandaras, Warg, Kiszmi Chan, Lachs, Szachaur, Langar, Warup (Urup), Urgend-e Payan oraz Urgend-e Bala. Niejednokrotnie wchodzono na najwyższe piętra dolin i na szczyty oraz przełęcze w ich otoczeniu. Stwier-

dzono, że dalej ku wschodowi Ab-e Pańdza nie przyjmuje z tej strony dopływów tworzących większe doliny, a wysokość szczytów Hindukuszu wyraźnie się obniża. W rezultacie licznych pomiarów kierunkowych z pomocą busoli i teodolitów oraz w oparciu o dużą ilość zdjęć panoramicznych, zespół krakowski w składzie S. Biel, M. Bała i J. Wala wykonał — stopniowo w kilku coraz dokładniejszych wersjach — schematyczną mapę najwyższych partii Hindukuszu Wschodniego oraz szereg szkiców panoramicznych i szczegółowych ważniejszych szczytów. Materiały te, szybko i szeroko udostępnione, stały się podstawą działalności w tym rejonie wszystkich dalszych wypraw, co było na Zachodzie z pełnym uznaniem podkreślane (np. A. Diemberger, Oesterreichische Alpenzeitung, 3—4/1964, „Alpinismus” 12/1964).

Pod względem założeń organizacyjnych II Polska Wyprawa w Hindukusz wprowadziła w stosunku do poprzednich polskich wypraw trzy nowe posunięcia: bezpośrednio organizacja wyprawy spoczywała w rękach kół terenowych Klubu Wysokogórskiego, do współdziałania zostali zaproszeni alpinści zagraniczni, co okazało się pomysłem ze wszech miar korzystnym dla obu stron, wreszcie zastosowano po raz pierwszy (grupa poznańska) płynny gaz (butan-propan) jako jedyne paliwo w toku całej wyprawy, zarówno w czasie dojazdu, jak i całej działalności górskiej.

Wszystkie te posunięcia zdały egzamin bez zarzutu i powinny znaleźć zastosowanie przy przygotowywaniu dalszych wypraw, wszystkie jednak z pewnymi zastrzeżeniami. I tak organizowanie wspólnych wypraw (z udziałem alpinistów zagranicznych) może się odbywać w tereny dla obydwu stron jednako atrakcyjne alpinistycznie i opłacające się finansowo, jak to miało miejsce w przypadku Hindukuszu. Powierzenie organizacji wyprawy kołom KW również okazało się posunięciem szczęśliwym, gdyż w ten sposób można było najłatwiej uzyskać pomoc terenu, bezpośrednio zainteresowanego „swoją” wyprawą. Przy szczupłym budżecie Klubu Wysokogórskiego i — bądź co bądź — kosztowności tego rodzaju przedsięwzięć, nie jest to naturalnie bez znaczenia. W tym jednakże przypadku, jak wykazało doświadczenie, konieczne jest dostatecznie wczesne, tj. na około półtora roku przed rozpoczęciem wyprawy, zatwierdzenie jej przez władze nadrzędne (ZG Klubu Wysokogórskiego, GKKFiT), co dopiero umożliwi sprawne rozplanowanie i przeprowadzenie całej akcji.

Używanie butanu-propanu jako jedynej paliwa na wyprawie posiada ogromne zalety, jeśli chodzi o łatwość i czystość manipu-

lacji, uwarunkowane jest jednak produkcją odpowiednio małych i lekkich zbiorniczków (ładunków do jednorazowego użycia) oraz dostosowanych do nich specjalnych palników. Polskie zbiorniki (butle), których waga własna znacznie przekracza wagę zawartego w nich paliwa, wraz z używanymi do nich ciężkimi Kuchenkami, mogą być stosowane tylko tam, gdzie dadzą się stosunkowo łatwo przetransportować. W czasie II Polskiej Wyprawy w Hindukusz były używane z powodzeniem w czasie dojazdu i domarszu oraz w bazie głównej w dolinie Mandaras. Natomiast w czasie całej akcji górskiej, we wszystkich wyższych obozach i na rekonesansach, stosowaliśmy wyłącznie lekkie i wygodne małe ładunki (w kilku rozmiarach) ze specjalnymi palnikami, dostarczone przez kolegów francuskich.

W zestawie żywności starano się w miarę możliwości uwzględnić przyzwyczajenia smakowe uczestników, zabrano np. znacznie więcej od I wyprawy ekstraktu kawowego „Marago”. Zastosowany przez grupę poznańską sposób pakowania żywności bez racjonowania zapasów bazowych okazał się w praktyce b. wygodny. Wielkość racji przygotowanych na działalność, a zwłaszcza szturmowych, wzorowana na doświadczeniach I Wyprawy, okazała się jednak niewystarczająca pod względem ilości, gdyż większa łatwość przygotowywania posiłków na kuchenkach butanowych wydatnie zwiększyła zużycie żywności w wyższych obozach.

Jeśli chodzi o sprzęt, bardzo przydatne

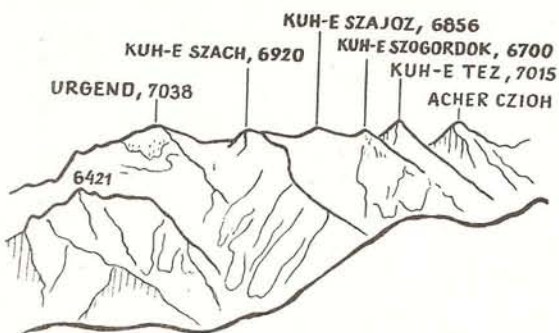
w akcji rekonesansowej i częściowo szturmowej były lekkie nylonowe namioty izotermiczne firmy „La Cordée”, których użycie umożliwiło m. in. zdobycie do marszu Kuh-e Mandaras. Bardzo dobre okazały się również filcowe buty wysokościowe na podszwie wibramowej, wyprodukowane przez Podhalańską Spółdzielnię Tkacko-Trykotarską PLiA w Nowym Targu (używali ich nie wszyscy uczestnicy wyprawy).

II Polska Wyprawa w Hindukusz spełniła także ważną rolę w dziele dalszego zacieśniania przyjaznych stosunków polsko-afgańskich. Władze Afganistanu żywo interesowały się wynikami sportowymi i obserwacjami naukowymi Wyprawy i udzielały jej wszechstronnego poparcia i pomocy. Z dużym uznaniem spotkała się propozycja nazwania zdobytego przez grupę poznańską szczytu 7125 m, jednego z najwyższych w Afganistanie, imieniem poprzedniego króla tego kraju, Nadir Szacha, ojca panującego obecnie Zahir Szacha. Zatwierdzona przez odpowiednie czynniki afgańskie nazwa ta weszła już do oficjalnego nazewnictwa geograficznego. Prasa afgańska zamieściła po zakończeniu wyprawy obszerny artykuł o jej przebiegu, w kilku językach — *farsi*, *pusztu*, angielskim. Wszystko to razem wytworzyło wokół naszych dokonań b. korzystny klimat życzliwości i zainteresowania, przyczyniając się m. in. do tego, że już w następnym roku mogła wyruszyć do Afganistanu trzecia z kolei Polska Wyprawa w Hindukusz.

Które szczyty zdobyli salzburczycy?

Dr Adolf Diemberger, omawiając działalność „Hindukusch-Kundfahrt der ÖAV-HG-Salzburg 1963” i opierając się na relacji kierownika wyprawy, Marcusa Schmucka, pisze w „Österreichische Alpenzeitung” nr 1334 (s. 35), co następuje: „Na podstawie rekonesansu salzburżan wiemy, że w grzbiecie górskim w kierunku Urgendu są jeszcze dwa dalsze szczyty sześciotysięczne. Jeden wznoszący się bezpośrednio na zachód od Kuh-e Szogordok został również zdobyty przez salzburżan i nazwany Kuh-e Szajoz (ma on ok. 6920 m wysokości). Salzburżanie nie dotarli już do jego zachodniego sąsiada (też o wysokości około 6900 m) — dwuwierzchołkowego szczytu pokrytego śniegiem.” Wspomnianemu szczytowi o dwu wierzchołkach nadano nazwę Kuh-e Szach.

W związku z powyższymi uwagami dra A. Diembergera — nawiasem mówiąc powtórzonymi później na łamach „Alpinismus” nr 12/1964 s. 36 — warto przypomnieć, że opisany przez Austriaków rejon rozpoznany został wcześniej, świadczy o tym choćby zdjęcie odcinka grani głównej od strony południowej, zamieszczone w „Rivista Mensile del C.A.I.” nr 3-4/1960 (por. szkic), a wykonane przez F. Alletto z obozu V w drodze na Saragar. Ponadto w materiałach zebranych przez grupę krakowską II Polskiej Wyprawy w Hindukusz i przesłanych drowi A. Diembergerowi, co prawda dopiero w lutym 1964 r., znajdują się szkice wymienionego odcinka grani widzianego od wschodu, północy i północnego zachodu.



Grań Urgend — Acher Czioh widziana od południa, z drogi na Saragrar (obóz V). Rysunek na podstawie zdjęcia F. Alletto.

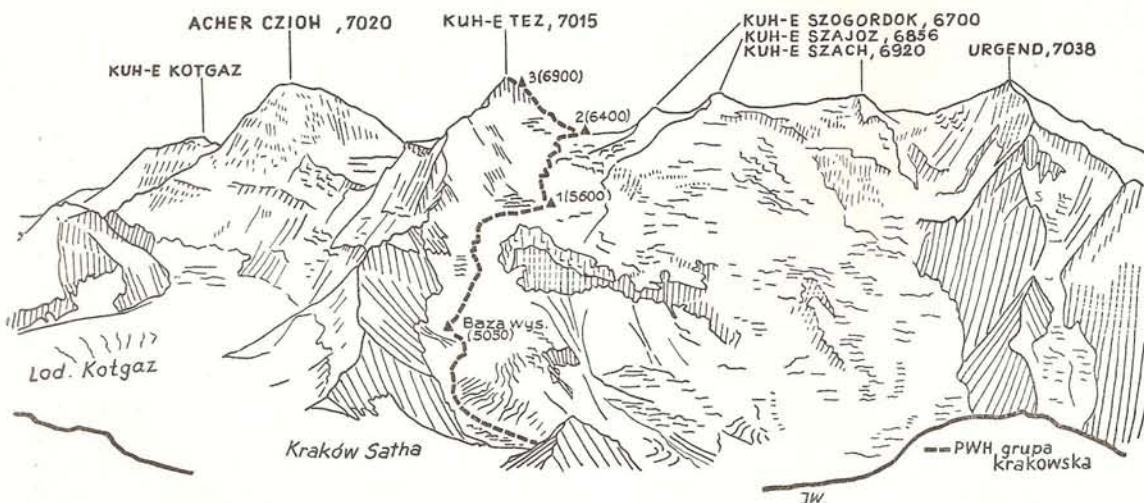
Analizując posiadane materiały dochodzę do wniosku, że do sprawozdania grupy z Salzburga musiała się wkraść pomyłka. Otóż w grani pomiędzy szczytami Kuh-e Tez i Urgend znajdują się w rzeczywistości trzy wzniesienia. Dwa z nich są uwzględnione na mapach *Survey of India* w skali 1:126720 (1931 r.), na których posiadają koty 6856 i 6920 m (wymieniam od wschodu). Te dwa wzniesienia występują na szkicu orograficznym zachodniej części Hindukuszu Wschodniego, opracowanym po dwu wyprawach polskich. Trzecie — o wysoko-

ści 6700 m — wyrasta tuż nad przełęczą, na której znajdował się obóz II naszej wyprawy i z której wyruszył atak na Kuh-e Tez. Wzniesienie to, przynajmniej oglądane od północy, jest przytłoczone bliskim sąsiedztwem szczytu 6856 m i dlatego nie było traktowane przez nas jako samodzielny wierzchołek (patrz szkic zamieszczony poniżej).

Moim zdaniem pierwszą zdobyczą Salzburchyków było właśnie to wzniesienie, jemu też przysługiwałaby nazwa Kuh-e Szogordok. Dopiero potem, po przetraversowaniu kilometrowego obniżenia określanego w opisie mianem „muldy”, dokonano wejścia na szczyt 6856 m, nazwany Kuh-e Szajoz. Obserwowany na zachodzie przed Urgendem dwuwierzchołkowy szczyt nazwany przez Austriaków Ku-e Szach, to znany nam wierzchołek 6920 m. Warto dodać, że oglądany z Kuh-e Tez, a więc z tego samego kierunku, z jakiego oglądali go salzburchianie, ma on rzeczywiście dwa wierzchołki.

Przy okazji chciałbym sprostować, że mieliśmy zamiar, udaremniiony intensywnym opadem, zaatakować szczyt 6856 m z naszego obozu II (ok. 6400 m) usytuowanego pod przełęczą, a nie — jak podaje dr A. Diemberger — z obozu III, który stał nieopodal wierzchołka Kuh-e Tez.

Stanisław Biel



Grań Acher Czioh — Urgend widziana ze szczytu Aual. Naniesiono drogę II PWH na Kuh-e Tez i podano prawidłowe wysokości szczytów zdobytych przez salzburchyków. Opracował Jerzy Wala na podstawie zdjęć Stanisława Biela.

III Polska Wyprawa w Hindukusz (1963)

Wyprawa była środowiskową wyprawą Koła Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego i nosiła nazwę „I Łódzka Wyprawa Eksploracyjna w Hindukusz Afgański”. Jej pieczętka miała treść następującą: „Klub Wysokogórski — Polish Mountaineering Club — I-sza Łódzka Wyprawa Eksploracyjna w Hindukusz Afgański — The First Łódź — Hindu Kush Expedition 1963”. Rejon działania stanowiła dolina Szachaur w Hindukuszu Wschodnim w prowincji Wachan.

W wyprawie udział wzięli: Tadeusz Bartzak (l. 28, inż. chemik), Tomasz Gozdecki (l. 28, inż. elektryk), Marek Grochowski (l. 21, student), Maciej Gryczyński (l. 27, lekarz), Bogdan Mac (l. 28, inż. elektryk), Jerzy Michalski (l. 32, inż. elektryk), Andrzej Miller (l. 27, inż. chemik), Antoni Tokarski (l. 25, geolog), Jerzy Warteresiewicz (l. 33, inż. elektryk), Andrzej Wilczkowski (l. 32, inż. mechanik — kierownik wyprawy). Wszyscy członkowie Koła Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego, z wyjątkiem Tokarskiego (Koło Krakowskie) i Warteresiewicza (Koło Warszawskie). W Kabulu zostali włączeni do grupy dwaj afgańscy nauczyciele wf — Aka Mohammed Bahar i Szamsolhak Bharomi.

Organizacja wyprawy

Na początek w chronologicznym porządku kilka ważniejszych dat. Maj 1961. Plenarne zebranie ZG KW w Krakowie ustala kolejność polskich wypraw w Hindukusz, przyznając Kołu Łódzkiemu organizację wyprawy w r. 1963. 19 XII 1961 Walne Zebranie Koła Łódzkiego KW podejmuje uchwałę o organizacji wyprawy. 17 I 1962 prezes Koła Łódzkiego, J. Michalski, przedstawia na zebraniu ZG KW plan przygotowań oraz sugestie co do możliwości jej finansowego zabezpieczenia — w ścisłym oparciu o środowiskowy charakter przedsięwzięcia. Koło Łódzkie otrzymuje od ZG KW dokument zlecający mu organizację wyprawy. 22 I 1962. Złożenie w Prezydium MRN i KŁ

PZPR memoriału w sprawie wyprawy; wstępne rozmowy. 12 II. Pierwsze wiadomości, że i Koło Warszawskie ma zamiar przystąpić do organizacji wyprawy.

Czerwiec 1962. Zapewnienie dra Juliana Godlewskiego z Zurychu, że bierze na siebie koszty dolarowe wyprawy. 16 X. Ukonstytuowanie się Komitetu Honorowego i Organizacyjnego Wyprawy. W skład Komitetu Honorowego wchodzi: I sekretarz KŁ PZPR — Michalina Tatarówna-Majkowska, przewodniczący Zw. Zaw. Włókniarzy — Józef Sychalski, przewodniczący Prezydium MRN — mgr Edward Kazimierczak i rektor Politechniki Łódzkiej, prof. Jerzy Werner. Na czele Komitetu Organizacyjnego staje sekretarz KŁ PZPR — mgr Hieronim Rejniak.

4 I 1963. Narada Komitetu Organizacyjnego z udziałem dyrektorów przedsiębiorstw. 15 III. Rozpoczęcie obowiązkowych szczepień i badań. 26 III. A. Wilczkowski opracowuje memoriał w sprawie terminu wyjazdu i składa go na ręce wiceprezesa KW W. Manduka oraz inż. B. Chwaścińskiego. 8 IV. ZG KW zawiadamia kierownika wyprawy, że w związku z obcięciem funduszy nie może preeliminować żadnych kwot na wyprawę. 10 IV. Złożenie dokumentów paszportowych w PPIS. 15 V. L. Łącki składa oświadczenie, że wobec braku funduszy grupa warszawska odstępuje od organizacji wyprawy. 27 V. Telegram z Kabulu o zgodzie Afganistanu na wyprawę. Jako teren działania w grę wchodzi pasma Hindukuszu Centralnego.

28 V. Zebranie Prezydium ZG KW. Dyskusja o celowości wyprawy, zatwierdzenie kierownika i składu. W dalszym ciągu z Klubu brak dotacji. 3 VII przewiezienie bagażu do Warszawy. 8 VII. Uzyskanie paszportów. 16 VII. Z Warszawy wychodzi pierwsza część bagażu — przesyłka dyplomatyczna, gdyż od 1 VII stacja Termez jest dla przesyłek ekspresowych zablokowana (w związku z tym koszt transportu 69 000 zł, przy 21 000 podczas I PWH). 17 VII. Pożegnanie w MRN w Łodzi. Przewodniczący MRN przekazuje kierownikowi wyprawy proporce: polski, afgański i łódzki.

Jak wynika z zestawionych wyżej dat, organizacja wyprawy trwała 19 miesięcy i obfitowała w szereg dramatycznych momentów. Zdecydowałem się na omówienie tej strony przedsięwzięcia, gdyż analiza na-

szych poczynań pozwoli być może na przyszłość uniknąć szeregu trudności, jakie nas spotkały.

Może się to wydawać dziwne, ale za jeden z poważniejszych hamulców w organizacji uważam pojawienie się na horyzoncie grupy warszawskiej. Wiele kłopotów przysporzyło nam nie tyle jej istnienie, ile podjęcie decyzji, iż pewne sprawy będziemy załatwiali wspólnie. Do spraw tych zaliczono m. in. składanie zamówień sprzętowych i żywnościowych, formalności paszportowe i rozwiązanie problemu dewiz. Ponieważ grupa warszawska od początku do samego niemal końca miała konto zerowe (w maju 1963 zdobyła 10 000 zł), zwlekano z umieszczeniem zamówień, nie wiedząc na co będzie reflektowała. Uniemożliwiło to w efekcie rozłożenie pracy w czasie i zważyło cały ciężar przygotowań na ostatnie miesiące. Niewyjaśniona sytuacja wpłynęła również na termin wyjazdu, który — biorąc nawet pod uwagę kłopoty z uzyskaniem pozwolenia z Afganistanu — mógł nastąpić ok. 15 VI, to jest o 35 dni wcześniej. Brak paszportów uniemożliwił również wcześniejsze wysłanie bagażu, a co za tym idzie kosztowne dla wyprawy perypetie wynikłe z zamknięcia Termezu.

Problem dewiz jest bodaj najboleśniejszym punktem całej nieudanej współpracy. Kiedy w maju 1962 na jednym z zebrań w Łodzi przedstawiliśmy L. Łąckiemu (kierującym grupą warszawską) myśl zwrócenia się do dra J. Godlewskiego z prośbą o pomoc, wynikło pytanie, co robić, jeśli pieniądze otrzymamy, a jednej z grup wyjazd się nie uda. Wszyscy zgodziliśmy się wówczas, że cała ofiarowana suma powinna zostać przekazana tym, którzy wyjadą. Dr Godlewski ustosunkował się przychylnie do naszej prośby, biorąc na siebie niebagatelny ciężar sfinansowania dolarowego wyprawy i tym samym otwierając jej drogę w góry. W ostatecznym rozrachunku cała suma została oddana na cele wyprawy i na nie zużytkowana, niemniej jednak, przekazując tu pewne doświadczenia dla przyszłych organizatorów, radziłbym w wypadku istnienia dwóch grup środowiskowych warunki współpracy ściśle precyzować, i to najlepiej pisemnie.

Pozostał do poruszenia jeszcze jeden problem dotyczący wzajemnego stosunku obydwu grup. Otóż w kwietniu 1963 r., widząc że stan przygotowań grupy warszawskiej przekreśla realność tego przedsięwzięcia, wysunąłem postulat zaproszenia trzech jej członków do udziału w naszej wyprawie z odpłatnością 12 000 zł. Odpowiedź w tej sprawie miała być udzielona do dnia 5 V 1963. W tym terminie otrzymałem tylko jedną, i to negatywną. Kiedy wreszcie

w czerwcu zdecydowaliśmy się na dokooptowanie jedynie J. Warteresiewicza, zaistniała sytuacja stworzyła ogromny margines żalów i niechęci, które w efekcie spowodowały nieimiły klimat wokół wyprawy w całym Klubie.

Kompletną katastrofą zagroziła w pewnym okresie niemożność dotowania wyprawy przez Klub Wysokogórski nawet tak skromną kwotą, jak 30 000 zł, które wstawił do swego budżetu na ten cel. Kiedy po półrocznych zabiegach, pod koniec maja 1963 r., udało się zmienić decyzję władz zwierzchnich, Klub nie miał już pieniędzy i jego subwencja z budżetu na r. 1963 ograniczyła się do pokrycia kosztów paszportów i wiz. W międzyczasie w Łodzi wytworzyła się sytuacja (trwająca do lutego 1963), że wstrzymano wszystkie przelewy, dopóki macierzysta organizacja nie wywiąże się ze swego zobowiązania finansowego.

Rekompensatą dla wszystkich opisanych wyżej trudności była atmosfera, jaka wytworzyła się na terenie Łodzi. Idea wyprawy została tu przyjęta życzliwie, a w wielu wypadkach spotykała się z niezwykle gorącym poparciem. Fakt, że udało nam się pozyskać dla naszej inicjatywy najwyższe władze miasta, a następnie rozreklamować je w prasie (na kredyt, całe szczęście spleacony), spowodowało otwarcie drogi do wszystkich przedsiębiorstw na terenie Łodzi i wielu spoza tego miasta. Stworzyło to realną podstawę ekonomiczną i techniczną, na której można było przygotować wyprawę w najdrobniejszych szczegółach. Tym starannym przygotowaniem przypisuję m. in., że mimo późnej pory wyprawa osiągnęła pełny sukces.

Za niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności należy uznać wyjazd prof. Adama Tokarskiego do Kabulu w charakterze eksperta z ramienia ONZ. Bez jego pomocy przypuszczalnie nie byłoby mowy o uzyskaniu pozwolenia na działalność w Hindukuszu. Ogromną pomoc okazali nam również kierownicy i uczestnicy poprzednich wypraw, a przede wszystkim inż. Bolesław Chwaściniński, którego niezachwiane stanowisko, że wyprawa musi wyruszyć, niejednokrotnie podtrzymywało na duchu cały zespół. Warunkiem *sine qua non* zrealizowania naszych zamierzeń było rozwiązanie problemu dewiz poza pulą Klubu Wysokogórskiego. Jak już nadmieniałem, z pomocą przyszedł nam dr Julian Godlewski, stwarzając ogniwo, bez którego przedsięwzięcie nie doszłoby nigdy do skutku.

Chciałbym tu jeszcze poruszyć problem wewnętrznego zorganizowania zespołu. Otóż od początku oparliśmy pracę na cotygodnio-

wych zebraniach roboczych, które z biegiem czasu przybrały formę biura przewozowego z sekretariatem, działem zaopatrzenia, agendami i filiami. Większość spraw zgrupowano w specjalistycznych zespołach. Wyłoniono resorty: sprzętowy, żywnościowy, naukowy, lekarski, spraw paszportowych i ogólnych. Wciągnięto do pracy szereg osób z Klubu nie kandydujących do udziału w wyprawie.

Warszawa — Kabul — Szachaur

20 VII 1963 odjazd wyprawy z Dworca Gdańskiego w Warszawie, bez Gryczyńskiego (chory) i Millera (pomyłka w wizie). 21 VII przyjazd do Moskwy. 24 VII wyjazd z Moskwy z dworca Kazańskiego. 27 VII przyjazd do Taszkientu. 28 VII odlot z Taszkientu do Kabulu.

Od 28 VII w Kabulu. Wyprawa otrzymuje schronienie w domu prof. A. Tokarskiego. Wizyta w Geological Survey of Afganistan. Rysowanie map grupy Hodża Mohammed ze zdjęć lotniczych. 29 VII wizyta w Ambasadzie PRL; sekretarz W. Tomkowski przekazuje wiadomość, że są widoki na uzyskanie pozwolenia na działalność w rejonie Wachanu. W sprawie bagażu brak wiadomości. Spotkanie z wyprawą austriacką z Linzu. 30 VII załatwianie formalności w Ambasadzie PRL. Wieczorem spotkanie z Austriakami (grupy z Linzu i Grazu), przekazanie im krakowskiej mapy Hindukszu. Zapewniają, że nie wejdą do doliny Szachaur. 31 VII przyjazd Gryczyńskiego i Millera; przyjęcie u Ambasadora PRL. Do 3 VIII rysowanie map i załatwianie formalności w urzędach, m. in. sprawy kooptacji dwóch Afganów na życzenie tamtejszego ministerstwa oświaty. O sprzęcie nadal brak wiadomości.

4 VIII. Wycieczka w Pagman (na pn. zach. od Kabulu), sprawdzenie kondycji, wejścia na szczyt 4150 m w sandałach i półbutach. Michalski i Gozdecki pozostają w Kabulu, w wycieczce uczestniczą natomiast także p. W. Tomkowski oraz Da-

mian Kołek, syn Ambasadora PRL. 5 VIII wyruszają w Pagman Michalski i Gozdecki. Rysowanie map. 6 VIII telegram z Moskwy o wysycie bagażu 26 i 31 VII, trzecia część ma wyjść 7 VIII, 8 VIII rysowanie map, Warteresiewicz i Bartczak w Pagmanie; spotkanie z M. Eiselinem. 10 VIII otrzymanie zezwolenia na działalność w obrębie Wachanu. O sprzęcie żadnych wiadomości. 12 VIII końcowe wizyty w ministerstwach i Ambasadzie PRL; z wyjątkiem spraw sprzętowych, wszystkie inne są sfinalizowane.

13 VIII. Mimo braku wiadomości o bagażu, wyjazd z Kabulu przygodną ciężarówką jadącą do Szirchan Bandar (dawniej Kizyi Kala). 14 VIII po całonocnej jeździe rano Bulola, pod wieczór Pul-i Chumri. 15 VIII Szirchan Bandar. Wobec nienadejścia bagażu wyjazd do oddalonego o 25 km Hazrat Imam. 18 i 19 VIII wyjazdy do portu, o przesyłce ciągle brak wiadomości. 20 VIII. Wieczorem telefon, że nadszedł bagaż. 21 VIII formalności celne i w Kapitanacie Portu; wynajęcie samochodu. Po południu wyjazd. Nocleg nad rzeką poza Chanabadem.

22 VIII. Talikhan. Teszkan (Kiszmi Keszim). Nocleg nad rzeką. 23 VIII. Przyjazd do Fajzabadu. Spotkanie z wyprawą austriacką, która zdobyła Kiszmi Chana. W dalszej drodze nocleg w Boraku. Spotkanie z grupą etnografów niemieckich. 24 VIII od godz. 13 do 15 stromy odcinek drogi przed Zebakiem. 30 bębnow ładunkowych przeniesiono na plecach. Zebak. O godz. 20 Iszkaszim. 25 VIII wyjazd z Iszkaszimu. W Kazi Deh spotkanie z wyprawami austriackimi z Linzu i Grazu wracającymi z rejonu Noszaka. Przed wsią Szachaur samochód grzęźnie w piachu. O godz. 17 przyjazd do Szachaur.

Kronika działalności w górach

25 VIII. We wsi Szachaur. Rekonesans konny w dolinę tej nazwy (Gozdecki i Gryczyński).

26 VIII. Gromadzenie karawany. Mac i Miller szukają w dolinie miejsca na bazę. W kilka godzin po nich wychodzą pierwsze grupy tragarzy, pod kierownictwem Gozdeckiego, Bartcza-

Widok z kopy Jursang (4332 m) na lodowy mur Szachaur (7116 m) — Nadir Szach (7125 m). Po prawej wierzchołek Kiszmi Chana (7177 m).

Fot. Marian Bała



ka, Grochowskiego i Warteresiewiczza, Tokarski udaje się konno do wsi Lachsz, celem zorganizowania i startąd karawany.

27 VIII. Większość bagaży w tzw. „Bazie Zbuntowanych” (3300 m). Tu następuje generalny bunt tragarzy.

28 VIII. Z dołu dociera reszta bagaży. Warteresiewicz i Gryczyński wyszukują miejsce na bazę na wysokości 3807 m. Próby działania radiostacji.

29 VIII. Z pomocą Bahara udaje się opanować sytuację z tragarzami przez częściową wypłatę należności. Przeniesienie bazy na nowe miejsce. Pierwszy transport do bazy wysuniętej pod Kotgaz-An. Miller i Tokarski na bocznym lodowcu pod Languta-e Barfi.

30 VIII. Bahar, Grochowski i Gryczyński wychodzą na rekonesans do doliny Atraf-e Chali. Osiągają żebro pomiędzy nią a lodowcem spod M 3. W Atraf-e Chali zakładają obóz K 1 (4300 m). Mac i Tokarski penetrują możliwości dostania się na Kotgaz-An z lodowca pod Languta-e Barfi. Biwakują na wysokości 4650 m. Michalski i Miller idą z bazy wysuniętej pod Kotgaz-An. Wieczorem połączenie radiowe obozów.

31 VIII. Gozdecki wychodzi z tragarzami do bazy wysuniętej. Mac i Tokarski stwierdzają możliwość dotarcia na grań między Languta-e Barfi i Kotgaz-An oraz szansę ataku na Languta-e Barfi żlebami pd. ściany.

1 IX. Bartczak, Gozdecki i Miller poręczają żebro pod Kotgaz-An osiągając wysokość 4800 m. Gryczyński i Michalski oglądają ze zbocza turni na pn. od Kotgaz-An grań Szachaura i stwierdzają duże trudności.

2 IX. Mac i Warteresiewicz wychodzą z bazy na rekonesans pod filary Szachaura. Wykluczają wejście prawym, stwierdzają możliwość wejścia centralnym. Wilczkowski ogląda centralny filar Szachaura ze stoku Languta-e Barfi, przepatruje też możliwości ataku na oba te szczyty. Wieczorem w bazie narada.

3 IX. Bartczak i Gozdecki podchodzą z bazy wysuniętej jednym z żlebow Languta-e Barfi. Na wysokości 5200 m zostawiają sprzęt i żywność dla Michalskiego i Gryczyńskiego. Mac i Tokarski przedłużają rekonesans Wilczkowskiego, stwierdzają duże trudności drogi na Languta-e Barfi. W bazie badania lekarskie.

4 IX. Miller i Warteresiewicz wychodzą na rekonesans na centralny filar Szachaura. Gryczyński i Michalski kontynuują rekonesans Bartczaka i Gozdeckiego. Biwak na wysokości 5700 m.

5 IX. Miller i Warteresiewicz na filarze Szachaura. Gryczyński i Michalski nie opuszczają biwaku. W bazie pomiary geodezyjne.

6 IX. Schodzi Warteresiewicz, wzmocnienie rekonesansu na filarze. Idą do góry Bahar, Bhami, Grochowski i Warteresiewicz. Mac, Tokarski i Wilczkowski na zwiadzie w Atraf-e Chali. Chory Grochowski wraca w towarzystwie Bahara do bazy. Schodzą również Gozdecki, Gryczyński i Michalski.

7 IX. Mac, Tokarski i Wilczkowski osiągają wysokość 4800 m. Wilczkowski wraca do bazy, dwaj pozostali biwakują. Bartczak i Gozdecki wzmacniają rekonesans na filarze Szachaura. Grochowski ciężko chory.

8 IX. Na filarze zostaje założony obóz S 2. Do akcji wchodzi tu również Michalski. Mac i Tokarski osiągają plateau Łódź i wchodzi na „nunatak” (5500 m).

9 IX. Do bazy schodzą Bartczak i Gozdecki oraz Mac i Tokarski. Michalski, Miller i Warteresiewicz prowadzą rekonesans na Szachaurze.

10 IX. Bartczak, Gozdecki i Wilczkowski penetrują możliwości ataku na Languta-e Barfi od pn. Warunki od tej strony okazują się niekorzystne. Na filarze Szachaura Miller, Michalski i Warteresiewicz docierają do wysokości 5000 m. Ponieważ trudności techniczne uniemożliwiają tu ew. szybki atak, rekonesans zostaje wycofany.

11 IX. Załamanie pogody.

12 IX. Narada w bazie. Należy zakończyć okres aklimatyzacji i rekonesansów. Decyzja atakowania Kiszmi Chana. Wyprawa jest osłabiona: Grochowski ciężko chory, Gryczyński musi zostać przy nim, stan aklimatyzacji Wilczkowskiego wyklucza go z działalności wysokościowej. Obaj Afganowie nie reflektują na wychodzenie ponad obozy pierwsze. Na dodatek trwa załamanie pogody, a z dołu nadchodzi wiadomość, że ostatnia wyprawa (szwajcarska) opuściła Wachen.

13 IX. Mac, Miller i Wilczkowski dochodzą do obozu K 1 i tam nocują. Bartczak, Gozdecki i Warteresiewicz likwidują obóz S 1. Michalski i Tokarski wycofują do bazy rezerwy sprzętowe z bazy wysuniętej.

14 IX. Mac i Miller poręczają przełęcz za Atraf-e Chali i zakładają obóz K 2 (4800 m). Bartczak, Gozdecki i Warteresiewicz wnoszą sprzęt do obozu K 1. Wilczkowski wchodzi na ramię Auara nad obozem K 1 na wysokości 4700 m.

15 IX. Warteresiewicz idzie z obozu K 1 do K 2, skąd z Macem dociera na plateau Łódź i zakłada obóz K 3. Miller schodzi do K 1, gdzie przybywają również Bahar, Michalski i Tokarski z 5 tragarzami. Tragarze wracają do bazy, Tokarski udaje się do obozu K 2. W nocy wybuchła tu pożar.

16 IX. Bartczak, Gozdecki i Tokarski przechodzą z obozu K 2 do K 3, zabierając rzeczy ocalałe z pożaru. Miller i Wilczkowski idą z obozu K 1 do K 2 (Miller dwa razy). Wilczkowski z Bartczakiem i Tokarskim wraca do K 1, Miller i Gozdecki nocują w K 2. Mac i Warteresiewicz odpoczywają w obozie K 3. Michalski jest chory (zapalenie ucha środkowego). Wraca do bazy, gdzie pozostanie do 22 IX.

17 IX. Mac i Warteresiewicz zakładają na ramieniu Kiszmi Chana obóz K 4 (5800 m), potem schodzą do obozu K 3. Gozdecki i Miller idą do obozu K 3, Tokarski przenosi do K 2 uzupełnienia konieczne po pożarze. Gryczyński może opuścić Grochowskiego, który czuje się lepiej; z tragarzami idzie do obozu K 1.

18 IX. Bartczak, Gryczyński i Wilczkowski podchodzą do obozu K 2. Mac, Tokarski i Warteresiewicz schodzą stąd do obozu K 1, po czym wracają. Miller i Gozdecki odpoczywają na plateau Łódź.

19 IX. Gozdecki i Miller wnoszą do obozu K 4 wyposażenie dla K 5 i wracają aż do K 1. Mac i Tokarski przechodzą z obozu K 2 do K 3. Warteresiewicz i Gryczyński odpoczywają w obozie K 2.

20 IX. Mac i Tokarski wchodzi na grań i z obozu K 4 biorą wyposażenie obozu K 5. Przed przełęczką zwornikową, do której Gozdecki i Miller przetrarli szlak 19 IX, rozbijają obóz K 4a, gdzie nocują. Gryczyński i Warteresiewicz podchodzą z obozu K 2 do K 4. Wilczkowski idzie z K 2 do K 3, skąd wraca.

21 IX. Mac i Tokarski przenoszą obóz K 4a na wysokość ok. 6500 m (K 5). Gryczyński i Warteresiewicz przesuwają obóz K 4 w górę, na miejsce K 4a. Tu biwakują.

22 IX. Mac i Tokarski wyruszają z obozu K 5 i o godz. 13 osiągają szczyt Kiszmi Chana. Gryczyński i Warteresiewicz wychodzą z obozu K 4a i stają na szczycie w 20 minut po pierwszej dwójce. Schodząc likwidują oni obóz K 5 i zatrzymują się w K 3. Mac i Tokarski nocują w obozie K 4a. Miller z Gozdeckim wychodzą do obozu K 3 z zamiarem powtórzenia wejścia na Kiszmi Chana. Michalski i Bartczak docierają z bazy do obozu K 2. Chcą zaatakować szczyt M 2, nazwany później Naser Chosrau Cuka.

23 IX. Bartczak i Michalski osiągają obóz K 3. Gozdecki i Miller przechodzą z K 3 do K 4. Do bazy wracają: Wilczkowski z obozu K 2 oraz Gryczyński i Warteresiewicz z K 3. Mac i Tokarski schodzą z obozu K 4 do K 2.



Afgańscy tragarze w dolinie Kazi Deh.

Fot. Ryszard W. Schramm

24 IX. Bartczak i Michalski zakładają obóz na plateau pod granią M2. Mac i Tokarski likwidują część obozu K2 i schodzą do bazy zostawiając sprzęt w K1.

25 IX. Gozdecki i Miller na szczycie Kiszmi Chana (z obozu K4). Bartczak i Michalski zdobywają wierzchołek M2. Wszyscy czterej schodzą do obozu K3. Wieczorem połączenie radiowe z bazą. Gryczyński i Warteresiewicz przynoszą się do bazy wysuniętej. Cel ataku: Languta-e Barfi.

26 IX. Gryczyński i Warteresiewicz osiągają wysokość ok. 6000 m, gdzie biwakuja bez namiotu. Gozdecki i Miller likwidują obóz K3 i schodzą do K1. Bartczak i Michalski zwiwiają obóz K2 i schodzą do bazy. Mac obserwuje z bazy wysuniętej Gryczyńskiego i Warteresiewicza.

27 IX. Languta-e Barfi zdobyta. Gryczyński i Warteresiewicz schodzą z niej do bazy wysuniętej. Gozdecki i Miller likwidują obóz K2 i wracają do K1. Mac i Tokarski idą z tragarzami do K1, skąd tragarze znoszą niepotrzebny sprzęt do bazy.

28 IX. Bharomi i Wilczkowski wchodzą na grani Auara na wysokość 4400 m w celu dokonania pomiarów teodolitem. Wracają do bazy, gdzie przychodzą również Gryczyński i Warteresiewicz.

29 IX. Mac i Tokarski wyruszają z obozu K1 pod Chali Kotal i pd. ścianą Auara. Robią obserwacje geologiczne.

30 IX. Tokarski pod pd. ścianą Auara (prace geologiczne). Wilczkowski na Jachczal-e Hoszk prowadzi pomiary geodezyjne. W południe zażamanie pogody.

1 X. Gozdecki, Mac, Miller i Tokarski atakują Auara. Osiągają wysokość ok. 6000 m i biwakuja bez namiotu. Bartczak, Gryczyński, Michalski i Warteresiewicz wychodzą z bazy i docierają na filarze Szachaura do miejsca obozu S2. Bharomi i Wilczkowski wchodzą na turnię nad obozem S1 z teodolitem. Wieczorem wracają do bazy.

2 X. Zespoły Gozdecki — Miller i Mac — Tokarski zdobywają szczyt Auar i schodzą na miejsce biwaku. Czwórka na filarze Szachaura zakłada obóz S3 pod serakami (ok. 5700 m).

3 X. Zespół z Auara wraca do obozu K1. Na filarze Szachaura Michalski, Gryczyński i Warteresiewicz docierają pod barierę seraków na wysokości ok. 5800 m, skąd następuje odwrót (Bartczak z uszkodzonym czekaniem i rakami pozostał w obozie S3). Bharomi podchodzi do obozu K1 w związku z brakiem wiadomości z tamtego kierunku. Wraca do bazy z Tokarskim.

4 X. Bahar i Tokarski idą z tragarzami do obozu K1. Tokarski zostaje w celu prowadzenia prac geologicznych. Bahar, Gozdecki, Mac i Miller schodzą z tragarzami do bazy. Bharomi idzie z tragarzami do obozu S1. Wraz z czwórką z filaru Szachaura wracają do bazy.

5 X. Tokarski w dolinie Atraf-e Chali. Reszta w bazie.

6 X. Bahar i Michalski zjeżdżają do Iszkaszimu wynajęjąc samochód. Warteresiewicz i Wilczkow-

ski wchodzą na ramię Languta-e Barfi dokonując szeregu pomiarów geodezyjnych. W bazie pakowanie.

7 X. Bahar i Michalski w Iszkaszimie. Tokarski w Atraf-e Chali. Reszta pakuje w bazie.

8 X. 12 tragarzy z Warteresiewiczem i Wilczkowskim wyrusza do wsi Szachaur. Miller podchodzi do obozu K1 i likwiduje go wraz z Tokarskim. Obaj schodzą do bazy.

9 X. Bartczak i Miller sprowadzają drugą partię tragarzy do wsi.

10 X. Bahar i Michalski przyjeżdżają do wsi Szachaur. Schodzą ostatnie transporty z góry. Wieczorem odjazd do Iszkaszimu.

Powrót do kraju

13 X wyprawa dociera przez Fajzabad i Kunduz do Szirchan Bandar. 14 X wysyła bagaży do Termezu i wyjazd z portu. Dalej przez Kunduz, Mazar-i Szefer oraz Pul-i Chumri Bamian do Kabulu. Przyjazd 20 X. Wyprawa jest serdecznie podejmowana przez Ambasadę PRL i Polonię kabułą. W Kabulu oczekiwanie na samolot do 30 X. Zwiedzając po drodze Samarkandę i Bucharę wyprawa powraca do Łodzi 7 XI, witana na dworcu przez władze miejskie i znajomych. 23 XI 1963 wszyscy członkowie wyprawy zostają odznaczeni Honorową Odznaką Miasta Łodzi. Do dnia 16 X 1964 udaje się ostatecznie rozliczyć i zamknąć sprawy powyprawowe.

Omówienie i ocena

I Łódzka (a III Polska) Wyprawa Eksploracyjna w Hindukusz Afgański działała w okresie od 20 VII do 10 XI 1963. Dojazd od opuszczenia Warszawy do końca podróży samochodem trwał od 20 VII do 25 VIII, akcja w górach od opuszczenia wsi Szachaur do powrotu w to samo miejsce — od 26 VIII do 10 X. Powrót zajął dokładnie miesiąc — od 10 X do 10 XI.

Dojazd. Okres podróży do stóp gór obejmując 33 dni. Gdyby nie kłopoty z bagażem, można by go skrócić o 10 dni. Te dni są ważne nie tylko ze względu na wcześniejsze rozpoczęcie akcji górskiej. Jest to również zysk na czasie oczekiwania, który bardzo źle wpływa na samopoczucie uczestników wyprawy. Strata 10 dni zmusza ponadto do przyspieszenia tempa jazdy, stwarzając niemal mordercze warunki podróży. Późne otrzymanie paszportów, choroba Gryczyńskiego i kłopoty z wizą Millera spowodowały niemożność zjawienia się w Kabulu dwóch uczestników, którzy mogliby załatwić część formalności przed przybyciem reszty zespołu. W naszym wypadku mogliśmy liczyć jedynie na szczęście, że uda nam się przebrnąć przez wszystkie biura i urzędy szybko, co okazało się niewykonalne.

Należy podkreślić, że wiele spraw udało się nam załatwić jedynie dzięki ogromnemu zaangażowaniu się Ambasady PRL w Kabulu (pozwolenie na rejon Wachanu) oraz pomocy Polonii

- szczyty zdobyte
- szczyty nie zdobyte
- osiedla
- ajlaki pasterskie

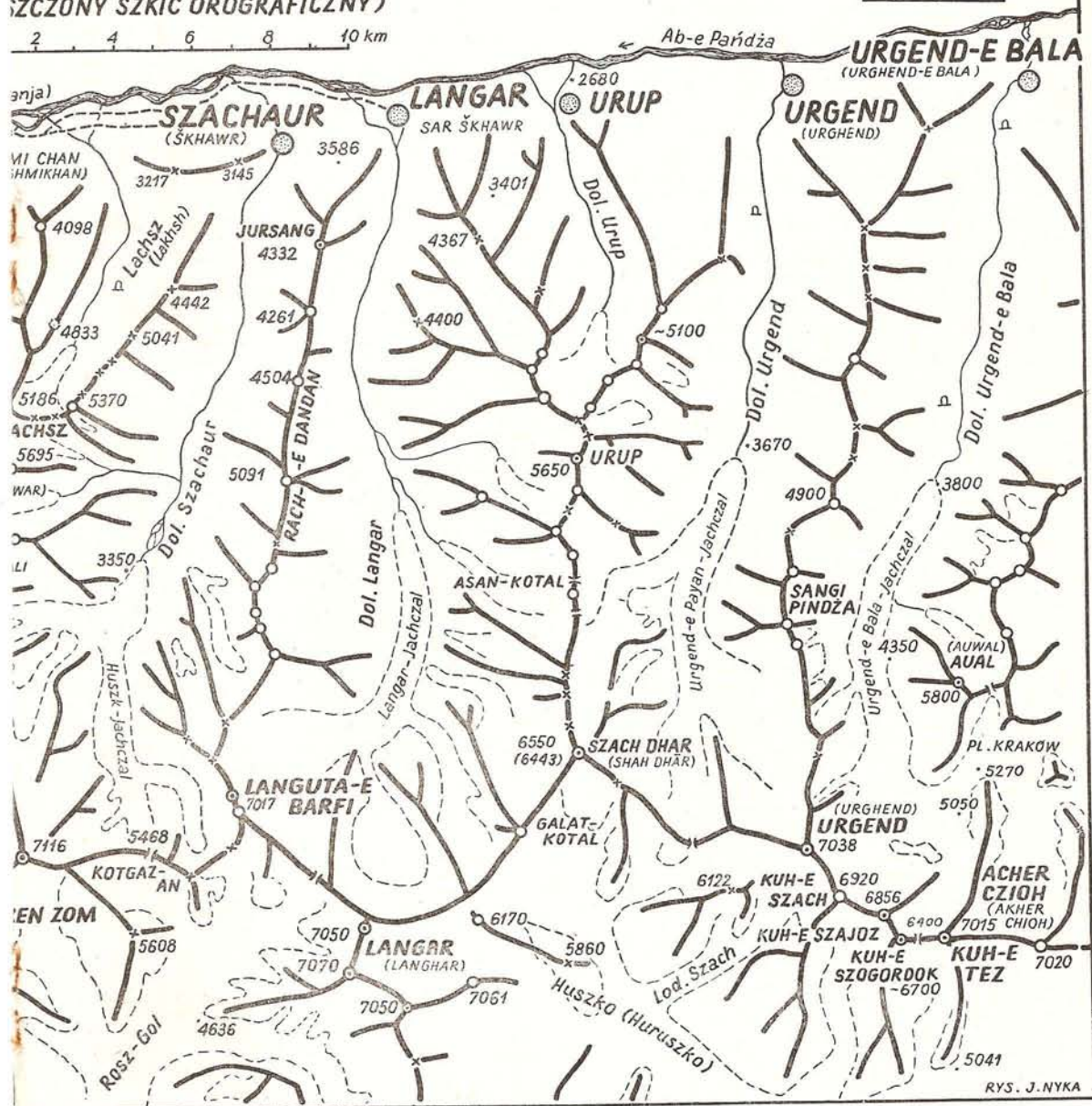
(W nawiasach podano angielską transkrypcję niektórych nazw)



KUSZ WACHAŃSKI

(SZCZONY SZKIC OROGRAFICZNY)

OPRACOWALI: MARIAN BAŁA
STANISŁAW BIEL
JERZY WALA



RYŚ. J. NYKA

kabulskiej, a zwłaszcza prof. A. Tokarskiego i jego rodziny (dostęp do Archiwum Geological Survey i bezpłatne zakwaterowanie w domu Profesora). Przeciąganie się nadejścia bagażu groziło jeszcze dodatkowym opóźnieniem. Otóż 23 VIII rozpoczął się „dżaszyn” — siedmiodniowe święto religijno-państwowe. Jeszcze trzy dni zwłoki i prawdopodobnie przez cały ten okres trzeba by przesiedzieć w Hazart Imam, byłyby bowiem poważne trudności z wyładowaniem bagażu z barki i wynajęciem ciężarówki. Nas „dżaszyn” zastał już w drodze, a kierowca zdecydował się jechać w święta.

Przygotowując bagaż do wysyłki, liczyliśmy się z możliwością uszkodzenia precyzyjnych przyrządów w czasie transportu i część z nich, zamiast wysłać, zabraliśmy z sobą. Było to dużym błędem z naszej strony, gdyż wszystkie przyrządy idące transportem przyszły nienaruszone, natomiast przejazd z Kabulu do Szirchan Bander pustą 10-tonową spowodował uszkodzenia instrumentów pomiarowych, które tylko dzięki zdolnościom Gozdeckiego udało się doprowadzić do stanu używalności.

Zupełne oderwanie się wyprawy od zasadniczego ekwipunku spowodowało ogromne trudności w czasie pobytu w Kabulu. Posiadanie choćby minimum sprzętu alpinistycznego pozwoliłoby w przeciągającym się okresie na szerszą działalność w Pagmanie, co w efekcie skróciłoby cykl aklimatyzacji w górach, a jednocześnie dałoby zajęcie beczynnej części zespołu.

W czasie dojazdu wyprawy z góry dał się zaobserwować duży spadek formy uczestników. Spowodowany był on przede wszystkim chorobami połączonymi z aklimatyzacją w Afganistanie (nie-domagania żołądkowe), a ponadto wyjątkowo ciężkimi warunkami podróży samochodem. Najbardziej dał nam się we znaki odcinek pomiędzy Kabulem i Szirchan Bandar. Trwająca niemal dwa dni i dwie noce jazda pustą 10-tonową ciężarówką wywarła fatalny wpływ na nasze samopoczucie. Trzeba dodać, że otwarcie drogi przez Salang definitywnie zmieniło warunki podróży na tym odcinku.

Akcja górską. W całym przebiegu naszej działalności w górach wyróżnić można trzy fazy. Pierwsza, trwająca do 12 IX, to organizacja bazy i okres rekonesansów, połączonych z aklimatyzacją. Następna, to szturm Kiszmi Chana. Wreszcie trzecia: zdobywanie dalszych szczytów, prace pomiarowe i likwidacja wyprawy w dolinie Szachaur.

W związku ze spóźnioną porą, w jakiej przyszło działać wyprawie, od początku dało się zauważyć pewne zdenerwowanie, objawiające się przede wszystkim w tendencji do skrócenia okresu aklimatyzacji, zredukowania ilości rekonesansów i próby zdobycia Szachaura mocnym uderzeniem przez Kotgaz-An. (Aż do chwili uzyskania wiadomości o zdobyciu Kiszmi Chana, wyprawa była nastawiona na ten szczyt; plany uległy zmianie dopiero w Fajzabadzie). Biorąc pod uwagę, że żadna z dotychczasowych wypraw nie działała owocnie po 10 września, nasze obawy i próby przyspieszenia akcji były w pełni uzasadnione. Niestety, brak aklimatyzacji dał się odczuć bardzo silnie, a jednocześnie żaden z rekonesansów w kierunku Szachaura nie przyniósł konkretnych wyników. Przeprowadzone równolegle rozpoznanie w kierunku szczytów Kiszmi Chan i Languta-e Barfi okazało się bardziej owocne.

Doświadczenia zdobyte do dnia 12 IX wpłynęły na ostateczne podjęcie decyzji, którą konsekwentnie realizowano aż do końca. Wybór Kiszmi Chana jako pierwszego atakowanego szczytu podyktowany był, poza wymiennymi, jeszcze jednym ważnym względem. Wszechstronne rozpatrzenie drogi wejścia pozwoliło ustalić, że do wysokości ok. 6500 m nie powinna ona na-

stręczać poważniejszych trudności technicznych. Ponadto, prowadząc cały czas granią, była bezpieczna na wypadek załamania pogody, co w tak późnym okresie nabierało szczególnego znaczenia. W dodatku gdyby nawet nie udało się osiągnąć szczytu, uzyskiwało się aklimatyzację na dużej wysokości przy zupełnie bezpiecznym odwrocie.

Atak na Kiszmi Chana trwał 10 dni. Czas ten udało się skrócić, gdyby nie zbyt gęste rozstawienie obozów i gdyby nie wypadek z pożarem w obozie K2. Odległości pomiędzy obozami są zresztą doskonałą ilustracją stopniowego nabywania aklimatyzacji. O ile w pierwszym okresie były one dobrze dobrane do sił uczestników, o tyle pod koniec wielokrotnie przebywano drogę z bazy do obozu K2 w ciągu jednego dnia. Podobna sytuacja wytworzyła się również w górze. Niemniej tak duża ilość obozów z punktu widzenia bezpieczeństwa była pożądana. Wyraźnie za nisko został rozbity jedynie obóz K4, który w następstwie tego był źle wykorzystany i przenoszony, co zagmatwało nieco ruch zespołów. Fakt ten wydaje się nierozważalnie związany ze słabą jeszcze aklimatyzacją dwójki, która zakładała obóz K4, a także jej przemęczeniem pracą w dniach poprzednich.

Plan ruchu zespołów przewidywał dwudniowy marsz ku górze, następnie zejście do dwa obozy niżej i dzień odpoczynku. W praktyce trzeba było oczywiście poczynić pewne korekty, na ogół jednak cyrkulacja przebiegała zgodnie z założeniami. Plan ataku szczytowego został ustalony dopiero po włączeniu się do akcji Gryczyńskiego. Wobec groźby postępującego oblodzenia, do zasadniczego zespołu szturmowego zostali wyznaczeni Gryczyński i Warteresiewicz, którzy — poza chorym Michalskim — byli najbardziej doświadczonymi w lodzie uczestnikami wyprawy. Na dwa dni przed nimi mieli z obozu K3 wyruszyć Mac i Tokarski. Po przenocowaniu w obozie K4 mieli zabrać przygotowany sprzęt i rozbić możliwie wysoko obóz K5, skąd następnego dnia podjąć próbę zdobycia szczytu. W wypadku niepowodzenia musieli się oni liczyć z koniecznością zejścia aż do obozu K4, gdyż w tym samym czasie obóz K5 miał obsadzić zasadniczy zespół szturmowy. Korzystając z informacji pierwszej dwójki, Gryczyński i Warteresiewicz mieli albo bez obciążenia zaatakować szczyt, albo przenieść obóz K5 jeszcze wyżej i dopiero stamtąd ponownie próbę. Cały ten skomplikowany schemat operacyjny okazał się na szczęście zbyteczny, gdyż na górze był śnieg i wejście nastęczało mniej trudności, niż przewidywano.

Z dniem zdobycia Kiszmi Chana (22 IX) kończy się w zasadzie drugi okres działalności wyprawy, a jej siły rozdzielają się w kilku kierunkach. Należy tu dodać, iż fakt, że poszczególni uczestnicy potrafili zrezygnować ze swych prywatnych ambicji na rzecz dobra całej wyprawy, umożliwił nam zdobycie jeszcze trzech szczytów poza Kiszmi Chanem. (Każde powtórzenie wejścia na Kiszmi Chana kosztowałoby wyprawę co najmniej trzy dni, licząc od plateau Łódź, co o tej porze roku jest okresem niezwykle długim).

Trzecią fazę działalności wyprawy charakteryzowała doskonała aklimatyzacja większości uczestników przy jednoczesnym dużym zmęczeniu psychicznym. Gdyby akcja górską rozpoczęła się o miesiąc wcześniej, można by było zrobić tu dłuższy odpoczynek, lub przynajmniej zwolnić tempo eksploracji. Niestety, w naszym położeniu oznaczałoby to rezygnację z jakichkolwiek dalszych zamierzeń. Languta-e Barfi, M2 i Auar zostały zdobyte lekkimi zespołami z zastosowaniem metod niemal że alpejskich. Przeprowadzona w ten sam sposób próba na filarze Szachaura niestety zawiodła, gdyż wymagał on zakładania kilku obozów pośrednich, na co nie było już ani sił, ani czasu.



Południowo-zachodnia część doliny Szachaur widziana na spod wierzchołka Languta-e Barfi (7017 m). Linia przerywaną oznaczono drogę III PWH na Kiszmi Chan (7177 m), kropkowaną — na M2 czyli Naser Chosrau Cuka (6588 m). Rozwidlenie marszrut w obozie III na plateau Łódź.

Fot. Maciej Gryczyński

Zdobycie Kiszmi Chana

12 września zbieramy się wszyscy w minorowych nastrojach w namiocie kierownika. Od dwóch tygodni siedzimy w dolinie bez żadnego sukcesu. Jest już połowa września — tutaj, we Wschodnim Hindukuszu, pełnia jesieni. Większość wypraw dawno już opuściła góry. W tych dniach, bardzo się spiesząc, wyjechał ze swą ekspedycją Max Eiselin. Zostaliśmy sami. W minionych latach tak późno nikt tu jeszcze nie działał z powodzeniem. W dodatku od dwóch dni przestała nam sprzyjać pogoda. Na namioty bazy sączy się ponura mżawka, wyżej pada śnieg. Wczoraj załamał się kolejny atak na filar Szachaura. Marek jest ciężko chory, lekarz siedzi przy nim dzień i noc. Sytuacja jest niewesoła. Wrócić do Łodzi bez żadnej zdobyczy? Brr... o tym lepiej nie myśleć. Co robić dalej? Dyskusja jest ożywiona i zacięta. Wilk ostatecznie rozstrzyga:

— Pójdziemy na Kiszmi Chana. Wspaniała góra, szczyt siedmiotysięczny. To o nim marzyliśmy w Łodzi... Wyprzedzili nas co prawda Austriacy, ale wejście jako druga

wyprawa, w dodatku nową drogą i z innej doliny — to przecież też sukces. Alpinistycznie wcale nie mniejszy.

Aura sprzyja widać naszemu przedsięwzięciu, gdyż następnego dnia świeci słońce. Drogę do plateau mamy już rozpoznaną. Z ciężkimi plecakami wyruszamy z Andrzejem do obozu I (K1) w dolinie Atraf-e Chali. Towarzyszy nam Wilk, który z dalszych obozów będzie kierował akcją. Pozostali likwidują sprzęt spod filaru i przełęczą.

14 września. Stromy osuwający się piarg pod przełęczą zasłany jest świeżym śniegiem. Wejście nie należy do najprzyjemniejszych. Dwa kroki w górę, jeden w dół. Nadzieja, że w skale będzie lepiej, okazuje się płonna. Ręce mamy pełne rozlatujących się łupków, spod nóg osypują się masy gruzu. W końcowym kruchym kominiku zakładamy poręczówkę. Usprawni ona dalsze transporty. Długim trawersem po dachówkowatych, luźnych płytach schodzimy na lodowiec. Kopczykujemy najłatwiejszy

sposób przejścia. Początkowo idziemy moreną, później w poprzek lodowca. Wartkie strumyki, które pamiętam z rekonesansu, ustąpiły miejsca grubej powłoce śniegu.

Pomiędzy dwoma lodowcami ukryte jest wśród piargów małe jeziorko. Na morenie przy nim stanie nasz obóz II (K2).

Jeziorko jest zamrznęte i trzeszczy głucho. W lodzie widać otwory jakby poprzębijane kamieniami. Ale kamienie z moreny nie mogły się przecież znaleźć na środku stawku! Siedząc w ciepłych śpiworach i gotując kolację, usiłujemy zgłębić ich pochodzenie. Snujemy w żartach opowieści o wężu morskim i nowym Loch Ness.

Następnego dnia, gdy mamy już spakowane plecaki, pojawia się Jurek Warteresiewicz. Przyszedł z obozu I, bez obciążenia, i ma iść z jednym z nas na plateau. Ponieważ ja znam drogę, Andrzej musi wracać.

Na lodowcu jest upalnie. Po ostatnim opadzie lodowe pióra i mniejsze szczeliny są zasypane. Trzeba torować i uważnie przepatrywać drogę. Jurek nie jest dzisiaj w formie. Biorę od niego linę, trochę sprzętu, i idę pierwszy. Szlak wśród labiryntu szczelin starannie znakujemy chorągiewkami. Upał kończy się z chwilą, kiedy słońce zapada za wielki masyw Kiszmi Chana. Zaczyna się robić późno. Jest coraz zimniej. Dochodzimy do łagodnie nachylnego stoku ponad zerwą lodowca. Zastrugi są dokładnie zasypane śniegiem, zapadam się po kolana i głębiej. Powoli i ja zaczynam odczuwać zmęczenie. Torujemy teraz na zmianę, zataczając się pod ciężarem plecaków.

— Kiedyż wreszcie będzie to plateau?

— Już niedaleko. Dobrze, że chociaż nie ma tutaj szczelin...

Ledwie zdążyłem wypowiedzieć te słowa, a już siedzę w wąskiej, zupełnie zasypanej szczelinie. Jurek podaje mi czekan, wyciągam się do góry. Przed nami kilka gładów. Nareszcie. Lód jest tutaj zupełnie płaski. Jesteśmy na „plateau Łódź”. Rozcieram zamrznęte dłonie i zakładam kurtkę. Jurek z pośpiechem odgina raki. Szybko udeputujemy śnieg i ustawiamy namiot. Wyrabuję jeszcze trochę lodu na kolację i wsuwam się do śpiwora. Jurek już uruchomił palnik. Zaczyna się codzienny rytuał przyrządzania kolacji. Jutro czeka nas zasłużony odpoczynek.

Następnego dnia wywczasujemy się w namiocie aż do południa. Dla rozprostowania kości wchodzimy na pobliską grańkę nazwaną przez nas „Nunatakiem”. Wznosi się ona między dwoma lodowcami i lodowym plateau i stanowi doskonały punkt obserwacyjny. Oglądamy czekającą nas jutro drogę. Nagle w dali na lodowcu pojawiają się małe punkciki. To Antek, Tadek i Tomek

niosą w górę wyposażenie następnego obozu. Zbiegamy szybko ku nim. Opowiadają o pożarze nad jeziorkiem. Podczas usuwania defektu w palniku, zapalił się od drugiej maszyny butan. Cały namiot stanął natchmiast w płomieniach. Jak tygrysy w cyrku musieli wyskakiwać przez płonąca obręcz rękawa namiotu. Skończyło się na szczęście na drobnych poparzeniach i potłuczeniach. Ale są i straty; trzeba będzie donieść nowy sprzęt.

17 września. Dzisiaj wchodzimy w teren nieznaną. Zabieramy ze sobą namiot, materace, maszynkę, żywność i sprzęt. Po przejściu szczelin wewnętrznego kotła Kiszmi Chana, nazwanego przez nas „Sanktuarium”, wybieramy drogę skalną granią. Jest może dość trudno, może trudno, ale skały są mocno zwietrzałe. Sterty nastermianych bloków przepłatają się z partiami gnejsów. Jest szalenie kolorowo, cała gama tonów od bieli do czerni, przemieszana z odcieniami czerwieni, brązów, żółci.

Na wysokości około 5700 m dochodzimy do czysto lodowej grani. Stąd aż do szczytu nie widać już na naszej drodze żadnych skał. Ostrą lodową granią, na której słońce zdążyło mocno wytopić świeży śnieg, posuwamy się w górę. Sto metrów wyżej mozolnie wykuwamy platformę pod namiot obozu IV (K4). Lód jest twardy i niechętnie ustępuje pod uderzeniami czekana. Podczas naszego uporczywego kucia, na maszynie grzeje się woda. Jurek otwiera puszkę z sokiem. Duży zamach i... krzyk. Ostrze noża przeszło dłoń, na białym lodzie pojawiają się czerwone plamy krwi. Opatruję ranę, kończę platformę i rozstawiam namiot. Jurek pomaga mi jedną ręką. Już czas schodzić.

— Może się zwiążemy? — proponuję.

— Nie, nie trzeba. Bez liny czuję się pewniej.

Jurek schodzi po mistrzowsku, w każdym ruchu widać jego rutynę i wieloletnie doświadczenie. Na plateau zastajemy Andrzeja i Tomka. Wyniosą następny namiot do obozu IV.

— Zejdźcie do jeziorka — mówią. — Wilk na was czeka.

Spoglądamy na zegarki; jest późno, trudno będzie zdążyć przed zmrokiem. Ale może jesteśmy potrzebni?

— Nie wiecie o co chodzi?

— Nie.

Wobec tego zbiegamy w dół. Nad jeziorkiem nie ma Wilka, jest za to Antek Tokarski. Wtajemnicza nas w plany kierownika. Mamy w dwójkę z Antkiem założyć obóz V na Kiszmi Chanie i ewentualnie spróbować zaatakować szczyt. Wilk nie wierzy w powodzenie naszego ataku i jako za-

sadniczy zespół szturmowy wyznacza Jurka Warteresiewicza i Maćka Gryczyńskiego. Po dniu odpoczynku wyrusza za nami. Jeżeli nie wejdziemy na wierzchołek, mamy się wycofać, a druga dwójka, idąc naszym śladem, wystartuje z obozu V. Andrzej z Tomkiem będą stanowili ubezpieczenie akcji na plateau.

Patrzmy na siebie z Antkiem. Mamy wykonać całą czarną robotę i pod koniec zrezygnować ze zdobycia szczytu? Ale dlaczego zrezygnować? No cóż, szansa jest minimalna, ale jest. Trzeba zrobić wszystko, żeby ją wykorzystać. Musimy wejść na Kiszmi Chana!

Żywności na górze jest już mało, więc następnego dnia schodzimy po zapasy do obozu I i wracamy nad jeziorko. Dzisiaj jest tu ludno. Przybyli Wilk, Tadek i Maciek. Chory Marek czuje się lepiej, dlatego też nasz lekarz mógł się wreszcie wyrwać z bazy. Wieczorem gromadzimy się w naszym namiocie. Płomień świecy ostro obrysowuje brodate twarze. Omawiamy plany ataku, później długo gawędzimy o górach.

Wyruszamy w południe. Wilk uroczyście wręcza nam proporceyki.

— Może wam się uda. Jeżeli nie, przekażcie je drugiej dwójce.

Mówię „przekażemy”, a myślę: „musi się udać, musi...!” Chciałbym wymóc na przyszłości obietnicę zwycięstwa. Ale to przecież nie jest możliwe — zwycięstwo zależy od naszego wysiłku, od góry, od szeregu czynników, których nie sposób przewidzieć.

Na plateau obóz jest pusty. Z grani schodzą Tomek z Andrzejem. Wynieśli japoński namiot do obozu IV. Opowiadamy im jaki jest plan ataku.

— Jak to? — pytają z niedowierzaniem. — Tylko dwójka ma wejść na szczyt? A reszta?

— Jeśli nawet nam się uda, Maciek i Jurk mają powtórzyć wejście.

— A jeśli nie?

— To mamy schodzić.

— A my?

— Ewentualnie M2. Tadek szykuje już atak.

Widzę jak miny moich rozmówców wydłużają się.

— To nie ma sensu. Tyle wysiłku i nie być na siedmiu tysiącach? I warto by wejście sfilmować...

— Pogadajcie z Wilkiem.

— W każdym razie róbcie wszystko, żeby wejść. Powinno wam się udać. Oglądaliśmy grań, wydaje się dość przystępna.

20 września. Znaną już drogą dochodzimy do obozu IV. Włazimy do namiotu i gotujemy. Jeżeli chcemy zdobyć szczyt, to obóz stoi zbyt nisko. Trzeba go przenieść wyżej. Doładujemy do i tak już ciężkich plec-

ków namiot i materace, wiążemy się liną. Lodowa grań doprowadza nas do stromego uskoku. Łód jest świetnie uwarstwiony, więc idzie się dobrze. Widzę nad sobą na tle nieba sylwetkę Antka. Plecak sterczy daleko od stoku. Wydaje się, że prawo ciężkości przestało istnieć. Nad uskokiem, na łagodnym grzbiecie seraków ustawiamy namiot. Wejście mamy skierowane na Pamir. W zachodzącym słońcu błyszczą czerwienią dalekie szczyty. Ponad granią Szachaura pojawiły się olbrzymi pakistańskiego Hindukuszu. W namiocie jest ciepło, tylko ściany są nieprzyjemnie oszronione. Wyjście na zewnątrz to duży problem. Leżąc w śpiworach gotujemy kolację. W przeciwieństwie do Antka, mam świetny apetyt i przyrzędam jedną potrawę po drugiej. Za to rano żywotniejszy jest Antek. Pospałbym chętnie jeszcze trochę, ale trzeba zbierać się do drogi.

21 września. Dzisiaj dla odmiany mamy kopny śnieg. Na tej wysokości słońce jeszcze nie zdążyło go stopić. Kilkadziesiąt metrów przedeptali nam Andrzej i Tomek, ale dalej musimy już mozolić się sami. Torowisko z ciężkimi plecakami zabiera dużo czasu.

Boczne żebro wyprowadza nas na wschodnią grań. Po raz pierwszy widzimy z bliska całkowicie lodową, najeżoną barierami seraków północną ścianę Kiszmi Chana. Przed nami, za doliną Atraf-e Chali, wznosi się prawie pionowy mur z jasnego granitu. Olbrzymie lite płyty, wielkie bloki i przewieszki przykryte są u góry czapą lodu. To południowa ściana szczytu Auar, góry, na którą już od dawna mamy apetyt. Wygląda jednak wyjątkowo niedostępnie.

Wschodnia grań Kiszmi Chana piętrzy się nad nami uskokiem stromych nawisów. Postrawiamy ominąć tę przeszkodę z lewej strony. Po przekroczeniu sporej szczeliny, trawersujemy śnieżno-lodową depresję, opadającą stromo w kierunku „Sanktuarium”. W kuciu stopni przeszkadza wyważający plecak. Boczny żeberkiem, ograniczającym depresję, powracamy na grań znowu nurzając się w głębokim śniegu. Krok za krokiem posuwamy się w górę. Na szczęście nie ma już tu większych trudności. Słońce powoli się obniża, trzeba szukać miejsca na obóz.

— Może tutaj? — proponuję.

— Za dużo kucia, chodźmy jeszcze trochę dalej.

Dodatkowy wysiłek się opłaca. Po kilkudziesięciu metrach napotykamy miejsce wręcz idealne. Między serakami utworzyła się mała, zupełnie płaska kotlinka. Spieszmy się z zestawieniem namiotu. Jest diabelnie zimno, około 25 stopni poniżej zera. Antek rozkłada śpiwory, a ja umacniam od-

ciągi i rąbię lód na wodę do kolacji i śniadania. Wreszcie mogę również wsunąć się do namiotu. Buty są zalodzone i tylko z pomocą czekana udaje mi się odczepić paski. Podczas gdy Antek zasypia nerwowym snem, gotuję zupę, a następnie kompot. Gorący płyn wzmacnia nas doskonale. Natychmiast po zjedzeniu zasypiamy — na bezsenność na Kiszmi Chanie nie możemy narzekać.

22 września. Rano jestem, jak zwykle, śpiący i nieruchawy. Antek przyrządza śniadanie. Nie mam specjalnie apetytu i wmuszam w siebie jedzenie raczej z rozsądku.

— Jak ty dzisiaj pójdziesz? — niepokoili się mój towarzysz.

— Nic się nie bój — odpowiadam. — Niech tylko wezmę czekan do garści...

I rzeczywiście po kilku krokach wracają mi siły. Jest zimno, więc idziemy w kurtkach puchowych. Puchowe spodnie i butki wsadziliśmy na wszelki wypadek do plecaków. Podejście jest strome, a śnieg głęboki. Wbijam wysoko czekan i podciągam się. Torując zapadam się po kolana i głębiej. Co kilka kroków przystanek, głębokie oddechy.

— Czy nie za wolno? — pytam.

— Ledwo mogę za tobą nadążyć. A może cię zmienić?

— Jeszcze trochę...

Robi się łagodniej, ale śnieg tworzy na wierzchu skorupę. Nagle głuche stęknienie. Dokoła mnie otwiera się szeroka na palec szczelina.

— Wbij czekan! Prędko! — wołam.

Ale lawina nie rusza. Ostrożnie posuwamy się dalej w górę. Muszę przyznać, że się boję. Podchodzimy pod dolny pas seraków. Przecinając cały wierzchołkowy trapez Kiszmi Chana, stanowią one od początku niewiadomą drogi. Jak przedostaniemy się przez nie? Uważnie przepatrujemy lodową ścianę. Do dolnego pasa przylega stromy stożek śniegu, wyprowadzający na lewe ograniczenie. Tamtędy musimy przejść.

— Odpocznijmy, tu na lewo jest bezpiecznie — mówi Antek.

Niezbyt mam na to ochotę. Wolałbym mieć ten odcinek poza sobą. Ale Antek nalega, trawersuje w kierunku szczeliny pod dużym serakiem, zrzuca plecak i siada. Idę do niego, staję i podziwiam górę, na której się znajdujemy. Pięknie jest tutaj. Ani śladu skały, wszędzie oślepiająca biel śniegu i lo-

Na szczycie Kiszmi Chana (7177 m) 22 IX 1963. Od lewej: B. Mac, J. Warteresiewicz i A. Tokarski. W głębi Udren Zom (7131 m) i Szachaur (7116 m).

Fot. Maciej Gryczyński



du. Na południu, ponad wierzchołkami Szachaura i Nadir Szacha, wyrastają olbrzymie masywy o wielkich, najeżonych serakami ścianach. Do szczytu już niedaleko. Czy wyjdziemy? Teraz to już po prostu musimy! Śnieg jest ciężki, ale sił nam wystarczy.

Ruszamy dalej. Na stromiźnie raki trzymają się lepiej. Na samej grani musimy się asekurować sztywno. Jej nachylenie wynosi przeszło 60 stopni. Pod nami obrywa się potężna skalna południowa ściana Kiszmi Chana. Na całe szczęście uskoku jest tylko 40 metrów. Wchodzimy na wielkie pola podszczytowe. Śnieg znowu pęka. Antek próbuje się przebić przez górną barierę. Dzieli nas od niej głęboka szczelina. Trawersuje więc po kruchym śnieżnym mostku. Nagle słyszę suchy trzask i mój towarzysz znika mi raptownie sprzed oczu. Czuję jak napręża się lina. Mostek nie wytrzymał...

— Cały jesteś?

— Tak, popuść!

Antek z trudem wydobywa się z czeluści. A niech to diabli! Musimy trawersować do przeciwległej grani. Torujemy na zmianę. Spod naszych nóg, jak iskry elektryczne, wybiegają pęknięcia. Są szybsze od nas. Ale tu jesteśmy bezpieczniejsi. Znajdujemy się na górze wielkiego tarasu. Wypatrujemy, czy nie dałoby się gdzieś przedostać do grani. Tuż pod szczytem nadarza się okazja. Ostrożnie przekraczam szczelinę. Wreszcie jestem po drugiej stronie i oddycham z ulgą. Ściana jest stroma, ale lód pokrywa dobrze związany śnieg. Stopień za stopniem posuwamy się skośnym trawersem w górę. Nagle spostrzegam na dole dwie sylwetki. To Maciek i Jurek. Gonią nas. Idąc naszym śladem, zdecydowali się wejść dzisiaj na szczyt. Na wielkim pustkowiu dwójka ludzi. Świetnie! Będziemy mieli towarzystwo. Z zazdrością patrzę, jak szybko posuwają się przetorowanym szlakiem. Ale prawdę powiedziawszy wolę sam torować. Czuję przez

to radość z wywalczenia szczytu, który staje mi się bardziej bliski, sukces bardziej drogi...

Jeszcze kilka kroków i wychodzę z cienia na zalaną słońcem grań. Przed nami szczyt. Łatwą firnową granią osiągamy wierzchołek. A więc jednak! Jesteśmy na Kiszmi Chanie. Sciskamy się z Antkiem i czekamy na naszych podchodzących towarzyszy.

— Ależ macie tempo! — witamy ich.

— Mamy świetnych deptaczy — śmieje się Maciek.

Całujemy się znowu. Pierwszy szczyt jest już nasz; nie wrócimy z pustymi rękoma do domu. Jestem szczęśliwy. Wyciągamy proporce i zaczynamy fotografować. A jest co! Otacza nas niezmiernie morze gór. Na północy mamy pod sobą „dach świata” — Pamiir. Hen, daleko, bardziej na wschód — Tiań Szań. Na zachodzie, ponad nie kończącymi się grzbietami centralnego Hindukusu, wybija się jakiś szczyt — to Kuh-e Bandakor. Południowy horyzont przesłaniają olbrzymie Wschodniego Hindukusu. Są bliskie i najbardziej imponujące. Zwalisty masyw Noszaka wznosi się ponad strzeliste szczyty otoczenia doliny Kazi Deh. Saragar opada ku dolinie Rosz-Gol zerwą przypominającą Petit Dru w Alpach. Ale najbardziej przyciąga wzrok potężny świat górski na południowym wschodzie. Smukłe sylwetki lodem opancerzonych olbrzymów stoją zwartym tłumem. Tam nie potrzeba szukać szczytów siedmiotysięcznych! Te góry, to Karakorum, a za nimi Himalaje. Zastanawiamy się, który ze szczytów to K 2, a który Nanga Parbat. Pogoda jest cudowna, widoczność doskonała. Tak nam się tutaj na górze podoba, że siedzimy przeszło godzinę oglądając świat wokół nas.

Ale i piękne rzeczy mają swój koniec. Bierzemy czekany do rąk i zaczynamy schodzić. Droga przed nami jeszcze daleka.

Bogdan Mac

Lornetka

Andrzej Wilczkowski

Ciekawość zwyciężyła. Nie doczekawszy się aż słońce oświetli namiot, rozwiązałem rękaw wejściowy i sięgnąłem po lornetkę. Była zimna i szkła od razu pokryły się parą. Przetarłem je rękawicą i rozpocząłem obserwację grani. Za wcześniej, tam, w górze, nikt się nie ruszał. Odłożyłem lornetkę i sięgnąłem po przygotowaną wieczorem blaszaną. Hakiem udało mi się przebić warstwę lodu, pod którą chlupotała resztką wody. Wlałem ją do menażki i postawiłem na kuchence wewnątrz namiotu. Jeszcze raz bardzo dokładnie przyjrzałem się grani. „Nie ma nikogo”. Zniechęcony zaciągnąłem rękaw namiotu i wróciłem na posłanie. Jeszcze raz uprzytomniłem sobie harmonogram. Dziś Bogdan i Antek powinni założyć obóz K 5. Jeśli uda im się zająć go odpowiednio wysoko, jutro będą mieli szansę wejść na szczyt. Nie liczyłem na tę możliwość. W ślad za pierwszą dwójką poruszał się zespół zasadniczy. Jeżeli Antek i Bogdan będą musieli zrezygnować ze zwycięstwa, Jurek i Maciek powinny przenieść obóz K 5 wyżej w górę i ponowić próbę. Co będzie, jeśli i im się nie uda — wolałem nie myśleć. Był 21 września, a wyprawa nie miała dotąd żadnego osiągnięcia. Nie udany szturm na Kiszmi Chana oznaczałby chyba kompletną klęskę.

Znowu sięgnąłem po lornetkę. Na grani słońce było już od dawna i powinienem zaobserwować jakiś ruch. Nadal nic. Tymczasem słońce oświetliło namiot i zagotowała się woda. Zaparzyłem herbatę, zjadłem śniadanie i wygrzebałem się ze śpiwora. W sąsiednim namiocie, zajmowanym dziś przez Tomka i Andrzeja, również rozpoczął się ruch. Tomek wyszedł pierwszy i zastał mnie z lornetką przy oczach.

— Widać coś?

— Nic.

— Dziwne. Powinni się już wygrzebać.

Po wyjściu z namiotu zająłem swoje zwykłe stanowisko obserwacyjne na morenie. Tkwiłem tam niemal nie odrywając lornetki od oczu. Nie mogłem zrobić nic innego. Tomek i Andrzej przygotowywali się do jutrzejszego pójścia w górę; wprost nie do wiary o ilu rzeczach człowiek musi pamiętać i co przygotować, żeby przenieść się z obozu do obozu.

— Są!

Na grani, ponad pierwszym serakiem, ukazały się dwie czarne plamki. Biorąc pod uwagę wysokość i obciążenie, plamki były dość ruchliwe.

— Gdzie, gdzie?

— Oddałem lornetkę Tomkowi.

— Nad pierwszym serakiem, poniżej miejsca, dokąd doszliśmy przedwczoraj — poinformowałem go, zdejmując ramię z szyi. — Dosyć późno wyszli — zauważył Tomek.

— Ale idą raczej rażno.

— Tam jest śnieg i mają przetorowane aż do przełączki u zbiegu grani.

Wyciągnąłem rękę po lornetkę. Bez niej czułem się jak ślepiec. Tomek oddał mi ją z niechęcią. Przyklepiłem się do szkła. Nigdy nie myślałem, że to może być takie zabawne. Po prostu dzięki układowi soczewek i przyrządów stałem się towarzyszem tamtych dwóch na górze. Nie chciałem przegapić ani jednego ich kroku. Każdy osiągnięty przez nich metr był i moim metrem, przyspieszał rozwiązanie dręczącego problemu: puści — nie puści. Oślepiający blask lodowców skupiony w ogniskowej soczewki męczył oczy. Pomyślałem o ślepotcie śnieżnej. Włożyłem ciemne okulary i próbowałem patrzeć przez lornetkę. Złę. Zdjąłem okulary i zamknąłem oczy. Otwierałem je tylko po to, aby patrzeć na grań. Tamci byli coraz wyżej. O godzinie pierwszej osiągnęli przełączkę u zbiegu dwóch grani Kiszmi Chana.

— Wilku, chodź coś zjeść — powiedział Andrzej.

Poszedłem, nie zdejmując lornetki z szyi. Co pewien czas zerkałem na grań. Bogdan i Antek nie ruszali się teraz z miejsca. „Czyżby chcieli tam założyć obóz piąty?” — pomyślałem z niepokojem. „Są na wysokości 6200. Do szczytu jeszcze tysiąc metrów. Jeśli założą tu obóz, nie mają szans wejścia na szczyt, a jednocześnie zmniejszają szanse Jurka i Maćka.” Zjadłem kapuśniak zrobiony z konserwy, podziękowałem i wróciłem na stanowisko obserwacyjne.

Ruszyli. Przetrawersowali całą szerokość przełączki i stop. Coś ukłuło mnie w dołek. Czyżby? Pięć minut, w ciągu których zespół tkwił na grani potwierdziło moje przypuszczenie: lód. Wiedziałem co to znaczy. W ciągu tych pięciu minut wiązali się liną. Teraz będą szli w górę krok za krokiem, rąbiąc stopnie czekaniem. Wyciąg czystego lodu na tej wysokości i z obciążeniem, to pół godziny. Co najmniej. I to tylko na początku. Potem przyjdzie zmęczenie, czekanie przestanie być posłuszny ręce, zaczniesz się dziwnie związać w dłoni. W efekcie obóz stanie zbyt nisko i jutro może nie starczyć

sily, by wyjść wyżej. Dogonią ich Maciek i Jurek. Noc w czterech w dwuosobowym namiocie. „Tak — pomyślałem — harmonogramy są jak zwykle po to, żeby je diabli brali.”

Tymczasem tam w górze pierwsza plamka odsunęła się od drugiej. Od czasu do czasu migają w słońcu ostrze czekana. Potem chwila przerwy i zaczęła się poruszać druga plamka. Potem znowu pierwsza ruszyła do góry. Odległości pomiędzy nimi wydały mi się za małe. „Oni mają tylko 20 metrów liny” — ta myśl dziabnęła mnie w głowę jak tasak. Tymczasem obie plamki osiągnęły już środek ścianki uskoku grani. Pierwszy w zespole rozpoczął trawers w lewo do niezbyt wybitnej grzędki. „Sam bym tak chyba grał — pomyślałem. — Dobrze idą. Jeśli gdzieś mogą złapać śnieg, to właśnie na grzędzie.” Teraz już nie odrywałem oczu od lornetki. Rytm poruszania się pierwszej plamki zdradzał, że zespół ciągle jeszcze pracuje w lodzie. Każdy krok przemieszczał plamkę bliżej grzędy. Jeszcze trzy metry, jeszcze dwa, jeszcze jeden. Już! Spod ciemnej plamki wyskakuje w powietrze porwana wiatrem śnieżna chorągiew.

— Śnieg! — wrzasnąłem zrywając się z miejsca. — Mają śnieg!

— Co się stało? — zaniepokoił się Tomek i Andrzej.

Podaliśmy im lornetkę. Teraz już i gołym okiem było widać podwiewający spod nóg urobek śnieżny. Tempo zespołu wyraźnie wzrosło. „Za 20 minut powinni wejść na wierzchołek uskoku” — pomyślałem. Spojrzałem na zegarek. Za 20 minut słońce schowa się za grąń Kiszmi Chana i natychmiast zrobi się zimno. Trzeba przedsięwziąć odpowiednie kroki, żeby przed tym wleźć do namiotu. Jednak nie miałem siły przestać ślepić w lornetkę. Ponieważ Bogdan i Antek nie zastosowali się do mojego terminu i nie zniknęli mi z oczu w ciągu 20 minut, więc kiedy w końcu zrezygnowałem z patrzenia, byłem już tego zmarznięty.

„Co najmniej godzina do chwili, kiedy się znowu ukąsa, o ile nie założą już obozu” — kalkulowałem wkładając spodnie i buty puchowe i chowając do namiotu wietrzący się dotychczas śpiwór. Przyniosłem z jeziora wody na herbatę i wreszcie zainstalowałem się w namiocie. Zapiisałem w notesie zdarzenia ostatnich godzin i pomyślałem, co dalej robić.

— Hej, wiara! — zawołałem do Tomka i Andrzeja — macie czas?

— Mamy. A bo co?

— Może pogramy w tysiąca?

— Dobrze. Za pięć minut, tylko Andrzej coś zaceruje.

Przygotowałem karty, świecę i zapalki. Po chwili przyczłapali w nie zasznurowanych

butach, które przed wejściem do namiotu zmienili na butki puchowe.

Gra w tysiąca nie należy do zajęć intelektualnych, ale doskonale skraca czas oczekiwania. Przez pół godziny z trudem powstrzymywałem się od wzięcia do ręki lornetki. W końcu nie wytrzymałem.

— No co, widać ich? — zapytał Tomek.

— Nie.

Wróciłem do kart.

— No to sto.

Gra potoczyła się dalej.

— Tomciu, rozdajesz. — Wzięłem znowu lornetkę do ręki.

— Zostaw tę lornetkę i zaciągnij rękaw namiotu, bo zimno.

— Jeszcze trochę.

Popatrzyłem chwilę, potem zasłoniłem otwór namiotu, żeby nie wiało. Rozegraliśmy jedno rozdanie. Znowu wytknąłem głowę z otworu.

— Są!

Zza uskoku wyszły dwie plamki i posuwały się bardziej teraz połąką częścią grani. Lornetka obezła wszystkich.

„Dobrze idą.” — „Już wpół do piątej, niedługo założą obóz.” — padały uwagi. Ja znowu nie mogłem oderwać oczu od szkieł. Plamki poruszały się szybko. Wiedziałem, że już późno, że zaraz muszą rozbić obóz, żeby ich nie zastała noc. Tylko to pozostawało im do zrobienia, jednocześnie jednak marzyłem, żeby szli dalej. Jeszcze metr, jeszcze 10 metrów, jeszcze wyciąg liny. Tymczasem zespół się zatrzymał. Chwilę, plamki tkwiły w miejscu, w końcu jedna znikła. „Bogdan zeskoczył z nawisu” — pomyślałem.

Dруга plamka stała jeszcze chwilę, po czym przespacerowała się tam i z powrotem. Uśmiechnąłem się: Antek szuka dogodniejszego miejsca do zejścia, ma dolną asekurację, nie chce ryzykować skoku. Plamka powróciła w to samo miejsce, gdzie znikła pierwsza, i zmniejszyła się do połowy. „Usiadł!” — pomyślałem. Plamka znikła. „Zeskoczył!”

Przyjrzałem się konfiguracji grani.

— Już dzisiaj ich nie zobaczymy — powiedziałem. — Teraz to już muszą założyć obóz. Z bazy to ich może jeszcze widać. Wzrok mój powędrował w górę. Prześlizgując się po serakach i trabantach grani dotarł do podszczytowych nawisów. Potem jeszcze raz obszedł szczyt od obozu K 4 wzdłuż całej drogi przebytej dziś przez zespół, i dalej aż do wierzchołka.

„Mają szansę — pomyślałem. — Może już jutro. Żeby już jutro...”

— Wysoko dziś zaszli — powiedziałem odkładając lornetkę. — Musieli się natyrać diabelnie.

Zebrałem rozrzucone karty i zacząłem tasaować do nowego rozdania.



W mgłach na szczycie M2

Jerzy Michalski

Po przebytej chorobie miałem jeszcze stany podgorączkowe, mimo to Tadek zaproponował mi pójście w góry. Wszyscy byli poza bazą, z wyjątkiem rekonwalescentów — Marka i mnie. Po długim zastanowieniu propozycję przyjąłem. Jeśli będę się czuł gorzej, zawrócę — postanowiłem sobie. Decyzją przyszła mi tym łatwiej, że i mój stały partner, Maciek, był w akcji...

Po zdobyciu Kiszmi Chana stały jeszcze obozy K 1, K 2 i K 3. Można je było wykorzystać do próby wejścia na szczyt 6588 m, jeszcze przez II Polską Wyprawę nazwany roboczo „M 2”, a będący najbliższym sąsiadem Kiszmi Chana od południa. Ma on sylwetkę regularnego trapezu z dwiema ostrymi graniami spadającymi z wierzchołków. Ściana wschodnia, doskonale widoczna z bazy, jest w całości pokryta lodem i w części podszczytowej posiada olbrzymią barierę seraków. Dojście w pobliżu szczytu nie jest bynajmniej łatwe. Utrudnione przez lodowiec, pocięty szczelinami i serakami, stanowi ono problem samo w sobie, podobnie jak wejście na Col de Peuterey przy ataku na Centralny Filar Freney w Alpach.

Zdobyć M 2... Muszę przyznać, że nie wierzyliśmy w powodzenie tego przedsięwzięcia — zbyt niedostępne wydawały się kształty góry, zbyt duże było nachylenie ścian, by można było choć trochę oczekiwać sukcesu. Ale realna ocena sytuacji nie przeszkadzała nam w podjęciu decyzji. W górach typu himalajskiego znanym zaledwie kilku wyprawom, w dolinie, gdzie nie działała dotąd żadna wyprawa, może się zdarzyć, że osiągnięcie celu okaże się niemożliwe, ale poznanie terenu będzie dla eksploracji niemal tak samo ważne, jak zdobycie szczytu.

*

Wyruszamy z bazy obładowani sprzętem i żywnością. Do obozu K 1 docieramy w 2 godziny („jak na rekonwalescenta, wcale nieźle” — pochwalam się w duchu). Krótki postój na łyk gorącej wody z sokiem i idziemy dalej. Aby dostać się do obozu K 2 przechodzimy boczną grań spadającą z Kiszmi Chana. Jest niesamowicie krucho, podobnie jak w żlebie na filarze Szachaura.

Szczeliny lodowe pod Kuh-e Tez (7015 m).

Fot. Marian Bala

Na szczęście tuż pod granią wisi lina poręczowa pomagająca wydostać się na przełęcz. Po krótkim zejściu z grani przecinamy w poprzek lodowiec i już jesteśmy w obozie K 2 na wysokości 4700 m, w pobliżu lodowcowego jeziora. Stoją tu dwa namioty, w których gospodarzy Andrzej. Wieczorem długo rozmawiamy przy herbacie...

Nazajutrz czeka nas droga do obozu K 3. Na lodowcu panuje straszliwy upał. Skupiające promienie „soczewki” lodowcowe wytwarzają temperaturę przekraczającą 50°. Klniemy na czym świat stoi: mogliśmy przecież wyruszyć wcześniej, ale nie chciało nam się wstawać bez słońca. O godz. 14 osiągamy „Plateau Łódź”, na którym znajduje się niezwykle malowniczo usytuowany obóz K 3. Z jednej strony dźwiga się potężny lodowy łąb Szachaura i długa, pięciokilometrowa grań do Nadir Szacha, żywo przypominająca „bezingijski mur” w Kaukazie. Z drugiej strony Kiszmi Chan, widziany w dużym skrócie, gdyż obóz leży tuż pod nim. W głębi M 2 ze swoją wspaniałą lodową ścianą, a po przeciwnej stronie — lodowiec Szachaur, wyglądający jak monstrialne, ujęte w wały moren, kretowisko.

Po nocy, przespanej dobrze mimo wysokości 5400 m opuszczamy obóz. Musimy przejść nienazwany lodowiec, wyprowadzający pod przełęcz, skąd zamierzamy przypuścić szturm na M 2. Początkowo próbujemy iść prawą częścią lodowca, ale potężne turnie lodowe i głębokie szczeliny szybko nas od tego zamiaru odstrasza. Lewa strona jest podobna. Tak strzaskanego, a jednocześnie ciekawego lodowca nie widziałem dotąd. Brouillard w Alpach czy Kundium w Kaukazie wyglądają jak miniaturowy tego kolosa. Jedynym rozwiązaniem wydaje się przejście środkiem. Jest ono wprawdzie narażone na lawiny seraków, ale słońce przestało już operować i dlatego możliwie szybko staramy się iść w górę. Plecaki ważą po przeszło 20 kg, wysokość bliska 6000 m, upał. Wszystko to razem powoduje znaczny spadek tempa. Idziemy po kilkadziesiąt kroków, potem odpoczynek, potem znowu marsz. Co pół godziny kilka minut postoju. Pokonywanie kolejnych spiętrzeń lodowca pozwala na wgląd w drogę nie głębiej niż na jakieś sto metrów. Oczekujemy zawsze z napięciem, co ukaże się za następnym progiem? Wreszcie odkrywa się przed nami

wielkie plateau sięgające na przełęcz, skąd bierze początek lodowiec. Olbrzymia biała płaszczyna jest dla nas niespodzianką, tak duży płaski wymiar powierzchniowy nie często zdarza się zobaczyć w górach.

Tuż przy grani wyrastają z lodu skalne turnie o bajkowych kształtach. Podobieństwo do górnej części lodowca Giganta jest tak uderzające, że na chwilę wydaje mi się, iż jestem w Alpach. Dopiero brak oddechu przy szybszym kroku sprowadza moją świadomość do rzeczywistości. Z prawej strony wielka skalno-lodowa grzęda wyprowadza wprost na Kiszmi Chana. Z lewej zapierająca dech północno-zachodnią ścianą M 2. Lodowo-śnieżna, z niewielką grupą skałek w kopule szczytowej, stromo spada z wierzchołka regularnego trójkąta. Jej nachylenie przekracza nasze oczekiwania — jest prawie pionowa. Wątpliwości znowu nas ogarniają: to chyba nie do przejścia — wyrokujemy obydway. Nasze samopoczucie poprawia nieco kolacja z dużą ilością herbaty. W namiocie jest cicho i przytulnie. Utrzymuje się tu temperatura +10°, podczas gdy na dworze panuje mróz -20°. Gotujemy wewnątrz, pali się świeca...

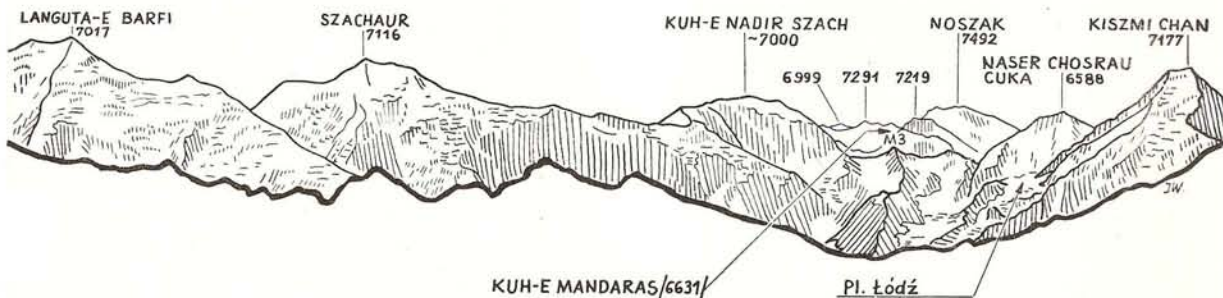
Ranek jest zimny, dlatego zwlekamy z wstawaniem, czekając na słońce. Zarysowują się dwie koncepcje ataku: albo lewą granią ograniczającą ścianę, albo samym środkiem ściany, najpierw długim skośnym trawersem od lewa wzdłuż szczeliny lodowej, aż do miejsca, gdzie ona zanika, skąd prosto w górę otwartą lodową zerwą. Druga koncepcja wydaje nam się korzystniejsza i ciekawsza wspinaczkowo. Po krótkim namyśle maszerujemy, ciężko brnąc w śniegu pozostałym po ostatnim opadzie. Pierzaste chmury, które od rana wypełniały doliny, zaczynają się podnosić do góry, by wreszcie około godz. 10 spowodować załamanie pogody: śnieg, utrudniający widoczność i wybór najwłaściwszej drogi. Jednak śnieg podłoża poprawia się z wyciągu na wyciąg. Naj-

pierw jest nie związany, potem ma twardą powierzchnię, która załamuje się pod ciężarem człowieka tak, iż musimy się czołgać, by zmniejszyć nacisk i uniknąć spowodowania lawiny. Charakterystyczne „tąpnięcia” bynajmniej nie dodają nam otuchy. Szybciej, szybciej! — popędzamy się wzajemnie. Wreszcie następuje owo prawie pionowe spiętrzenie. Pokrywa je lód i zlodowaciały śnieg, wspinaczka jest teraz wspaniała. To naprawdę wielka radość czuć się sprawnym fizycznie, rąbać stopnie i chwyty, wspinając się wyciąg za wyciągiem. W takich chwilach nie ma mowy o zmęczeniu, istnieje tylko jeden cel: szczyt.

Pogoda nie poprawia się i wśród mgieł osięgamy podszczytową grań. Teraz już wiemy, że M 2 będzie nasz... Słońce prześwieca przez mgłę i jest bardzo gorąco. Noga za nogą, uważnie się asekurując, pokonujemy ostatni odcinek, niebezpieczny ze względu na monstrialne nawisy grożące zawaleniem. Szczyt jest właściwie jednym z nawisów. Stajemy na nim o godz. 12.20. Do pogody nie mamy szczęścia. Doliny zasnuwane są mgłami, w których czasem tylko robi się „dziura”, przez którą oglądamy nieznaną nam dolinę Mandaras, rejon działania II Polskiej Wyprawy — grupy poznańskiej. Robimy pamiątkowe zdjęcia, gotujemy herbatę. Dane dotyczące wejścia spisujemy na kartce po polsku i angielsku i pozostawiamy na szczycie w igelitowej torebce.

Jesteśmy pierwszymi ludźmi na szczycie... Dziwne uczucie, które nawiedza wszystkich alpinistów w takich chwilach. Ogromny wysiłek wielu miesięcy przygotowań, poświęcony czas i środki, trud i niebezpieczeństwo wejścia — wszystko koncentruje się teraz w tym jednym krótkim momencie pobytu na wierzchołku. Momentu tego w dodatku nie wolno nam przeciągać zbyt długo. Mgły w dalszym ciągu wypełniają doliny, pogoda jest niepewna. Trzeba schodzić...

Widok znad doliny Urup w kierunku południowo-zachodnim. Szczyt M2 nosi nadaną mu później nazwę Naser Chosrau Cuka. Opracował Jerzy Wala na podstawie zdjęć Mariana Bały.



Languta-e Barfi

Jerzy Warteresiewicz

Zdobyliśmy ją właściwie jako „Langustę Barfi”. Langusta, to jakiś dziwny morski rak — niby dlaczego miałyby się pojawić w Hindukuszu, w samym sercu Azji? Pytaliśmy Akę Bahara, czy to słowo coś w jego języku oznacza. Zaprzeczył. Dopiero w kraju wyszło na jaw, że koledzy, którzy sporządzali szkic rejonu, coś przekręcili w nazwie, a szczyt faktycznie był ochrzczony inaczej: Languta Barfi lub Languta-e Barfi, co znaczy „Snieżny Zawój”.

Prawdę mówiąc była to prywatna góra Maćka Gryczyńskiego. Kilka dni wcześniej wszedł wraz z Jurkiem Michalskim pod samą czapę lodową wieńczącą szczyt — ów „zawój”, od którego poszła nazwa. Dotarli pod okapy w kształcie brwi, utworzone w tym miejscu przez „anakondę”. Muszę wyjaśnić, że „anakonda” był to potwór ogromny. Wił się przez Langutę i północne zerwy Szachaura, a potem pojawiał się nagle na Kiszmi Chanie. Tworzyły go skały pochodzenia intruzyjnego — jaśniejsze od otaczających łupków i daleko od nich twardsze. Wąż ten wił się na wysokości 5 do 6 tysięcy metrów, tworząc pełne fantazji zawiąnięcia.

*

25 września po południu dotarliśmy do bazy wysuniętej pod przełęczą Kotgaz-An. Wieczorem grzebaliśmy w żółtych „bębnach”, wylawiając co smakowitsze konserwy.

— Na ile biwaków zabierzemy żywności?

— Czy ja wiem? Na dwa, może trzy...

Każdy z nas w duchu myślał o jednym biwaku, ale nie mówił, żeby nie być posądzonym o brak piątej klepki. Dwa i pół kilometra w górę na wysokość 7000 m i z powrotem w dwa dni — nie wydawało się to zbyt realne. Wreszcie ułożyliśmy taki plan: rano kuluarem nad „anakondę” na wysokość 6000 m (1700 m przewyższenia), na drugi dzień szczyt i z powrotem do miejsca biwaku, a może nawet od razu do bazy wysuniętej.

W szary ranek mozolnie przestawialiśmy nogi podchodząc pod ścianę naszej góry. Szczytu nie było widać, tylko skraj lodowej czapy majaczył gdzieś w górze.

— Słyszysz? — spytał nagle Maciek przystając.

— Helikopter? Ki lichy?

Po minucie dziwny dźwięk zamilkł. Podchodziliśmy dalej starym lawiniskiem, po-

krytym drobnym szutrem. Brzęczenie ponownie się nasiliło.

— O, znowu ten helikopter! Skąd on się tutaj wziął na końcu świata?

Błądziliśmy oczyma po niebie, ale zagadka rychło się wyjaśniła: osobliwy dźwięk wydawały łupki sypiące się jednym z bocznych żlebów.

Weszliśmy w nasz kuluar. Był wąski, zaledwie kilkunastometrowy. Zaczęliśmy lawinować pomiędzy penitentami, które tworzyły „schody” o wysokich stopniach. Środkiem kuluaru las penitentów był wyłamany. „Przecinka” tą biegiel tor wyslizgany przez spadające kamienie i lodowe bryły. Zaczęłam nalegać, aby uciec z niebezpiecznego koryta w mniejszy lewy żlebek, wyprowadzający na grzędę. Maciek pocieszał mnie, że nic nam nie grozi, mimo to przez cały czas myślałem tylko o tym, w którą stronę uskokoczyć, kiedy tony lodowych brukowców runą kuluarem w dół. Moje obawy okazały się słuszne. Kiedy słońce dogrzało, dnem zaczęły spadać kamienie. Poczynały sobie coraz bezczelniej, przelatując całymi stadami. Schroniliśmy się pod skalną ścianę. Jasne się stało, że trzeba czym prędzej czmychnąć w ów boczny żlebek.

Szybko pokonaliśmy skalną przewieszkę i ruszyliśmy w górę skałami po prawej stronie. Potem trzeba było z powrotem przetrawersować kuluar i dostać się do upragnionego lewego żleбку. Szczęśliwie przeszedłem przez wyslizgany tor lawinowy, ale z pośpiechu wpakowałem się nieopatrznie w kruchą pionową ściankę. Wychyliwszy głowę obserwowałem górę kuluaru, a z kolei Maciek przechodził niebezpieczne miejsce. Kiedy dał drugi krok i wyciągnął rękę do białego penitenta, obsunął się raptem i zaczął spadać szybko w dół gładkim jak szkło korytem. Ze strachu przykleiłem się do swej kruchej ścianki... Maciek usiłował hamować obcasami, skrobał lód rakami przytroczonymi do plecaka. Ale przede wszystkim puścił w ruch swoje długie ręce: co parę metrów zarzucał je na penitenty jak kotwice, za którymi wreszcie razem zaczepił się skutecznie i wyskoczył na lodowy stopień.

Po chwili byliśmy znowu razem. Nasz nowy żleb okazał się łaskawszy. Trzeba w nim było co prawda wspinać się przez skalne progi, ale nie groziły przynajmniej spadające kamienie. Po dalszej godzinie wspinaczki Maciek zaczął opadać z sił. To odwodnienie organizmu, podstępny wróg alpi-

nisty na dużych wysokościach. Gdyśmy odpoczęli, wypili herbatę i żwawo ruszyli w górę, pomyślałem, że jeśli tak dalej pójdzie, to następnego dnia mimo wszystko zdolamy stanąć na szczycie.

Nasz żleb prowadził dość stromo ku górze, wreszcie osiągnęliśmy boczną grzędę szczytu. Ciężko dysząc zatrzymałem się. Z kolei ja zaczynałem mieć dosyć całej zabawy.

— Może odpoczniemy?

— Dobrze — zgodził się Maciek.

Zwalilem się na stok pokryty łupkami. Mimo zmęczenia ciekawie rozejrzałem się dokoła. Skały były tu ostre, przypominały duże kamienne jeże. Niedaleko zaczynały się rubieże lodowej czapy. Dwa kominki w jasnych, twardych skałach wyprowadziły nas ponad pas „anakondy”. Na grzędzie ponad nią penitenty pokryte były świeżym śniegiem i poruszanie się wśród nich kosztowało wiele wysiłku. Szliśmy w górę zataczając się jak pijani. Zbliżał się wieczór, więc obniżyliśmy się przez szczeliny lodowe na półkę skalną, gdzie wybraliśmy miejsce na biwak.

Było już szaro, gdy stwierdziłem, że mój nadmuchiwany materacyk nie jest szczelny. Po pół godzinie oklapł zupełnie. W dodatku zapomniałem też spodni puchowych... A tymczasem za osłaniającą nas grzędą wiatr wyczyniał nieprawdopodobne harce. W powietrzu wirowały korkociągi, trąby i spirale ze śniegu, które opadały akurat na nasze śpiwory. Na domiar złego z przelotnych mgieł zaczął prószyć drobny śnieżek.

Noc była dla mnie dosyć przykra. Jednakże nad ranem w mego towarzysza nagle wstąpił lew. Było jeszcze ciemno, gdy zaczął gotować i przynaglać mnie do drogi, mimo iż chciałem czekać na słońce.

Po penitentach naszej grzędy dotarliśmy na stok „czapy”, miejscami niemiło olodzony. Jak na przeszło 6000 metrów posuwaliśmy się wcale dobrze. Maciek wy dostał się wreszcie na osłonecznioną północno-zachodnią grań. Siadł natychmiast, zdjął buty i zaczął rozcierać stopy. Gdy po kwadransie uznał je za dostatecznie rozgrzane, ja z kolei stwierdziłem u siebie brak czucia w palcach. Zzułem olbrzymie wysokościowe buciorry, Maciek tłukł mi jedną stopę, ja drugą. Po godzinie obaj byliśmy gotowi do dalszej drogi.

Przed nami wyrastała podwierzchołkowa turnia lodowa. Zaatakowaliśmy ją wprost ładną czołową ścianą, którą pokonaliśmy

w mig idąc na zębach raków. Gdy wychylniliśmy za wierzchołek okazało się, że to co z dołu wydawało się kawałkiem grani podszczytowej, jest całym ogromnym górzyskiem — chyba 400 metrów wysokości. Jak lunatycy zdobywaliśmy teraz w głębokim śniegu metr po metrze. Bardzo uprzejmie oddawaliśmy sobie wzajemnie prowadzenie... Doszliśmy wreszcie od szczeliny, nad którą wznosiła się stromo grań. Tu trzeba się było przyasekurować liną. Na ubitym śniegu ponad ścianką lodową znów rozwiązałem się, Maciek natomiast pozostał związany i włókł linę za sobą. I tak należała do jego obciążenia, było mu więc obojętne, czy ją ciągnie, czy niesie. Poruszaliśmy się ku górze ostatkiem sił. Na szczęście mgły i chmury osłaniały nas przed słońcem. Szedłem przy pełzającej linie, i to coraz bliżej jej końca. Maciek podchodził rytmicznymi zrywami: piętnaście kroków — i odsapka. Toteż od czasu do czasu lina uciekała mi spod nóg. Koncentrowałem się wówczas na tym, żeby ją dogonić. Udawało mi się to coraz rzadziej, aż wreszcie oddaliła się i płała po śniegu kilkanaście metrów przede mną. Grań rozpląszczyła się tymczasem i przeszła w połąkę kopułę szczytową. Wskutek zmiany nachylenia stoku, Maciek znikł mi z oczu, pozostał natomiast ów irytujący koniec liny. Jeszcze jakiś czas uciekał przede mną, wreszcie zastygł w bezruchu. Domyśliłem się, że to wierzchołek. Zdo byłem się na ostatni wysięk i po minucie zwa liłem się na płaskim kopulastym szczycie.

Gdyśmy odpoczęli, Maciek mimo chmurnej pogody zabrał się do zdjęć. Kazał mi pozować, a ja uważałem na szczeliny którymi wierzchołek był połupany. W kierunku południowym grań wginała się długim siodłem, za którym wznosił się drugi, niewiele niższy wierzchołek o kształcie podciętej piramidki.

Na lodowym szczycie kopczyka nie było z czego ustawić, więc biało-czerwony porpczyk wetknęliśmy nieco poniżej w skałki. Rozpoczęliśmy zejście — tą samą drogą, którą weszliśmy na górę. Kalejdoskop: progi skalne — pola lodowe — penitenty — kuluar — odwijał się teraz jak film do tyłu, z tą różnicą, że nieporównanie szybciej. Zmierzchało się, gdy dotarliśmy do namiotów opustoszałej bazy wysuniętej i zwa liśmy między „bębny” ciężkie plecaki. Nasza przygoda z Langutą była skończona.



Prace topograficzne III PWH. Afgan S. Bharomi przy teodolicie. W głębi Kuh-e Nadir Szach (7125 m).

Fot. Andrzej Wilczkowski

Żeby tu jeszcze wrócić...

Kuh-e Auar był czwartym zdobytym przez wyprawę szczytem. Jak na tak późną porę roku stanowiło to wynik dla nas samych zaskakujący. W otoczeniu doliny pozostał już jeden tylko wybitny wierzchołek, za to jakże godny ataku! Był nim Szachaur, wspinały siedmiotysięcznik, podobny do himalajskich olbrzymów, o monumentalnej sylwetce i dwóch potężnych, zjeżonych serakami filarach. Od początku wydawał nam się niedostępny z naszej doliny, co potwierdziły przeprowadzone rekonesanse. Mimo wszystko postanowiliśmy spróbować i zaatakować go zespołem zgranym w zimie 1963 roku na filarze Les Droites w Alpach (Gryczyński, Warteresiewicz i ja, a zamiast Stryczyńskiego — Bartzak). Wybraliśmy jedyną w tej sytuacji koncepcję taktyczną: szybki atak, obliczony na co najwyżej 6 dni. Jeśli ostatnie śniegi zdążyły się związać z lodowym podłożem, były szanse powodzenia.

I znowu plecaki o wadze 20 kilogramów, długi męczący lodowiec i słońce, które mimo początku października nie straciło nic ze swej dokuczliwej mocy. Filar mamy przed sobą podczas całego podejścia. Różne myśli przelatują przez głowę: puści nas czy nie puści? Ileż to razy w ciągu ostatnich ty-

godni przyglądałem mu się z różnych stron, z wyjątkiem jednej: z góry...

Tempo mamy wyśmienite. Jesteśmy doskonale zaaklimatyzowani i w pełni formy. O zadyszce, o wpływie rozrzedzonego powietrza — w ogóle nie ma mowy. Po dwóch godzinach mijamy miejsce „namiotu pod filarem”. Zatrzymujemy się jedynie, aby ugotować wodę z sokiem. I zaraz ruszamy dalej. Przechodzimy lodowiec opadający z północnej ściany Szachaura, malowniczo ozdobiony kolcami penitentów, następnie wspinamy się piekielnie kruchym kominem wyprowadzającym na grzbiet filara, poza pierwszy pionowy uskoc. Stąd zaczyna się już trudna wspinaczka. Posuwamy się w górę ściśle granią, omijając lodowe zerwy i skalne turnie — kruche i niebezpieczne. Ekspozycja jest miejscami znaczna i plecaki coraz bardziej przeszkadzają. O godzinie 18, po 8 godzinach drogi, rozbijamy biwak. Pokonana różnica wysokości jest niebagatelna: 1300 metrów! Biwak mamy pełen komfortu. Zabrałszy 2 namioty, śpiwory, kurtki, spodnie puchowe, materace... Do tego trzeba dodać, że miejsce jest wygodne i że otacza nas tutaj niesamowita sceneria hindukuska. Doła zerwy lodowe i skały, ściany o wyso-

kości przeszło 3000 m, bariery seraków o dziwnych kształtach i wymyślnej fakturze. Od gór płynie jakiś spokój, który udziela się i nam. Jest nam tu dobrze, chciałoby się nie ruszać stąd. Na dalszym planie widać szczyty Pasztunistanu, daleko na horyzoncie lodowa koronka Himalajów. Przez góry przesuwają się wolno wielkie pierzaste chmurzyska. Wyglądają niezwykle malowniczo w promieniach zachodzącego słońca, które barwi je na ciepłe pastelowe kolory...

Wieczorem zaczyna sypać śnieg. Opad jest tak intensywny, że po trzech godzinach warstwa świeżego puchu ma grubość 15 cm. Mimo to rano postanawiamy kontynuować wspinaczkę. Przed nami wyrasta 200-metrowa turnia lodowo-skalna. Teraz idziemy bardzo wolno. Jest dużo śniegu, niebezpiecznego lodu, no i ciągle groźna ekspozycja. Za wierzchołkiem turni teren jest już czysto lodowy. Najpierw zachęcająco łagodny, później staje dęba i przechodzi w barierę seraków. Wspinaczka jest bardzo interesująca. Bariera ma wysokość około 100 m, więc decydujemy się przejść ją bez zmiany stanowiska, na co pozwala nasza długa francuska lina. Przez cały czas trzeba rąbać stopnie i chwyt, a twarde naciekowy lód niechętnie daje się łupać. Jest już późno i spieszymy się bardzo. Po dużych jeszcze trudnościach lodowych i skalnych osiągamy miejsce biwakowe na wysokości 5700 m. Jest godzina 22. Ostatni odcinek pokonujemy przy świetle

księżycy, który jest właśnie w pełni. Góry znowu wyglądają inaczej. Na stanowiskach asekuracyjnych można im się przyglądać dowolnie. Zdają się być jeszcze bardziej groźne i niedostępne niż dniami, jeszcze bardziej strome i tajemnicze. Wiatr jest silny i mroźny. Na biwaku gotujemy do późna.

Rano zwijamy jeden namiot, w drugim zostaje Bartczak, który złałam czekał i uszkodził raki. Będzie tu na nas czekał. Po pół godzinie osiągamy w trójkę plateau pod polem seraków, które tyle razy z lękiem oglądaliśmy przez lornetkę. Najgorsze przypuszczenia się potwierdzają. 800-metrowa bariera seraków stojąca na naszej drodze, jest jakby wylana szkłem. Potężne bloki i turnie lodowe wyrastają ze szklanego podłoża. Stromizna bariery jest dużo większa, niż to można było ocenić z dołu. Jedno spojrzenie wystarcza, żeby ocenić sytuację: atak tędy jest możliwy, ale przez wielodniowe obleganie kopuły szczytowej, zakładanie obozów pośrednich i instalowanie setek metrów lin poręczowych. O szybkim przejściu nie może być mowy. Siedzimy przez godzinę i patrzymy na stok nad nami. Jesteśmy na wysokości 5800 m, do szczytu pozostaje jeszcze 1300 m. Odwrót jest nieunikniony.

Schodzimy dwa dni — na przemian idąc i zjeżdżając na linach. W bazie trwa już gorączkowe pakowanie. Żeby tak tu jeszcze kiedy wrócić!

Jerzy Michalski

Landlord

Około szóstej wieczorem stajemy przy glinianych chatach osiedla Langar. W tyle, w zamknięciu doliny tej samej nazwy, od razu sprostujemy pyszną piramidę lodową. Przypuszczalnie jest to ów siedmiotysięcznik, na polskim szkicu oznaczony słowem „Zwornik” (...).

Z jednej z chat nadchodzi chuda postać z wielkim krzywym nosem. Boso i w prastarej tadżyckiej czapce. Od masy piasku, który tutaj ciągle wiruje w powietrzu, twarz i nogi chłopca pokryte są grubą warstwą zrogowaciałej skóry.

„To *landlord*” — mówi tłumacz Smaray.

Wydaje nam się trochę podejrzanym typem, co wcale jednak nie przeszkadza mu być równie gościnnym, jak inni jego ziomkowie. Pyta skąd przybywamy i od razu wylicza wszystkie kraje, o których istnieniu słyszał. Szwajcarii oczywiście wśród nich nie ma. Smaray wyjaśnia mu więc, że przyby-

wamy skądś pomiędzy *Polandi* a *Czermani*... Gdzieś tam, na górach wysokich jak w Wachanie, wiodą *Swiss Saabs* swój spokojny żywot.

Landlord chce teraz wiedzieć, czy *Swiss*, podobnie jak *Czermani* — Niemcy, walczyli również przeciwko Anglikom, a jeśli tak, jakie przy tym ponieśli straty w zabitych. „*Czimego?*” — „Co on mówi?”

Jesteśmy porządnie zakłopotani. W odróżnieniu od *Czermani* nie możemy się poszczycić bohaterскими walkami przeciwko Anglikom. A tu, w odległym Wachanie, pamięć walk wyzwolenczych Afganistanu jest żywa w duszach ludu, i nawet w takiej dziurze jak Langar *Czermani* — Niemcy — są dla prostego górskiego Tadżyka pojęciem dalekiego sprzymierzeńca. Stwierdzamy to nie bez uczucia zazdrości...

Max Eiselin „*Wilder Hindukusch*”

Sprzęt i ekwipunek

Bogdan Mac

Zestaw wyposażenia sprzętowego III Polskiej Wyprawy w Hindukusz został przygotowany w oparciu o literaturę oraz listy sprzętowe i doświadczenia innych ekspedycji, zwłaszcza poprzednich polskich wypraw w Hindukusz. Dysponowaliśmy ekwipunkiem trojakiiego pochodzenia: wypożyczonym z magazynu ZG KW, stanowiącym własność uczestników i wykonanym specjalnie dla nas przez krajowe zakłady produkcyjne. Ogólnie biorąc, wyposażenie wyprawy było wystarczające i odpowiednio dobrane.

Namioty. Posiadaliśmy łącznie 15 namiotów oraz 2 dachy kuchenne typu „Vico”. Liczba ta pozwalała w pełni zabezpieczyć wszystkie prowadzone jednocześnie w różnych kierunkach akcje, bez potrzeby nagłego przerzucania sprzętu. Ewentualnie można było wziąć o 1 lub 2 namioty mniej. (Należy nadmienić, że przy wyprawach w Hindukusz trzeba przewidzieć 2 dodatkowe namioty dla przydzielonych żołnierzy i sportowców afgańskich).

Szwajcarskie namioty bazowe typu „Vico” dobrze spełniały swoje funkcje, zwłaszcza w warunkach atmosferycznych Hindukuszu. W innych górach mogłoby się okazać, że ich konstrukcja jest zbyt słaba a stateczność zbyt mała. W namiotach „Vico” mieszczą się wygodnie 3—4 osoby. Namiotów typu „Meade”, produkcji angielskiej i polskiej, miała wyprawa 11. Są one zasadniczo 2-osobowe. Spanie w trójkę, przy dużej ilości wyposażenia, nie jest wygodne. Namioty rozstawia się sprawnie, używaliśmy ich zarówno w bazie, jak i w czasie całej akcji wysokogórskiej. Pewną niedogodność stanowi brak małej apsydy lub daszku do gotowania. Warto dodać, że namioty typu „Meade” produkcji Zakładów Sprzętu Sportowego w Legionowie w niczym nie ustępują oryginalnym angielskim. Namiot japoński, wykonany jako izotermiczny, jest mały i nadaje się właściwie tylko do najwyższych obozów. Mimo podwójnej ścianki silnie pokrywa się wewnątrz szronem (zbyt gęsta wewnętrzna tkanina). Do rozstawiania jest mniej wygodny niż typ omówiony poprzednio. Dachy kuchenne okazały się b. przydatne w bazie. Pod jednym urządzono kuchnię, pod drugim jadalnię — praktyczniejszą niż w namiocie, gdyż nie wymagającą zdejmowania butów przy wejściu.

Ponieważ, jak wykazała praktyka, w warunkach panujących w Hindukuszu można

prowadzić szybkie akcje częściowo bez namiotów, na wyprawie przydałyby się płachty biwakowe, które zastępowaliśmy anorakami ortalionowymi.

Materace. Największym powodzeniem cieszyły się na wyprawie lekkie i wygodne materace typu „Junior”, najpraktyczniejsze do wyposażenia górnych obozów. Ich skrócona długość nie jest dużą przeszkodą, gdyż pod nogi można podłożyć linę lub plecak. Materace typu „Nabab” były przydatne w bazie, typ „Tandem” w ogóle nie zdawał egzaminu. Zabrane przez nas materace piankowe (8 sztuk) okazały się zbyt cienkie. Nie zapewniały odpowiedniej izolacji termicznej i wygodny spania. Były cięższe od „Juniorów”, a spakowane zajmowały dużo więcej miejsca. Mimo niezawodności były używane niechętnie. Ogólna liczba materaców (27, w tym 11 „Juniorów”) w normalnych warunkach byłaby zbyt duża, jednak ich zły stan techniczny powodował ciągłe braki, zwłaszcza w górnych obozach.

Sprzęt puchowy. Wyprawa dysponowała wypożyczonymi z magazynu ZG KW kompletami puchowymi (śpiwór, kurtka, spodnie puchowe, rękawice i butki) produkcji francuskiej firmy „Alpcan”, prototypowymi śpiworami ortalionowymi produkcji krajowej, wypełnionymi anilaną, wreszcie kurtkami i butkami puchowymi wyrobu L. Radonia z Krakowa, zabranymi przez uczestników. Francuskich śpiworów puchowych używano z reguły pojedynczo, śpiąc w kurtkach i spodniach puchowych. Śpiwory anilanowe w Hindukuszu okazały się mało przydatne — były mniej ciepłe, sztywniejsze i niezbyt wygodne do spania. W górach typu Hindukuszu najodpowiedniejsze byłyby śpiwory puchowe cieplejsze od pojedynczych francuskich, o pokryciu kombinowanym ortalion-batyst (lub tafta). Liczba zabranych śpiworów (13 kompletów) była wystarczająca.

Jeśli chodzi o kurtki puchowe, wadą francuskich jest brak kieszeni, zaś produkowane przez Radonia są trochę za krótkie, zwłaszcza na biwaki. Ich zaletą jest natomiast odporność na śnieg i mżawkę. Spodnie i butki puchowe były niezastąpione na biwakach (do wspinania spodni nie używano). Więcej walorów wykazywały butki wyrobu Radonia — wyższe, kryte ortalionem i zapinane z tyłu na zamek błyskawiczny. W obu wykonaniach przydałyby się spody z grubszego

materiału lub skóry, gdyż wkładanie butów przy chwilowym wychodzeniu z namiotu jest kłopotliwe. Rękawice puchowe nie miały na ogół zwolenników.

Obuwie. W górach używaliśmy butów wysokościowych produkcji krakowskiej spółdzielni „Gromada” oraz wspinaczkowych wibratów wyrobu Wałbrzyskiej Wytwórni Obuwia Sportowego. Buty wałbrzyskie są wygodne do chodzenia i wspinania w niższych partiach, nie nadają się natomiast jako zimowe. Skóra przemaka, poza tym jest zbyt miękka i ustępuje pod taśmami raków. Ustalając wyprawową listę sprzętu trzeba przewidzieć 2 pary wibratów na osobę, a niezależnie od tego także dla towarzyszących Afganów i tragarzy, jeśli się ich chce zatrudnić przy transporcie powyżej bazy głównej. W pełni przydatne okazały się buty wysokościowe, wykonane jako podwójne buty z filcu, wzmocnione skórą, na spodach wibratowych. Powyżej 5500 m używano ich wyłącznie, a w pewnych przypadkach już od poziomu bazy. Można się w nich dobrze wspiąć (do IV), dzięki nim mimo dużych mrozów nikt z członków wyprawy nie nabawił się odmrożeń. Model ten wymagałby jeszcze kilku drobnych poprawek, jak np. lepsze dopasowanie butków wewnętrznych, przesunięcie haków do sznurowania (cholewy były zbyt obszerne), pewnych zmian w wiązaniu długorzemiennym. Przydałby się również lepszy materiał na wierzchy, które trochę przemakały. Bardzo przydatne były w związku z tym ochraniacze z nieprzemakalnej tkaniny.

Odzież wiatrochronna. Prawie wszyscy uczestnicy używali ortalionowych anoraków produkcji Zakładów Odzieży Sportowej w Łodzi. Dobrze chroniły one przed wiatrem, mżawką i śniegiem. ortalion jest wprawdzie mniej odporny na uszkodzenia mechaniczne, jednakże jego znikoma waga w pełni kompensuje ten niedostatek. Spodnie wiatrowe, wyposażone z magazynu ZG KW, prawie nie były używane. Wykonane są one ze świetnej tkaniny, posiadają jednak zły krój i są zbyt obszerne. Stoptuty i rękawice ochronne z ortalionu przydawały się stosunkowo rzadko, a to ze względu na nieduże opady śnieżne w Hindukuszu, zwłaszcza w niższych rejonach.

Plecaki, nosilki. Wszyscy członkowie wyprawy wyposażeni byli w plecaki wspinaczkowe produkcji Spółdzielni Harcerskiej „Czuj-Czyn” w Łodzi. Wzorowane na modelach francuskich, były one bardzo dobre. Po dokonaniu pewnych drobnych zmian mogłyby stać się idealnymi plecakami wspinaczkowymi. Należałoby wzmocnić przyczepy pasów, dodać uchwyt do czekana i paski do raków, wreszcie usunąć boczne kieszenie na narty, w naszych warunkach raczej zby-

teczne. Czechosłowackie „horolezki” do akcji w górach wysokich są zbyt małe. Worry ładunkowe (mieliśmy 2) były potrzebne w czasie podróży i transportu bagażu. Nosilek (8 par) używali prawie wyłącznie tragarze, zwłaszcza przy przenoszeniu ładunków powyżej bazy.

Sprzęt wspinaczkowy. Na wyprawę zabraliśmy 280 m lin nylonowych (2 × 20 m, 4 × 40 m i 1 × 80 m) oraz 1140 m sznura sizalowego o średnicy 7 mm. Lin nylonowych używano do asekuracji, sznura sizalowego — na poręczówki i liny gospodarcze. Specyfika działalności wspinaczkowej na naszej wyprawie spowodowała, że przydawały się wszystkie długości. Na mrozie oraz w zetknięciu z lodem i śniegiem najlepiej zachowywały się liny francuskie i austriackie. Ogólna ilość lin nylonowych była zbyt duża — wystarczy 1 lina na zespół i ok. 40% rezerwy.

Za dużo było haków lodowych (37 sztuk), natomiast zestaw haków skalnych (26) okazał się nieodpowiedni (mała różnorodność, zła jakość). W lodzie w Hindukuszu dobrze pracowały „śruby lodowe” — zarówno austriackie, jak i polskie. Karabinki „Allaine” (15 sztuk) były z uwagi na swą lekkość bezkonkurencyjne; ciężkich (12) wyraźnie unikano. Ponieważ używaliśmy „śrub”, młotki lodowe (11) znajdowały zastosowanie nader rzadko, prawie niepotrzebne okazały się też łopatki lawinowe (7 sztuk). Do znakowania przejść wśród szczelin lodowca używaliśmy 100 chorągiewek ciemnoczerwonych. Korzystniejsze byłoby połączenie koloru jasnoczerwonego z żółtym.

Palniki, paliwo. Wyprawa dysponowała jednym tylko rodzajem paliwa — butanem. Mieliśmy go w dużych butlach stalowych o pojemności 20 kg oraz w małych ładunkach produkcji francuskiej. Duże butle były używane w bazie i podczas podróży. Ze względu na skrócony czas działalności z 4 posiadanych zbyło ok. 10 kg, nie zużyliśmy również kilkunastu z ogółem 216 ładunków małych. Dwupalnikowa kuchenka produkcji polskiej była bardzo przydatna w bazie i bez przerwy jej używano. Złe natomiast funkcjonowały polskie kuchenki jednopalnikowe, przewidziane dla bazy wysuniętej i dolnego obozu. Nie korzystaliśmy z nich w ogóle. Francuskie palniki „Bleuet” działały niezawodnie w czasie wszystkich akcji górskich. Łatwa obsługa i możliwość szybkiej wymiany palnika są ich głównymi atutami. Przy gotowaniu poza obrębem namiotu, zwłaszcza na dużych wysokościach, przydatne byłoby blaszane osłonki, które konstruowano zastępczo z dużych puszek po konserwach. Butanową lampą produkcji francuskiej oświetliliśmy jeden z namiotów w bazie. Poza tym do oświetlania używane były świece (150

sztuk), a w terenie latarki kieszonkowe lub (najczęściej) czołowe. Płaskie baterie 4,5 V wykonana specjalnie dla naszej wyprawy poznańska „Centra”.

Przyrządy, radiotelefony. Wyprawa była wyposażona w szereg precyzyjnych przyrządów pomiarowych, niezbędnych do wykonania jej zadań naukowych. Były wśród nich wysokościomierze (kieszonkowe i lotnicze), hygrotermograf, termometry, hygrometr włosowy, teodolit, kompas ręczny i busolowe, pochyłościomierz itp. Część z nich ucierpiała w trakcie podróży. Zdjęcia filmowe wykonywano głównie kamerą Admiralelektra.

Wyprawa dysponowała też 4 radiotelefonami UKF typu R-116 z bateriami BAŻ-18. Można było z ich pomocą nawiązać dobrą łączność na odległość do 6 km, pod warunkiem braku większych przeszkód terenowych. Używaliśmy ich do porozumiewania się bazy z dolnymi obozami. Powyżej obozu K 3 aparatów nie wynoszono, a to ze względu na ich duży ciężar (powyżej 4 kg). Radiotelefony są na wyprawie bardzo przydatne i mogą oszczędzić wielu kłopotów, nie mówiąc już o pomocy w sytuacjach awaryjnych. Idealne byłyby modele o zasięgu 10 km i wadze ok. 1 kg (np. produkcji japońskiej). Użycie radiotelefonów było zupełnym *novum* w praktyce polskich wypraw egzotycznych.

Pojemniki transportowe. Cały sprzęt i żywność wyprawy (łącznie waga ok. 4 ton) załadowane były w 99 bębnow i 1 skrzynię drewnianą. W skrzyni znalazły pomieszczenie nosilki, nie mieszczące się nigdzie indziej. Większość pojemników wykonana była z klejonej tektury. Drewniane wieka zamykały specjalne stalowe obejmy. Ten typ okazał się stosunkowo wytrzymały. Natomiast 4 bębny ze sklejki, użyte do transportu butli z butanem (odpowiadały im rozmiarem) były zbyt słabe i dla zabezpieczenia przed rozpadnięciem się wymagały dokładnego owiązania linami. Bębnowo stalowych użyto wyłącznie jako pojemników na rzeczy osobiste. B. wytrzymałe, o specjalnym, łatwym w obsłudze zamknięciu, nadawały się do tego celu doskonale. Wszystkie pojemniki pomalowano farbą nitro.

Ogólnie można powiedzieć, iż bębny jako pojemniki ładunkowe pełnią swą rolę znakomicie. Ich cylindryczny kształt zapewnia najkorzystniejszy stosunek wagi opakowania do wagi netto, przy jednoczesnym względnym bezpieczeństwie transportu. Pewne trudności występują jedynie wtedy, gdy trzeba w ekonomiczny sposób załadować samochód. Korzystne jest wówczas, by wszystkie bębny posiadały jednakowe wymiary. Tylko kilka powinno być nieznormalizowanych, by mieściły się w nich maszty, czekany itp.

Uwagi o żywności

Przy projektowaniu zaopatrzenia żywnościowego III Polskiej Wyprawy w Hindukusz opieraliśmy się początkowo przede wszystkim na zestawieniach udostępnionych nam przez kierownictwo II PWH z roku 1962. Zestawienia te były korygowane na podstawie osobistych uwag uczestników owej wyprawy. Po ukazaniu się „Taternika” 2—4/1962, zawierającego sprawozdania z I Polskiej Wyprawy w Hindukusz, nasze spisy żywnościowe zostały porównane z wykazami zamieszczonymi przy artykule Z. Krysy. Porównanie to, a także lektura uwag na s. 146—147, spowodowały rewizję naszych zapasów i uzupełnienie ich w kierunku maksymalnego urozmaicenia.

Zgodnie z założeniami technicznymi wyprawy, żywność obliczono na 100 dni, uwzględniając przy tym tłumacza lub oficera afgańskiego oraz 10-procentową rezerwę. Z powodu przejściowych braków pewnych asortymentów na rynku, przy zakupie żywności napotykalśmy na dość duże trudności. Dotyczy to w pierwszym rzędzie zup błyskawicznych oraz dżemów, marmolad i soków w puszkach. Niektóre asortymenty zostały wykonane specjalnie dla nas, nabyliśmy także pewną ilość żywności produkowanej dla nietypowych odbiorców i nie znajdującej się w wolnej sprzedaży.

Przystępując do pakowania żywności, zgodnie z uwagami uczestników II PWH przyjęliśmy zasadę, że porcjowanie jest celowe tylko w odniesieniu do żywności przewidzianej na podróż. W naszym przypadku chodziło także o to, że w momencie wyjazdu nie znaliśmy jeszcze rejonu działania (Hindukusz Wschodni czy Centralny).

Pozostałą żywność podzieliliśmy na bazową, działalnościową i szturmową. Została ona zapakowana do bębnow luzem, z zaznaczeniem na każdym, jaki rodzaj zawiera.

W Afganistanie, od wyjazdu z Kabulu aż do czasu odebrania bagażu w Szirchan Bandar, żyliśmy się z konieczności w miejscowych „czajchanach”. Kuchnia afgańska jest bardzo monotonna — herbata oraz sakramentalne „pallao i czallao” (ryż z baraniną) — jednakże raczej smaczna. Toteż wszyscy żywności w „czajchanach” chętnie. W drodze powrotnej, mimo posiadania znacznego jeszcze wyboru konserw krajowych, wszyscy spożywali posiłki w „czajchanach”, kupowali też owoce i jarzyny, bo konserwy, mimo ich różnorodności, dawno nam się przyjadły.

Zupy. Z zupami błyskawicznymi był kłopot. Mielśmy tylko grochową, mięsna i z zielonego groszku. Barszcz czerwony, tak polecany przez poprzednie wyprawy, został wycofany w tym czasie z produkcji. Sytuację ratowała znaczna ilość różnych zup zwykłych.

Konserwy mięsne. Wszystkie okazały się bardzo dobre, niektóre tylko były w zbyt dużych opakowaniach. Np. szynkę w puszkach 1 lb odradzano nam jako szybko psującą się, zamiast niej mielśmy do dyspozycji puszkę 3 lbs. Najszybciej psuły się: poledwica 3 lbs i szynka 3 lbs. Za najlepsze uznaliśmy „luncheon-meat” (0,31 kg) i baraninę (0,34 kg), którą zabraliśmy z myślą o Afganach, a jedli ją ze smakiem wszyscy uczestnicy, zwłaszcza jako dodatek do zup. To-

warzysząc wyprawie Afganowie żywili się natomiast tym samym, co i my. Jeśli chodzi o wędliny, krakowska sucha i salami uległy szybko wysuszeniu i nie cieszyły się większym powodzeniem.

Konserwy warzywno-mięsne. Zgodnie z uwagami poprzedników, na ich różnorodność położyliśmy wyjątkowy nacisk. Wyprodukowane zostały dla nas przez Łódzką Wytwórnę Środków Odżywczych w puszkach metalowych i specjalnie starannie sprawdzone pod względem jakości. Mieliśmy bigos i gołąbki (3 kg) przeznaczone do bazy, klopsiki w sosie pomidorowym, groch z mięsem, cielecinę z pieczarkami, stek z pieczarkami, kiełbasę z fasolą i kiełbasę z kapustą (wszystkie w puszkach 0.425 kg). Najchętniej jedzono stek i cielecinę z pieczarkami, klopsiki i groch z mięsem. Na większych wysokościach z konserw tych przyrządzaliśmy zupy, gdyż po zwykłym podgrzaniu były gorzej przyswajalne, a na skutek znacznego odwodnienia organizmów lepiej smakowały w dużej ilości płynu. Żywność ta odznaczała się naprawdę wysoką jakością, ani jedna puszka nie uległa zepsuciu.

Produkty nabiałowe. Konserwowe sery topione i masło otrzymaliśmy z Zakładu Serów Topionych w Chorzowie. Były bardzo smaczne i trwałe, choć sery może nieco za suche. Mleko mieliśmy w puszkach — słodzone i niesłodzone; w tubach — z domieszką kawy i kakao. Pełnowartościowe było tylko to w puszkach.

Ryby. Jugosłowiańskie sardynki i tuńczyk, makrela w pomidorach, śledź w oleju, sałatka rybną i jugosłowiańska pasta sardelowa — wszystko bardzo chętnie spożywane.

Dżemy, soki i koncentraty. Z dżemów mieliśmy tylko śliwkowy, ananasowy i 1 puszkę truskawkowego (3 kg) — wybór był stanowczo za mały. Dobrze natomiast zapatrzyliśmy się w soki: chiński pomarańczowy skoncentrowany, rumuński pomidorowy i krajowe witaminizowane — jabłkowy, malinowy i borówkowy. Te ostatnie, produkcji cieszyńskich zakładów „Las”, były bardzo dobre i orzeźwiające. Ponadto mieliśmy syrop z dzikiej róży i skoncentrowany sok żurawinowy, ciesząc się wielkim powodzeniem.

Ślodycze. Większość zapasów przygotowała specjalnie dla nas łódzka „Optima”. Cukierki witaminizowane witaminą C, 5 rodzajów różnych cukierków owocowych, cukierki dla szalup ratunkowych, gaszące pragnienie — wszystkie bardzo chętnie jedzone przez cały czas. Poznańska „Goplana” dostarczyła nam czekoladę z witaminą B, która jednak częściowo nie wytrzymała transportu. Tabliczki były zapakowane w papier i włożone do zalutowanych puszek. Wysoka temperatura spowodowała stopnienie się zawartości i posklejanie z papierem, który potem trudno było odzielić.

Pieczywo. W Katedrze Technologii Zbóż WSR w Poznaniu wypieczono dla nas według recepty prof. dra S. Jankowskiego chleb (w puszkach) i suchary. Chleb był znakomity i bardzo chętnie jedzony, to też zapas okazał się zbyt mały. Suchary natomiast, też wysokiej jakości, nie miały tak wielkiego popytu.

*

Na zakończenie chciałbym dodać, że przy układaniu planów żywności nie można sugerować się zbytnio tym, co smakowało innym, należy raczej zabierać wszystkiego po trochu, kierując się bardziej wyczuciem. Tak np. poznańscy uczestnicy II PWH mówili nam o wielkim powodzeniu kawy „Marago”, której zabrali za mało. My wzięliśmy jej 4 kg. Było to mniej, niżby należało wziąć opierając się na ich danych. Ilość ta okazała się mimo to za duża, gdyż kawa znalazła tylko 3 zwolenników, i to wyłącznie w bazie. To samo dotyczy kilku innych pozycji, jak suche wędliny, herbatniki czy budynie. Z kolei inne wyroby, uznane przez naszych poprzedników za nietraktacyjne, u nas miały duże powodzenie.

Bardzo pożądane są w wyprawowym menu wszelkie ostre przyprawy, jak np. ogórkii konserwowe lub śliwki w occie. Obserwowaliśmy duże łaknienie takich pokarmów. Dobrze jest także zabrać prodiż lub piekarnik przystosowany do ogrzewania na kuchence gazowej. Upieczenie ciasta lub babki po kilku tygodniach pobytu w górach stanowi wspaniałą odmianę w codziennym konserwowym pożywieniu.

Tadeusz Bartczak

Mówi lekarz wyprawy

Przy organizowaniu wypraw wysokogórskich rzeczą bardzo ważną jest odpowiedni dobór uczestników oraz racjonalne zabezpieczenie medyczne całego przedsięwzięcia. Kandydatów do udziału w wyprawie należy rekrutować spośród ludzi posiadających jak największe doświadczenie taternicze i alpinistyczne oraz dysponujących wyjątkowo korzystnymi warunkami fizycznymi. Dokonując selekcji, trzeba wykluczyć osoby z chorobami organicznymi, oraz tymi schorzeniami czynnościowymi, które mogą się ujawnić w specyficznych warunkach działania wyprawy (np. czynnościowe schorzenia naczyń wieńcowych serca). Ogromne znaczenie ma również stan psychiczny uczestnika — jego umiejętność współpracy w grupie, opanowanie, zrównoważenie, szybka orientacja, zdolność radzenia sobie w różnych okolicznościach.

Aby uzyskać faktyczny obraz stanu zdrowia i przydatności psychicznej kandydata, nie można się ograniczyć do stereotypowego badania lekarskiego. Wszyscy uczestnicy III PWH przeszli przed wyprawą następujące badania dodatkowe: OB, badanie moczu, morfologia krwi, ilość płytek, prześwietlenie klatki piersiowej, zdjęcia zatok przynosowych i zębów, czas krwawienia i krzepnięcia krwi, badania elektrokardiologiczne serca, wreszcie badania grup krwi, umożliwiające wymienne jej przetwarzanie między poszczególnymi osobami. Następnie wykonano badania specjalistyczne: laryngologiczne ze szczególnym uwzględnieniem narządu równowagi i słuchu, okulistyczne z badaniem dna oka, i stomatologiczne z przeprowadzeniem sanacji jamy ustnej. Z kolei wszyscy uczestnicy przeszli specjalne badanie lekarskie w Wojewódzkiej Po-

radni Sportowej. Przed wyprawą uczestnicy muszą obowiązkowo poddać się standardowym szczepieniom ochronnym oraz dodatkowym, w zależności od specyfiki regionu działania wyprawy.

Ze względu na wynikającą z taktyki konieczność wyodrębniania w akcji mniejszych grup i zespołów, wszyscy uczestnicy zostali przeszkoleni w udzielaniu pierwszej pomocy, w stosowaniu podstawowych leków, znali też swoje grupy krwi i wiedzieli kto komu może oddać krew w wypadkach tego wymagających.

Wybrani kandydaci powinni co najmniej na rok przed wyprawą rozpocząć systematyczny trening dla uzyskania możliwie najlepszej kondycji fizycznej. Z uczestników III PWH 6 osób miało doświadczenie alpejskie, z tego trzy osoby przebywały w Alpach na 3 miesiące przed wyprawą. W marcu 1962 — 6 osób przebywało na obozie przygotowawczym w Dolinie Kaczej w Tatrach. Wszyscy uczestnicy uprawiali treningi gimnastyczne i przeszli kurs jazdy konnej, co znacznie ułatwiło zniesienie trudów podróży w końcowej fazie dotarcia do gór.

Słabą stroną większości wypraw są niezwykle męczące i absorbujące przygotowania, obciążające uczestników na długo przed wyruszeniem z kraju. Trzeba pokonać liczne trudności aprowizacyjne, sprzętowe, finansowe, załatwiać formalności, odpowiednio zapakować cały bagaż i przygotować go do skomplikowanego transportu. Trwa to kilka miesięcy i doprowadza do tego, że uczestnicy wyjeżdżają przepracowani fizycznie i zmęczeni psychicznie pośpiechem oraz nawałem piętujących się kłopotów. W konsekwencji powoduje to wytrącenie z treningu przedwyprawowego wtedy właśnie, kiedy jest on najbardziej potrzebny (uczestnicy III PWH przerwali treningi na 2 — 3 miesiące przed wyjazdem z kraju).

Bardzo ważne dla przebiegu całej wyprawy jest uwzględnienie w jej składzie fachowego pracownika medycznego, najlepiej lekarza-alpinisty, przeszkolonego w zakresie małej chirurgii, chorób wewnętrznych i zakaźnych. Jest on odpowiedzialny za pełne zabezpieczenie medyczne podczas przygotowań i w trakcie trwania wyprawy.

Planując wyposażenie wyprawy w leki i sprzęt medyczny, trzeba brać pod uwagę jej przymusową samowystarczalność w tej dziedzinie ze względu na oddalenie od ośrodków medycznych, często zresztą będących na bardzo niskim poziomie. Asortyment leków i narzędzi wydaje się zazwyczaj organizatorom zbyt szeroko pomyślany. Biorąc jednak pod uwagę możliwość zaistnienia trudnych do przewidzenia wypadków i sytuacji oraz konieczność liczenia tyl-



Baza grupy krakowskiej II PWH (4350 m) nad jeziorkiem w dolinie Urgend-e Bala. W głębi Kuh-e Tez (7015 m) i Kuh-e Szajoz (6856 m).

Fot. Marian Bała

ko na własne siły, dochodzi się do wniosku, że ograniczanie ilości materiałów medycznych nie jest słuszne, zwłaszcza, że w grę wchodzi również zabezpieczenie tragarzy i okolicznej ludności.

Asortyment leków powinien obejmować antybiotyki, środki nasercowe, przeciwbólowe, przeciwgorączkowe, przeciwmalaryczne, uspokajające i nasenne, przeciwbiegunkowe, rozkurczowe, przeciwkrwotoczne, przeciwwymiotowe, maści, czopki przeciwhemoroidalne, witaminy, płyny krwiozastępcze z jałowymi zestawami do przetaczania, leki przeciw odmrożeniom, środki do odkażania wody. Materiał opatrunkowy winien obejmować opaski gazowe i elastyczne, gazę, watę, opatrunki indywidualne, gipsowe i szyny. Konieczne są również narzędzia chirurgiczne ze sterylnym materiałem operacyjnym. Do sterylizacji narzędzi w wa-

runkach zmniejszonego ciśnienia niezbędny jest tzw. szybkozwar (garnek do gotowania pod ciśnieniem). Równie ważną rzeczą jest odpowiednie opakowanie całego materiału dla uchronienia go od zniszczeń podczas transportu. W trakcie przygotowań do III PWH opakowania szklane zastępowano, jeśli to było możliwe, plastikowymi, zaś materiał opatrunkowy obciążano folią polietylenową. Najwięcej kłopotu sprawiały leki w ampułkach, które trzeba było owijać każdą z osobną ligniną lub watą. Trud ten jednak opłacił się, gdyż cały materiał dotarł na miejsce w idealnym stanie.

Z chwilą rozpoczęcia akcji górskiej naczelnym problemem staje się aklimatyzacja. Dowiedziono, że wielokrotni uczestnicy wypraw wysokogórskich aklimatyzują się szybciej i lepiej. Aklimatyzacja winna być prowadzona systematycznie dla całego zespołu. Ze względu jednak na indywidualne różnice w przystosowywaniu się do wysokości, zachodzi nieraz konieczność odstępowania od tej reguły, polegająca na przedłużaniu czasu pobytu na odpowiednich wysokościach. Dla lekarza wyprawy aklimatyzacja jest prawdziwym problemem, gdyż od jej przebiegu może zależeć cała działalność wyczynowa. Spotyka się często zespoły dolegliwości, których na pierwszy rzut oka nie można wytłumaczyć, ani powiązać w logiczną całość. Dopiero post factum dochodzi się do wniosku, że wywołane one były nieprzystosowaniem się organizmu do odmiennych warunków bytowania na dużej wysokości.

Materiał obserwacyjny z III PWH jest dość bogaty. W czasie pobytu w Kabulu urządziliśmy wyprawę aklimatyzacyjną w góry Pagman na szczyt o wysokości przeszło 4000 m. U większości uczestników wystąpiły wtedy silne bóle głowy. W czasie

podróży przez Afganistan u uczestników występowały mniej lub więcej nasilone biegunki, związane z zaopatrywaniem się w miejscową żywność i wodę, którą odkażaliśmy, a owoce myliśmy w roztworze nadmanganianu potasu.

W okresie pobytu w dolinie Szachaur, podczas rekonesansów oraz pierwszych wejść szczytowych, występowały wśród uczestników następujące dolegliwości: bóle głowy (wszyscy), zawroty głowy (5 osób), nudności (5 osób), senność (3 osoby), katar nosa (3 osoby), osłabienie (8 osób), apatia (5 osób), krwawienie z nosa (4 osoby), przyspieszenie tętna (5 osób), bezsenność (7 osób), męczenie się na dużej wysokości (wszyscy, u jednego uczestnika szczególnie nasilone). Jest oczywiste, że większość powyższych dolegliwości można wytłumaczyć wpływem wysokości i związanym z nią mniejszym ciśnieniem atmosferycznym (niedotlenienie). Część z przytoczonych dolegliwości, to typowe objawy choroby wysokościowej, której nasilenie występowało w początkowym okresie aklimatyzacji. Od momentu założenia bazy (3807 m) do pierwszego wejścia na wysokość ponad 7000 m upłynął okres ok. 3 tygodni, wypełniony intensywną pracą podczas rekonesansów i zakładania obozów pośrednich. Trzeba stwierdzić, że mimo dużej ilości przytoczonych objawów chorobowych na początku akcji, w trakcie samych ataków szczytowych na ogół forma większości uczestników była bardzo dobra, części dobra i stale polepszająca się.

Kondycja fizyczna i forma psychiczna uczestników wyprawy w dużym stopniu decydują o jej sprawnym przebiegu i osiągnięciach. Również i z przytoczonych uwag wynika, jak bardzo opłaca się wysiłki włożone w staranne zabezpieczenie medyczne całego przedsięwzięcia.

Maciej Gryczyński

Polska penetracja Hindukuszu Wachańskiego

Zachodnia część Hindukuszu Wschodniego, penetrowana przez wyprawy polskie, mieści się pomiędzy 71°40' a 72°15' długości geograficznej wschodniej. Południowe stoki aż po grań główną włącznie objęte są arkuszami 37 P/SE i 42 D/NW mapy *Afghanistan & N. W. Frontier Province*, wydanej w skali 1:126 720 przez *Survey of India* (1931). Stoki północne były do ostatnich lat całkowicie nie znane, a ich orografię opracowali dopiero wyprawy polskie (1960—63).

Wyprawy te wyposażone były w teodolity, jednak zakres prac topograficznych podporządkowany był celom alpinistycznym i ograniczony w zasadzie do pomiarów kot poziomych, umożliwiających identyfikację wierzchołków oraz sporządzenie szkiców rejonów działania. Lekki, a więc i niezbyt dokładny sprzęt pomiarowy, jak również trudne warunki pracy są przyczyną, że pomiary kot pionowych i określone z ich pomocą wysokości mają charakter jedynie orientacyjny. Ze wszystkich stanowisk pomiarowych dowiązywano się do wierzchołków naniesionych na arkusze wyżej wymienionej mapy *Survey of India*, lub do szczytów, które zostały już wcześniej usytuowane w stosunku do czitralskiej części Hindukuszu. Za bazę opracowywanego szkicu orograficznego przyjęto oba arkusze te same mapy, wykonane na podstawie pomiarów zespołu płk. C. Levisa z lat 1928—1929 i będące, jak dotąd, najrzetelniejszym obrazem kartograficznym najwyższej partii Hindukuszu Wschodniego (por. B. Chwaściński, „Taternik” 2-4/62 s. 63-65 i 167).

*

I Polska Wyprawa (1960, kierownik B. Chwaściński) działała w dolinie walnej Kazi Deh (Qazi Deh). W okresie rekonesansów dokonano też zwiadu w dolinie Warg (Wark), przy czym jedna z grup osiągnęła przełęcz ok. 5200 m w grani od strony doliny Kiszmi Chan (Kishmikhán). Z przełęczy tej otwiera się widok na wierzchołek Kiszmi Chan (Kishmikhán, 7177 m), utożsamiony wówczas z Noszakiem (Noshaq), następnie zaś — na podstawie „Sputnik Alpinista” s. 68 i 69 — z Sad Isztrag (Sad Ishttrag). Druga grupa przeszła z doliny Warg do doliny Kazi Deh przez przełęcz 4170 m, osiągając przy okazji kopę 4469 m. Widok z tego wzniesienia rozwiął mit „naessowskiego

olbrzyma” (por. „Taternik” 2-4/62 s. 70). W okresie działalności zasadniczej wyprawa dokonała wejścia na Noszak (Noshaq), zdobyła Asp-e Safed (6450 m), Chorpusht-e Jachi (Khorpusht-e Yakhi, 5698 m), Rach-e Daros (Rakh-e Daros 5695 m) oraz przeprowadziła zaawansowaną próbę zdobycia Gunbaz-e Safed (ok. 6800 m). W dalszej kolejności zbadano środkowe partie bocznej doliny Mandaras. W czasie wyprawy zostały założone 4 stanowiska teodolitowe, wykonano też szereg pomiarów magnetycznych.

Przy opracowywaniu tych materiałów stwierdziliśmy błąd na mapach *Survey of India* w obszarze Noszak — Istor-o Nal. Dolina Kazi Deh (Qazi Deh) nie sięga, jak podaje mapa, do grzbietu między wierzchołkami 7291 m i 6999 m, lecz zakończona jest granią, którą Noszak (Noshaq) wysyła do szczytu Asp-e Safed (6450 m). Między tą granią a wzmiankowanym wyżej grzbietem znajduje się spora dolina wypełniona lodem, stanowiącym północny dopływ lodowca Tiricz (Tirich). Stwierdzenie to zmienia dotychczasowe wyobrażenia o przebiegu głównej grani Hindukuszu oraz zasięgu granicy między Afganistanem i Pakistanem.

Na podstawie pomiarów I Polskiej Wyprawy S. Biel i J. Wala wykonali szkic doliny Kazi Deh (Qazi Deh), opatrzony numerem 1 i obejmujący obszar ok. 700 km². Szkic ten oraz przekopiowana mapa *Survey of India* służyły następnym wyprawom (I PWH mapy *Survey of India* nie miała i korzystała tylko z mapy *Asia AMS 1301*, wydanej w skali 1:1 000 000 w r. 1959 — zob. „Taternik” 2-4/62 s. 169).

Grupa poznańska II Polskiej Wyprawy w Hindukusz (kierownik S. Zierhoffer) eksplorowała wyłącznie otoczenie doliny Mandaras. W czasie akcji rekonesansowej dokonano pierwszych wejść na szczyty M 5 (ok. 6000 m), M 3 (ok. 6100 m), M 4a (6274 m), osiągnięto przełęcz M 9/10, wreszcie przez przełęcz M 3/4 opuszczono się na stronę doliny Szachaur (Shakhaur). Po zdobyciu głównego celu grupy — szczytu M 4, oznaczonego kotą 7125 m (jego rzeczywistą wysokość szacują na ok. 7000 m) i nazwanego Kuh-e Nadir Szach (Kuh-e Nadir Shah), dokonano wejścia na Kuh-e Mandaras (6631 m). Prace topograficzne prowadzone



Acher Cziob (7020 m) — „Ostatni Tęgi”, najdalej na wschód wysunięty siedmiotysięcznik Hindukuszu, do lata 1965 nie zdobyty.
Fot. Maciej Baranowski

przez R. W. Schramma i J. Mitkiewicza przyniosły opracowanie szkicu doliny Mandaras.

Zasięg penetracji grupy krakowskiej (kierownik S. Biel) jest znacznie większy. Z osiedla Szachaur (Shakhaur, Shkhaur) zwiedzono dolinę Langar (Langhar), dochodząc do wysokości 4500 m, oraz doliny Szachaur (Shakhaur), Lachsz (Lakhsh) i Urgend-e Payan. W dolinie Szachaur (Shakhaur) badano wschodnią kocioł z lodowcem Huszk-Jachczal (Hushk-Yakhchal), podprowadzający pod przełęcz Kotgaz-An (nazwa według mapy *Survey of India*, niewątpliwie błędna, gdyż lodowiec Kotgaz znajduje się dalej na wschód), zwiedzono także zachodnie zakole do miejsca połączenia lodowców. Penetracja wiszącej doliny Lachsz (Lakhsh) połączona była z wejściem na turnię 5041 m. W grani między dolinami Szachaur (Shakhaur) i Langar (Langhar) zdobyto kopę Jursang (Yursang, 4332 m). W dolinie Urgend-e Payan osiągnięto czoło lodowca oraz kopę ok. 4600 m.

Działalność w dolinie Urgend-e Bala rozpoczęło wejście na turnię ok. 4100 m. Badając przyszlą drogę na Kuh-e Tez zdobyto wierzchołek ok. 5800 m, wznoszący się nad plateau Kraków, nazwany Aual (Aual, „Pierwszy”). Uwieńczony powodzeniem atak na Kuh-e Tez prowadzony był od przełęczy ok. 6400 m. Pod koniec działalności, w okresie likwidacji bazy, wyznaczono 2 rekonesanse kartograficzne z zadaniem połączenia dotychczas rozpoznanych obszarów (dolin Urgend i Szachaur) z terenem opracowanym po I Polskiej Wy-

prawie. Zbadano wówczas doliny Urup i Kiszmi Chan (Kishmikhhan). Połączone to było z wejściem na wzniesienie ok. 5100 m w grani między dolinami Urup i Urgend-e Payan, przejściem przełęczy Chali-Kotal („Pusta Przełęcz”, ok. 5000 m) oraz zdobyciem szczytu Kalat („Zamek”, 5376 m) w grzbiecie rozdzielającym doliny Kiszmi Chan (Kishmikhhan) i Warg.

Grupa krakowska założyła 4 stanowiska pomiarowe teodolitowe oraz szereg magnetycznych.

W trakcie penetracji stwierdzono, że w badanym obszarze wznoszą się 3 nie znane dotąd olbrzymy: Kiszmi Chan (Kishmikhhan), Languta-e Barfi i Langar (Langhar). Bliższe rozpoznanie szczytu, który zaintrygował I PWH, a w „Taterniku” 2-4/62 s. 98 określony był jako *bezimienny siedmiotysięcznik nad doliną Langar* wykazało, że szczyt ten dominuje nad doliną Kiszmi Chan (Kishmikhhan) i że jest przypuszczalnie najwyższym wzniesieniem znajdującym się w całości na terytorium Afganistanu. Wysokość szczytu oceniono na 7200 m i nadano mu nazwę Kiszmi Chan (Kishmikhhan). Warto dodać, że w czasie pobytu w Kabulu w r. 1962 udzieliliśmy o nim informacji wyprawie austriackiej kierowanej przez S. Kutschere, co — jak piszą uczestnicy — ułatwiło im bardzo zadanie i umożliwiło zrezygnowanie z działalności rozpoznawczej. Wysokości dwuwierzchołkowej Languta-e Barfi oraz szczytu Langar (Langhar) oceniono na ok. 7000 m.

W świetle naszych ustaleń najwyższym wzniesieniem Afganistanu jest zachodnie Ramię Noszaka (ok. 7350 m), przez które — a nie przez odległy o ok. 500 m wierzchołek główny — przebiega dział wodny.

*

Zebrany materiał, po opracowaniu w kraju przez zespół M. Bała, S. Biel i J. Wala, pozwolił na rozszerzenie szkicu orograficznego zachodniej części Hindukuszu Wschodniego dalej na wschód, aż po dolinę Urgend-e Bala włącznie. Jego powierzchnia wynosi ok. 1350 km². Zbadany rejon wypełniają — wymieniam od zachodu — następujące doliny walne: Kazi Deh (Qazi Deh) wraz z odgałęziającą się doliną Mandaras, Szachaur (Shakhaur), Langar (Langhar), Urgend-e Payan i Urgend-e Bala. Wszystkie one — poza doliną Mandaras — mają układ w przybliżeniu południkowy i wylotami skierowane są ku północy. Nazwy otrzyma-

ły od wiosek i osiedli leżących u wypływów ich potoków. Cały penetrowany obszar charakteryzują ostre alpejskie formy oraz silne zalodzenie. Wszystkie ważniejsze wierzchołki urywają się od strony Ab-e Pańdża (Ab-e Panja) kilometrowymi zerwaniami. Olbrzymie ściany skute lodem, poprzecinane barierami seraków, czynią z tej partii Hindukuszu groźną wysokogórską krainę. Szczyty i granie, stosunkowo łatwo osiągalne od zachodu i południa, ku wschodowi obrywają się do samych lodowców stromymi ścianami. I tak np. północna ściana Szachaura (Shakhaur) ma przeszło 3000 m wysokości, północna ściana Urgendu (Urgend) ok. 3000 m, północna ściana Acher Czioh (Akher Chioh) — ok. 1800 m. Za kierunkiem ew. ataków od strony zachodniej i południowej przemawia również charakter śniegu i lodu na zboczach, pokrytych w obrębie pół firnowych formami ablacynnymi, zastrugami lodowymi i penitentami, występującymi do wysokości ok. 6000 m. Na stokach północnych granica świeżego śniegu przebiega przynajmniej o 1000 m niżej.

*

W czerwcu 1963 r. zespół M. Bała, S. Biel i J. Wala opracował 3-arkuszowy szkic zachodniej części Hindukuszu Wschodniego w skali 1:126 720, przy czym część pakistańską przeniesiono z mapy *Survey of India* (1931). Arkusz obejmujący północne stoki opracowany został w 2 wersjach. Niestety pierwszy z nich, zawierający pewne błędy, został przesłany Ministerstwu Górnictwa w Kabul, które go udostępniło innym wyprawom. Wniosło to do nazewnictwa sporo zamieszania. Np. wschodni sąsiad Kuh-e Tez, nazwany przez nas Acher Czioh (Akher Chioh, 7020 m), co znaczy „Ostatni Tęgi”, zapisany fonetycznie w transkrypcji polskiej, trafił do literatury austriackiej, jako „Achez Czioh” (zob. A. Diemberger, „Alpinismus” 12/64 s. 35). Tak samo rozpowszechnił się błąd w zapisie nazwy Languta-e Barfi („Langusta Barfi”), występujący w licznych — także polskich — publikacjach.

W r. 1963 ukazały się niektóre arkusze mapy Afganistanu w skali 1:50 000, opracowane na podstawie zdjęć lotniczych wykonanych przez Służbę Kartograficzną ZSRR, na zlecenie rządu afgańskiego. Obejmują one wąski (ok. 5 km) pas przylegający od południa do Ab-e Pańdża (Ab-e Panja). Na podstawie arkuszy 224 B-IV i 224 tej ma-

py J. Wala skorygował pewne przesunięcia występujące w naszym szkicu, który powiększył do skali 1:100 000. W oparciu o ten ulepszony podkład opracowano granicową mapę obejmującą cały rejon penetracji Polaków.

Na mapę tę naniesiono nazwy wprowadzone przez wyprawę oraz te, które figurują na mapie Afganistanu 1:50 000. Ponieważ spowodowało to pewne rozbieżności w siatce nazewnicznej naszych kolejnych opracowań, warto tu podać zmiany. I tak wioski występujące na naszych szkicach jako Kazi Deh (Qazi Deh), Warg, Kizmi Chan (Kishmikhhan), Szachaur (Shakhaur), Langar (Langhar) i Warup, na wyżej wymienionej mapie Afganistanu figurują w piśmowni: Qazi Deh, Wark, Keśnikhan, Śkhawr, Langar, Urup. Ponieważ osiedla stanowią jednostki administracyjne, uznaliśmy nazwy z mapy oficjalnej za wiążące i w tej formie wprowadziliśmy je na nasze nowe szkice. Natomiast biorąc pod uwagę stosunkowo niewielkie różnice w transkrypcji, a także to, że nasze nazwy przyjęły się już w całej literaturze alpinistycznej, imiona pochodne pozostawiliśmy w dawnej formie (np. Shakhaur a nie Śkhawr, Kishmikhhan a nie

Urgend (7038 m) widziany z bazy wysuniętej II PWH w dolinie Urgend-e Bała. Szczyt ten zdobyli 4 IX 1965 Szwajcarzy.

Fot. Marian Bała



Kešnikhan itp.). Na podstawie mapy Afganistanu uległy również korekcie pewne wysokości w pasie objętym wydanymi arkuszami (np. Kalat, kopa 4469 m, Jursang).

Zaproponowane przez III Polską Wyprawę nazwy „Szczyt Broniewskiego” (dla M2) i „Lodowiec Grońskiego” nie zostały przyjęte przez administrację afgańską, która szczytowi M2 nadała miano Naser Chosrau Cuka (Naser Khosraw Tsuka), zaś lodowcowi opadającemu spod niego — Kiszmi Chan-Jachczal (Kesnikhan-Yakhchal). To drugie ustalenie wywołuje pewne zaburzenie w przyjętej przez nas systematyce, w myśl której lodowce przyjmują nazwy od dolin, którymi spływają. Inne nazwy wprowadzone przez III PWH uwzględniliśmy w proponowanej formie (z późniejszą korektą pisowni). Są to: Atraf-e Chali (Atraf-e Khalī) — „Pusta Okolica”, Huszk-Jachczal (Hushk-Yakhchal) — „Suchy Lodowiec”, Peshani-Jachczal (Peshani-Yakhchal) — „Przedni Lodowiec” oraz plateau Łódź.

Przy okazji korygowania naszego szkicu przeprowadzono też analizę schematycznej mapy doliny Szachaur (Shakaur) opracowanej przez M. Grochowskiego, B. Maca i A. Wilczkowskiego. Mapa ta, wykonana z niskich stanowisk w oparciu o założoną bazę, operująca z koniecznością (ukształtowanie doliny) kątami ostrymi, wykazuje

znaczne wydłużenie osi północ-południe. Z tego też względu określone przez III PWH wysokości należy traktować z dużą rezerwą (Kiszmi Chan 7177 m, Languta-e Barfi 7017 m, Kuh-e Auar 6440 m, M2 — 6588 m). Sprawdzając te dane w oparciu o własne pomiary otrzymywałem wyniki w przybliżeniu o 100 m różne.

Inne wyprawy niewiele wniosły do nazewnictwa tej części Hindukuszu Wschodniego. Ich propozycje przyjęliśmy, wprowadzając m. in. nazwy Kuh-e Szogordok (Kuh-e Shoghordok), Kuh-e Szajoz (Kuh-e Shayoz) i Kuh-e Spurditsch. Dwie pierwsze zostały utworzone od lodowców, trzecią zachowaliśmy w pierwotnej transkrypcji, nie znamy bowiem jej etymologii. Skorygowałem natomiast pomyłkę *Hindukusch-Kundfahrt der OeAV-HG Salzburg*, podając prawidłowe wysokości szczytów Kuh-e Szogordok (Kuh-e Shoghordok) — ok. 6700 m, oraz Kuh-e Szajoz (Kuh-e Shayoz) — 6856 m, co szczegółowo wyjaśniam w tym artykule na s. 29.

Na zakończenie chciałbym dodać, że kolejno udoskonalane wersje naszych szkicowych map są powielane w technice ozalidowej (światłokopie) i rozprowadzane w kilkudziesięciu egzemplarzach. Korzystały z nich chyba wszystkie operujące w tym rejonie wyprawy zagraniczne.

Geologia Hindukuszu

Naukowe materiały dotyczące geologii, glacji, geomorfologii i topografii Wschodniego Hindukuszu zgromadzone w czasie dotychczasowych polskich wypraw alpinistycznych i opracowane w kraju, ukazały się w specjalnie im poświęconym tomie „*Studia Geologica Polonica*”, który ukazał się w r. 1966. Fachowe to czasopismo wydawane jest w obcojęzycznej wersji angielskiej przez Zakład Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk. Dzięki życzliwemu stosunkowi redakcji, a przede wszystkim związanego z ruchem wysokogórskim sekretarza naukowego doc. dra inż. K. Birkenmajera, materiały te uzyskują atrakcyjną oprawę tekstową i graficzną — liczne fotografie, szkice i mapy z rejonów działalności dotychczasowych polskich wypraw w Hindukusz. W tomie tym ukazały się m. in. nie publikowane jeszcze opracowania Z. Rubinowskiego dotyczące budowy geologicznej i ukształtowania górnych pięter doliny Kazi Deh i rejonu Noszaka, doc. T. Wiesera —

dotyczące wyników badań petrograficznych skał zebranych przez I Polską Wyprawę w Hindukusz, A. Tokarskiego — dotyczące spostrzeżeń geologicznych z rejonu doliny Szachaur, oraz J. Wali — dotyczące topografii, geomorfologii i zlodowacenia Wschodniego Hindukuszu.

Redaktorem tego tomu będzie prof. dr Adam Tokarski, znany polski geolog, który przebywając w r. 1963 w Afganistanie wydatnie dopomógł III Polskiej Wyprawie w Hindukusz (Łódzkiej) w przygotowaniach na terenie Kabulu.

Warto również nadmienić, że kilka tomów „*Studia Geologica Polonica*” (wydanych w latach 1959-64) poświęcono wynikom polskich badań geologicznych prowadzonych na Spitzbergenie, i to zarówno w czasie przedwojennych wypraw organizowanych m. in. przez Klub Wysokogórski (prace S. Z. Różyckiego) jak i badaniom powojennym (prace K. Birkenmajera i S. Siedleckiego).

Zbigniew Rubinowski

Karta żałobna

Krzysztof Berbeka

Nie łatwo jest mi pisać o Krzysztofie, był mi przecież człowiekiem bliskim jak brat. Związani liną spędziliśmy razem w górach niejeden dzień i przeżyliśmy niejedną przygodę. W pamięci został mi przede wszystkim jego uśmiech — ten ujmujący uśmiech, z którym się nie rozstawał w najtrudniejszych momentach. Uśmiechał się, kiedy staliśmy w zimie przed zacięciem ponad polami śnieżnymi w północno-zachodniej ścianie Niżnich Rysów. Uśmiechał się w dwa dni później, na siodleku w północnej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu, gdzie siedzieliśmy chyba z godzinę pijąc kawę i wygrzewając się na słońcu.

I pamiętam Krzysztofa, gdy zmęczony stanął na szczycie Grossfiescherhornu po drugim przejściu drogi Reiss — Sollberger — Reist. W ścianie tej pokłóciliśmy się po raz pierwszy i ostatni, gdyż Krzysztof nie chciał odstąpić mi prowadzenia. A w kilka dni później biwakowaliśmy razem w jamie śnieżnej pod szczytem Eigeru, by nazajutrz wydobyć ze ściany Emilia Cortiego. Był tam wtedy i Riccardo Cassin, i Tom du Booy, i Lionel Terray. Ciągnąc stalową linkę stanowiliśmy jedną brać 6 narodowości, zjednoczoną wspólnym celem: niesienia pomocy ludziom będącym w potrzebie. Potem w zejściu ze szczytu zapamiętałem Krzysztofa, jak na polecenie Terraya przyciskał piętą wyłazący z lodu hak, na którym zaczepiona była linka z Cortim i ratownikami. Dwaj fachowcy w ratownictwie górskim — Terray i Berbeka — klęli i pieklili się przy tym haku na migi. A potem była noc w zachodniej flance, straszna nie przez burzę ze śniegiem i piorunami, ale przez to, że nie byliśmy w stanie pomóc konającemu z głodu i zimna Longhiemu. Dla Krzysztofa stanowiło to okrutne wyzwanie, którego w żaden sposób nie mógł spełnić...

*

Urodził się w Pińsku, 11 kwietnia 1930 r., zmarł 1 kwietnia 1964 r. w klinice chirurgicznej w Zurychu, w dwa tygodnie po wypadku na zachodniej flance Dent d'Hérens. Dla wszystkich polskich alpinistów wiadomość o jego śmierci była ciężkim ciosem. Dla przyjaciół i towarzyszy z GOPR — czymś po prostu nie do uwierzenia.

Był przecież Krzysztof uosobieniem żywotności, wytrzymałości na trudy, a w górach — przytomności umysłu i rozwagi. Nie



Fot. Czesław Momatiuk

odstępował go dobry humor i życzliwość dla innych. Mógł na niego liczyć każdy: towarzysze wspinaczek, ofiary wypadków, którym niósł pomoc, młodzi adepciaternictwa, których wprowadzał w ukochany przez siebie świat górski. Jego dorobek wspinaczkowy stawiał go w ścisłej czołówce alpinistów polskich. Nie przeszkadzało mu to być człowiekiem pełnym skromności i bezpośredniości, która cechowała jego sposób bycia i sprawiała, że wśród ludzi miał właściwie tylko przyjaciół.

Szkolę średnią ukończył w r. 1950, rozpoczęte studia geologiczne rychło przerwał, by móc całkowicie poświęcić się Tatrom. Góry poznawał systematycznie — od Gorców i innych pasm beskidzkich poczynając. Był przodownikiem GOT na całą Polskę, z jedynym wyjątkiem regionu świętokrzyskiego. Wspinaczki rozpoczął w r. 1951 od Kominów Strażyskich i jaskiń. W r. 1952 wstąpił do GOPR, w którym pracował do końca życia. Należał tu do najbardziej ofiarnych i aktywnych ratowników. Uczestniczył

w ok. 250 akcjach, z czego ok. 60 sam kierował. Na toboganie zwiózł ok. 200 ofiar wypadków narciarskich. Był odznaczony Złotą Odznaką GOPR, za śmiały nocny zjazd wschodnią ścianą Mnicha po J. Łackiego (20. IV 1960) otrzymał specjalne wyróżnienie.

Po Tatrach chodził dużo — w lecie i w zimie. Wykaz jego przejść mógłby być poręczającą lekturą dla początkujących taterników. W sezonie 1 lub 2 drogi wysokiej klasy, a potem dziesiątki dróg dość trudnych i trudnych, wyrabiających rutynę górską i pewność siebie w każdym terenie. Rok 1957 przyniósł mu pierwszy kontakt z Alpami. Dokonał tam wejść na Mönch przez Nollen (4105 m) i na Grossfiescherhorn (4048 m) północną ścianą drogą Reissa i towarzyszy (4 VIII — drugie przejście). W dniach 10 — 12 VIII uczestniczył w międzynarodowej akcji ratunkowej na Eigerze. W r. 1958 wyjechał na Kaukaz. Oprócz wejść na Szczyt Szczurowskiego (4269 m, 31 VII) i północno-zachodnią granią na Ach-Su (3827 m, 2 VIII) dokonał w 6-osobowym zespole VIII przejścia — po raz pierwszy w ciągu 1 dnia — północnej ściany UHu Tau Czany (4353 m, 8 VIII).

Zarówno dorobek alpinistyczny, jak i walory osobiste predestynowały Krzysztofa do uczestnictwa w wyprawach w góry najwyższe. Sprawdziło to, że już w r. 1959 powołany został do składu polskiej ekipy na Dhaulagiri, a w 1960 wyjechał jako uczestnik I Polskiej Wyprawy w Hindukusz. Brał tu udział w II wejściu na Noszak (7492 m, 27 VIII), będącym polskim rekordem wyso-

kości osiągniętej w górach. To jego zdyszany i zmęczony głos zdaje relację ze szczytu w filmie „Hindukusz” Leśniewicza i Sprudina. 5 IX wszedł wraz z S. Zierhofferem na pięcioletni Rach-e Deraz (5695 m), uczestniczył też w pierwszej penetracji doliny Mandaras (12 — 13 IX). Przywiózł również z Hindukuszu zestaw pięknych zdjęć, które były wystawiane w różnych miastach Polski.

Z dalekich gór zawsze wracał w Tatry, które mu były ze wszystkich najbliższe.

W lecie 1961 r. wyjechał ponownie w Kaukaz, znowu po wyniki na najwyższym sportowym poziomie. Oto one: 10 VIII — wejście północną granią na Bzeduch (4272 m), 13 VIII — trawersowanie grani Donguz Orun (4452 m), 17 VIII — drugie przejście lewej części północnej ściany Szczytu Szczurowskiego (4269 m) drogą Abałakowa — po raz pierwszy w ciągu jednego dnia, 22 VIII — szóstą przejście (pierwsze jednodniowe) północno-wschodniej ściany Szheldy Tau (4229 m) drogą przez tzw. „Rybkę”. W marcu 1964 r. sięgnął Krzysztof po jeszcze wyższy rekord: w 7-osobowym zespole dokonał pierwszego zimowego przejścia północnej ściany Dent d'Hérens (4171 m, 14 — 17 VIII) w Alpach Walijskich. Niestety, w drodze zejściowej uległ wypadkowi, po którym długo musiał czekać na pomoc. Potem była akcja ratunkowa, ponure dni w klinice w Zurychu, cierpienia i śmierć z daleka od bliskich. I wreszcie ostatni powrót pod Tatry — na nowy zakopiański cmentarz.

Jerzy Hajdukiewicz

Z piśmiennictwa

Fosco Maraini: Paropamiso. Wyd. Leonardo da Vinci, Bari 1963; s. 422. Cena 5000 lirów.

Alpinizm stanowi tylko jedną z namiętności Fosco Marainiego — uczestnika wypraw w Himalaje i partnera E. Comiciego i T. Piaza. Oprócz tego jest on przyrodnikiem, etnografem, orientalistą, filmowcem i — przede wszystkim — pisarzem, mającym w swoim dorobku kilka doskonałych książek podróżniczych, jak „Segreto Tibet” (1951), „Ore Giapponesi” (1957), „Gasherbrum IV” (1959) czy „L'Isola delle Pescatrici” (1961). W r. 1962 dołączył do nich nową imponującą pozycję: impresje z kierowanej przez siebie włoskiej wyprawy w piątą

co do wysokości masyw górski świata — Hindukusz, przez starożytnych kronikarzy epoki Aleksandra Wielkiego nazwany „Paropamisos”.

Droga wyprawy do wnętrza gór wiodła od południa, przez pełne egzotyki przestrzenie Pakistanu, nie więc dziwnego, że pokazną część dzieła wypełniają opisy podróży i przebywanych krajów, a zwłaszcza tajemniczych azjatyckich ludów. W góry wysokie wprowadza nas autor w części III książki (s. 219—268), na szczyt Saragar — w części IV (s. 271—356). Sam w operacji szczytowej nie uczestniczył, ale i tutaj nie zawodził go doświadczony pióro. Stosuje metodę kompilacji własnych przeżyć z relacjami i obfitymi cytacjami z diariuszy zdobywców szczytu, zwłaszcza P.

Consiglia. Wzbogaca to opis i sprawnie, że czytelnik śledzi rozwój akcji oczami kilku zaangażowanych w nią ludzi, z różnych stron jednocześnie. Piękne i wzruszające są zapiski S. Jovanego, który mimo wysiłków nie miał możliwości znaleźć się na szczycie.

Książka napisana jest z ogromną erudycją i kulturą, przy tym jednak z istic włoską żywością i spontaniczną swobodą. Tekstowi towarzyszy wspaniała oprawa ilustracyjna — 192 zdjęcia (w tym 29 kolorowych) na dużym poziomie artystycznym i zwłaszcza technicznym, czego niestety nie można powiedzieć o większości naszych zdjęć z Hindukuszu. Zgodnie z koncepcją książki i upodobaniami autora, w trzech czwartych są to zdjęcia etnogra-

ficzno-krajoznawcze, jednak i część górską zadowala najwybredniejsze wymagania (kapitałne sceny wspinaczkowe, zdjęcia lawin, piękne panoramy). Tom zamykają pożyteczne aneksy: artykuł o Czitralu, krótka historia alpinizmu w Hindukuszu Czitral-skim oraz dane dotyczące kalendarium i obsady wyprawy. Wklejona w tekst mapa obrazuje szczegółowo rejon działania „Spedizione CAI Roma” — Saragrar (7349 m) i obszary położone na północny wschód od niego. Dla czytelników nie znających języka włoskiego — a tych jest u nas większość — interesująca wiadomość: na ukończeniu jest angielska edycja „Paropamis”.

Jożef Nyka

Max Eiselin: Wilder Hindukusch. Orell Füssli Verlag, Zürich 1963; s. 185. 38 fotografii czarnobiałych i 5 barwnych.

Podtytuł brzmi „Erste Schweizerische Hindukusch-Expedition” (Pierwsza Szwajcarska Wyprawa w Hindukuszu). Autor stwierdza, że ma to być miła gawęda, co zresztą się zgadza z zawartością książki, która reprezentuje ten właśnie rodzaj literacki. Przyjemne to dla czytelnika, ale stwarza trudności sprawozdawcy: na podstawie nielicznych dat z trudem można zrekonstruować dokładny przebieg wyprawy. Ciekawy za to jest wykaz firm, które swymi artykułami (pro-wiant, medykamenty, wyposażenie) poparły ekspedycję.

Max Eiselin jest dobrym organizatorem. W środę popielcowa, która jest kulminacyjnym momentem lucerneńskiego karnawału, rozmawia ze swym austriackim przyjacielem, S. Jungmaierem, podejmując myśl o wyprawie w Hindukusz afgański. Dnia 16 IV zakłada Schweizerische Himalaya-Stiftung, którego naczelnym statutowym zadaniem jest popieranie i organizowanie szwajcarskich ekspedycji w egzotyk.

12 lipca opuszczają Lucernę dwoma samochodami „VW” czterej uczestnicy wyprawy: Simon Burkhardt (lat 29, lekarz), Hanspeter Ryf (lat 23, szef wyposażenia), Alois Strickler (lat 39, opiekun samochodów) i Victor Wyss (lat 46, filmowiec). 1 VIII docierają oni do Kabulu, gdzie 4 VIII lądują Max Eiselin (lat 31), kierownik wyprawy. Po 6 dniach uzyskuje on zezwolenie na działalność w rejonie Wachanu. 11 VIII wyprawa opuszcza Kabul, docierając 15 VIII do osiedla Langar. Po rekonesansach dolin Langar, Urgend-e Bala i Urgend, do eksploracji wybrano otoczenie tej drugiej. 20 VIII opuszczono osiedle Urgend w dolinie Ab-e

Pañdza i w półtora dnia założono z pomocą 75 tragarzy i zwierząt jucznych bazę główną na wysokości 4550 m. Dnia 26 VIII, zakładając jeden obóz, Strickler, Burkhardt i Wyss dokonują pierwszego wejścia na Szach Unar (6550 lub 6443 m), nazwany „Sirt-e Urgend-e Payan”. 30 VIII Burkhardt, Eiselin i Strickler zdobywają wprost z bazy Kuh-e Urup (ok. 5650 m.). Teraz następuje przeniesienie bazy (tragarze) pod Kuh-e Urgend (7036 m.). Po założeniu obozów I (5400 m) i II (600 m), szczyt ten zostaje zdobyty przez Burkhardta, Eiselina, Kyfa i Stricklera 4 IX, w trzy dni od nowej bazy głównej (4650 m.). 7 IX Strickler i Wyss powtarzają wejście, Wyss filmuje. 10 IX zwiniecie bazy i zejście do doliny Ab-e Pañdza. 11 IX start do drogi powrotnej (9000 km).

Eiselin określa tę wyprawę jako najpiękniejszą ze swych dotychczasowych. A jednak, gdy porównuje się jego dwie książki, tę z Dhaulagiri i ostatnią, nasuwają się pewne wyprawowe refleksje. Pierwsza pozycja jest pełna dynamizmu, walki z przeciwnościami, walki ciężkiej i, jakże często, dramatycznej. Przez to właśnie podwójny sukces na Dhaulagiri jest tak cenny. W „Wilder Hindukusch” mamy pogodną opowieść o górach, w których zawsze świeci słońce („aż do znudzenia” — jak się wymyka autorowi), a jedyny w ciągu trzech tygodni dzień pochmurny z 10-centymetrowym opadem śniegu przynosi ulgę i urozmaicenie. Tam 16-dniowy domarsz, tu — półtora dnia na grzbiecie kostropatego konika, wiedzionego za uzdę przez niedorożka. Tam 40—50 dni mozołu w zamieciach śnieżnych, tu szczyty padają systemem taśmowym, nawet bez pomocy Szerpów. W Himalajach codzienne torowanie szlaku w świeżo spadłym śniegu, w Hindukuszu raz przebita w łanie penitentów ścieżka sama prowadzi przez lodowiec. Obie bazy w górnych rejonach Urgend stały nad uroczymi jeziorkami. Nawet w obozie I (5400 m) przy ataku na Urgend natrafiono na wodę w zakłęśnięciach terenu, co zaoszczędziło kłopotu z topieniem śniegu. Urgend zdobyto z czterema ładunkami butanu i trzema pakietami „mety”.

Premiera barwnego filmu z wyprawy, 25 z kolei filmu górskiego Victora Wyssa, odbyła się w Lucernie 19 II 1964. Książka „Wilder Hindukusch” ukazała się na półkach księgarskich w grudniu 1963 r., w niespełna cztery miesiące od powrotu autora do Szwajcarii. Uwzględniając nawet różnice w trwaniu cyklu wydawniczego, nasuwa się pytanie, kiedy to polski czytelnik doczeka się książki o I Polskiej Wyprawie w Hindukuszu z 1960 roku, lub wspólnej pozycji przedstawiającej osiągnięcia trzech polskich wypraw, których propagowanie



Rys. Samuel Skiercki

jest naszym obowiązkiem. Na razie wyręcza nas w tym Eiselin, wielokrotnie podkreślając w swej książce rolę, jaką w eksploracji Hindukuszu odegrali Polacy, powołując się na polskie szkice topograficzne, pomiary i zdobycze*. Ciepłe słowa wypowieda też pod adresem J. Mostowskiego, który w stadium organizacji wyprawy służył Szwajcarom cennymi radami i sugestiami.

Jerzy Hajdukiewicz

* Gwoli ścisłości dodajmy, że nie brak w książce również mniej miłych uwag pod naszym adresem, jak np. ta o nieufnej podejrzliwości wietrzącego konkurencję polskiego „faceta” mił spitzer Nase und klebriger Frisur (S. 22), czy o złym wynagrodzeniu miejscowych tragarzy przez polskich „towarzyszy” (s. 96)... W tym drugim punkcie byłibyśmy wdzięczni M. Eiselinowi za ujawnienie posiadanych przez niego informacji. (Redakcja).

Aktualności w skrócie

CZŁONKOSTWO ZWYCZAJNE KW

Na ostatnim Walnym Zjeździe KW (20–21 II 1965) uchwalone zostały zmiany kwalifikacji koniecznych do uzyskania członkostwa zwyczajnego KW. Warunki są obecnie następujące: 3 sezony wspinaczkowe, w tym 1 poza Tatrami Polskimi; 20 dróg (łącznie 30 godzin) o trudnościach do III; 6 dróg „klubowych” (trzygodzinnych i co najmniej trudnych), w tym 3 poza Tatrami Polskimi; 10 godzin wspinaczki zimowej; zdanie egzaminu z topografii i asekuracji przed specjalną komisją.

Warunki przyjęcia na członka uczestnika pozostają bez zmian (ukończone 18 lat i 10 godzin wspinaczkę).

AIGUILLE VERTE

Tatrzańska zima 1964/65 przyniosła raczej mierne wyniki, natomiast bardzo pięknym osiągnięciem zamknął się nasz sezon alpejski. W dniach od 9–13 marca 1965 zespół w składzie Eugeniusz Chrobak, Maciej Gryczyński, Jerzy Michalski, Jan Surdel i Ryszard Szafirski dokonał I zimowego przejścia północnej ściany Aiguille Verte (4121 m) nadzwyczaj trudną drogą Contamine'a (por. Taternik 1–2/64, s. 24). Warunki w ścianie były b. trudne (silne zalodzenie, zły śnieg), a przejście poprowadzono przeważnie nowymi wariantami. Za drogę zejściową posłużył kulaer Whympera. Przejście należy do najlepszych dokonań całej alpejskiej zimy 1964/65 i było szeroko omawiane w prasie polskiej i zachodniej, duży reportaż E. Chrobaka zamieścił Magazyn Turystyczny „Światowid” (nr 22, 30 V 1965).

O NAS W „LA MONTAGNE”

W numerze 51 (luty 1965) pisma „La Montagne et Alpinisme” znalazło się omówienie polskiej działalności w Kaukazie w lecie 1964 r. (zob. Taternik 3–4/64, s. 83–88). Powściągliwy w opiniach organ CAF i GHM podkreśla ciężkie warunki atmosferyczne, w jakich dokonywano pierwszych przejść, które nazywa „wspaniałymi osiągnięciami polskimi” (magnifique réussites des alpinistes polonais). W tym samym numerze znajduje się artykuł Samivela, przypominający głośną kiedyś mistyfikację Karola Engliša z wejściem na Ostry Szczyt w Tatrach. Ofiarą tej afery padł rocznik CAF 1902.

OCHRONA PRZYRODY TATR

Taternicy zawsze czuli się współgospodarzami w swoich Tatrach, odpowiedzialnymi za utrzymanie ich przyrody w możliwie nienaruszonym stanie. Ostatni Walny Zjazd KW (20–21 II 1965) opowiedział się zdecydowanie przeciwko wprowadzeniu jakichkolwiek dalszych trwałych zmian w krajobrazie tatrzańskim, zaś wśród członków KW duże zaniepokojenie wywołała przeprowadzona w zimie 1964/65 bezsensowna akcja oczyszczania stoków ze śniegu z pomocą... moździerz.

Sprawie stosunku taterników do problemu ochrony przyrody Tatr poświęcone było też posiedzenie Prezydium ZG KW w dniu 4 V 1965. Uchwalono m. in. wzmóc akcję uświadamiania w zakresie ochrony przyrody, zwłaszcza wśród młodych taterników, oraz dążyć do zawiązywania w kołach komórek Ligi Ochrony Przyrody. Rozpatrywana była również sprawa przystąpienia do ŁOP Klubu Wysokogórskiego jako całości. W Tatrach postanowiono kontynuować akcję osadzania

stałych haków asekuracyjnych na popularnych drogach, co ma znaczenie zarówno z punktu widzenia ochrony skały, jak i redukcji do minimum zakłócania ciszy w górach.

SPOTKANIE UIAA W TATRACH

W dniach od 27 VI — 4 VII 1965 odbyło się na Hali Gąsienicowej zorganizowane przez Klub Wysokogórski pod egidą UIAA Międzynarodowe Spotkanie Kierowników Grup Młodych Alpinistów. Uczestniczyło w nim 19 delegatów z 8 krajów, przybył również naczelny redaktor pisma „Alpinismus”, Toni Hiebeler z NRF. Wspinaczki odbywano w otoczeniu Doliny Stawów Gąsienicowych, głównym tematem dyskusji były zagadnienia szkoleniowe oraz problemy sportowe w młodzieżowym ruchu alpinistycznym. Kierownictwo ogólne spotkania sprawował Adam Uznański, techniczne — Krystyna Salyga i Bogdan Mac. Dni w „Murowańcu” upłynęły w miłej atmosferze.

KW W CYFRACH

Na dzień 1 IV 1965 Klub Wysokogórski liczył 1387 członków. Najliczebniejzymi kołami były Warszawskie (334) i Krakowskie (294). W dalszej kolejności szły: Łódzkie (126), Gliwickie (86), Wrocławskie (85) i Katowickie (84). Od kwietnia 1964 ogólna ilość zwiększyła się o 160 członków. W maju i czerwcu br. niektóre koła notowały masowy napływ członków-sympatyków.

POMYSŁ „TATERNIKA” PRZYJĘTY

W artykule „Wspinajmy się bezpieczniej”, zamieszczonym w numerze 3–4/64 naszego pisma (s. 102–105), stwierdziliśmy pilną potrzebę zaprowadzenia ogólnoeuropejskiej kartoteki wypadków górskich i wysunęliśmy projekt, by sprawą tą zajęła się Międzynarodowa Unia Organizacji Alpinistycznych (zob. s. 103, przypis). Delegat Klubu Wysokogórskiego, a jednocześnie przewodniczący Komisji Programowej UIAA, dr Paweł Czartoryski, zgłosił pomysł ten na ostatnim Kongresie Unii, który obradował w dniach 26 i 27 VI 1965 w Utrechcie. Projekt został przyjęty i przekazany do realizacji jednej z komórek UIAA.

STULECIE ZDOBYCIA MATTERHORNU

11 lipca upływa sto lat od chwili zdobycia przez zespół Edwarda Whympera najpiękniejszego szczytu Alp, Matterhornu (4482 m). Z okazji tej kraje alpejskie ogłosił rok 1965 „rokiem „Alp”, a we Włoszech i Szwajcarii przygotowane zostały wielkie uroczystości, na które zostali zaproszeni również alpinści polscy. Po stronie włoskiej Klub Wysokogórski reprezentował Bolesław Chwaściński, w Zermatt — prezes KW, Czesław Bajzer oraz Stanisław Biel, Stanisław Kuliński i Jerzy Michalski.

LATO 1965

Kończąc druk niniejszego numeru możemy dorzucić kilka słów o wynikach sezonu letniego 1965. Wyjazdy w tym roku były liczne i przynosiły cenne sukcesy, na których czoło wybijają się 2 pierwsze przejścia w grupie Schiary w Dolomitach oraz I powtórzenie drogi Bonattiego na Filerze Narożnym Mont Blanc. Kilka nowych dróg przybyło również w Tatrach, gdzie niestety nie obyło się bez wypadków. M. in. na Galerii Gankowej zginęli E. Chełpa i J. Flach z Zakopanego.

Hindukusz w zdjęciach Berbeki

Dnia 6 stycznia 1965 r. otwarta została w salonie MPiK w Zakopanem (Dom Turysty) wystawa zdjęć Krzysztofa Berbeki z I Polskiej Wyprawy w Hindukusz w r. 1960. Otwarcia dokonał dr Jerzy Hajdukiewicz. Następnie z taśmy magnetofonowej odtworzono reportaż dźwiękowy J. Dąbrowskiej i W. Zadrowskiego, zawierający relację z przebiegu wypadku na Dent d'Herens w Alpach, w którego konsekwencji Berbeki stracił życie. W otwarciu wzięli udział przedstawiciele GOPR i Klubu Wysokogórskiego (m. in. prezes Koła, mgr Z. Korosadowicz), a także liczni zakopiańscy taternicy.

Zestaw zdjęć nie jest duży — w sumie około 30 fotogramów — daje jednak sugestywny obraz wielkich dzikich gór i trudu ich zdobywania. Oprócz tematyki alpinistycznej znalazło się też kilka zdjęć ukazujących egzotykę folkloru afgańskiego, który otacza alpinistę odbywającego podróż do stóp pasma. Szczególny wyraz ma zdjęcie małego ubożego miasteczka, całą gamą subtelnych szarości oddające leniwą martwość upalnego południa. Ze zdjęć ilustrujących przebieg samej działalności w górach uwagę zwracają portrety kierownika wyprawy, B. Chwaścińskiego, oraz jednego z tragarzy afgańskich. Doskonałą kompozycją wyróżnia się zdjęcie podchodzącego alpinisty (Z. Rubinowskiego).

Całość jest bardzo interesująca, a liczne oryginalne ujęcia świadczą o dużej świeżości spojrzenia autora i umiejętności wyszukiwania tego, co w nowym i niezwykłym dla niego świecie fotograficznie najciekawsze. Oglądając wystawę wprost uwierzyć się nie chce, że jej autor to nie doświadczony i wytrawny fotograf, lecz człowiek, który w tej sztuce stawiał dopiero pierwsze kroki. W późniejszych miesiącach wystawa była eksponowana w kilku innych miastach.

Janusz Vogel

Złota „rosa alpina”

Film „Hindukusz” S. Sprudina i W. Leśniewicza (zob. *Taternik* 3/61, s. 159) był pierwszym w ogóle filmem ukazującym Hindukusz Wachański. Na Festiwalu Filmowym w Trento w r. 1962 otrzymał on wysoką nagrodę „złotego radodendronu”, jako najlepszy wśród zaprezentowanych pełnometrażowy film górski (*Taternik* 1—2/63, s. 70). Tak o tym pisze miesięcznik „Mitteilungen des

DAV” nr 11/62, s. 183: „Mile uderza, że film ten pokazuje w sposób interesujący, wolny od patosu, a miejscami nawet z humorem, przebieg polskiej wyprawy w Hindukusz w r. 1960, której udało się m. in. dokonać I (?) wejścia na Noszak (7501 m). Film ten można nazwać prawdziwym filmem alpinistycznym, zresztą nie tylko z racji dokumentalnego autentyzmu, jaki go cechuje. Jego nagrodzenie spotkało się z pełnym uznaniem zarówno ze strony wszystkich gości festiwalowych, jak i krytyków”.

Morderstwo w dolinie Se Ab

Szerokim echem odbiło się w prasie — również i polskiej — smutne wydarzenie, jakie miało miejsce w Hindukuszu w lecie 1964 r. i chyba nie ma precedensu w historii światowych wypraw alpinistycznych. Chodzi mianowicie o morderstwo dokonane na dwóch uczestnikach „Münchner Hindukusch-Kundfahrt 1964” (kierownik Ernst Haase), która działała w północnej części Hindukuszu Centralnego w grupie Hodża Mohammed (Khwaja Muhammad) i dokonała wejść na 14 szczytów pięcioletnich (najwyższy 5620 m).

Pod koniec pobytu Wolfgang Haase odłączył się od grupy, zaś trzej pozostali alpinści postanowili zaatakować jeszcze dwa szczyty w północno-zachodnim krańcu doliny Rachuy. 12 sierpnia dwaj przypadkowo wynajęci Afganowie pomogli im rozbić obóz w dolince Se Ab na wysokości 4000 m. Mimo otrzymania wynagrodzenia, nie odeszli, lecz kręcili się w pobliżu namiotu. Po zapadnięciu ciemności rzucili w namiot kamieniem. Walter Straass, który się wychylił, otrzymał śmiertelny postrzał (jeden z tragarzy miał strzelbę), zaś dwaj pozostali — Erwin Rinkl i Ernst Haase — wybiegli z namiotu i rozpoczęli z Afganami walkę na kamienie, która przeciągnęła się do późnej nocy. W trakcie tej walki Rinkl został zabity kamieniami, zaś Haase postrzelony. Mimo ciężkiej rany zdołał zejść do brata po pomoc. Wolfgang zaalarmował miejscową ludność i przybył na miejsce wypadku. Obóz 4000 m był wykradzony, a w bazie brakowało lornetki i aparatów fotograficznych. Sprawców morderstwa ujęto następnego dnia na sąsiedniej hali.

Wyrok został wydany szybko: posiadacz strzelby skazany został na karę śmierci, zaś jego współnik — na 20 lat więzienia.

Symposium w Salzburgu

W dniach 6 i 7 grudnia 1964 r. odbyła się w Salzburgu (Austria), zorganizowana przez *Hochtouristengruppe der Sektion Salzburg des Oesterreichischen Alpenvereins*, konferencja alpinistyczno-naukowa poświęcona badaniom i eksploracji Hindukuszu, tzw. *Hindukusch-Tagung*. W konferencji brali udział przedstawiciele organizacji alpinistycznych z Austrii, Niemiec, Włoch, Japonii, Pakistanu, Jugosławii, Czechosłowacji (V. Šedivý i R. Kuchař) oraz Polski. Klub Wysockogórski reprezentowali: Bolesław Chwaściński, Andrzej Wilczkowski i Stanisław Zierhoffer.

Porządek obrad był następujący: 1. otwarcie obrad przez Rektora Uniwersytetu Salzburskiego; 2. Powitanie przez przedstawicieli władz lokalnych oraz organizacji alpinistycznych (w imieniu KW przemawiał B. Chwaściński); 3. referaty. Obradom przewodniczyli kolejno: Marcus Schmuck, prof. Karl Rathjens i Bolesław Chwaściński. Referaty wygłosili:

Dr E. Grotzbach (Monachium) — Stan i zadania badań w Hindukuszu Afgańskim.

Dr A. Diemberger (Salzburg) — Eksploracja alpinistyczna Hindukuszu.

Dr R. Pischinger (Graz) — Alpinistyczne możliwości między Tiricz Mirem i Istor-o Nal.

D. Hasse (Stuttgart) — Proponowany podział geograficzny Hindukuszu.

D. Dobeneck (Traustein) — Niemiecka wyprawa alpinistyczna w Wachan.

H. Pilz (Linz) — Wejście na Gunbaz-e Safed.

S. Kutschera (Leoben) — Kiszmi Chan.

B. Chwaściński (Warszawa) — Geneza I Polskiej Wyprawy, działalność I i II Polskiej Wyprawy.

A. Wilczkowski (Łódź) — III Polska Wyprawa.

Prof. G. Rapp (Wiedeń) — Badania botaniczne i biologiczne w północnym Pakistanie.

I. Trübsetter — Problemy językowe w Hindukuszu.

Dr H. Tollner (Salzburg) — Klimat w Hindukuszu.

W. Kick (Regensburg) — Obserwacje lodowców w Hindukuszu i Karakorum.

Prof. C. A. Pinelli (Rzym) — Hindukusz w rejonie Luncho.

Prof. F. Maraini (Rzym) — Kafirystan i jego mieszkańcy.

Zagraniczni referenci podkreślali pionierską rolę Polaków w Hindukuszu Wschodnim, a zwłaszcza ich zasługi w opracowaniu szkiców topograficznych terenów dotychczas nie objętych mapami. Szkice te, z których korzystały wszystkie wyprawy europejskie udające się w Hindukusz Wschodni, niewątpliwie przyczyniły się — ich zdaniem — do powodzenia wypraw.

W ramach *Hindukusch-Tagung* miał również miejsce publiczny odczyt dra G. Grubera (Graz), poprzedzony słowem wstępnym M. Schmucka. Dr Gruber mówił o III wejściu na Noszak oraz I wejściach na Sza-

chaur, Udren Zom i II wejściu na Kuh-e Nadir Szach. I on podkreślił w swym odczycie rolę Polaków, którzy położyli podwaliny pod poznanie Wschodniego Hindukuszu.

Bolesław Chwaściński

Poznańska wyprawa na Spitsbergen

W ostatnich dniach czerwca opuściła Polskę zorganizowana przez Koło Poznańskie KW wyprawa na Spitsbergen. W jej skład wchodzi 10 alpinistów i taterników, kierownikiem jest dr Ryszard W. Schramm. Cel stanowi atrakcyjny wspinaczkowo i znany już Polakom (zwłaszcza z r. 1959) obszar górski na południe od fiordu Hornsund, w rejonie najwyższego szczytu tej części Spitsbergenu — Hornsundtindu (1431 m). Wyprawa nastawia się na kontynuację rozpoczętej w r. 1959 sportowej eksploracji masywów, planując przejścia wspaniałych dziewiczych ścian Tindeggi (wschodnia, 1300 m wysokości), Kvasseggi (zachodnia), Mehestenu (zachodnia) i Hornsundtindu (północna).

Warto przypomnieć, że w poznaniu i zdobyciu Spitsbergenu ma alpinizm polski wielkie osiągnięcia. W trakcie wypraw urzędzanych od r. 1934 Polacy zdobyli tu ok. 70 szczytów, w tym na ok. 45 stanęli jako pierwsi ludzie.

Polacy na Everest?

Owocna działalność polska w Hindukuszu wykazała, że Klub Wysockogórski zdolny jest do podejmowania poważnych zadań w górach najwyższych. Przeświadczenie to znalazło m. in. odbicie we wniosku uchwalonym przez ostatni Walny Zjazd KW (20—21 II 1965), postulującym wszczęcie starań o zorganizowanie polskiej wyprawy na Mount Everest. Wniosek ma brzmienie następujące: „W świetle zdobytych doświadczeń eksploracyjnych Zjazd stwierdza konieczność powrotu do idei wyprawy na najwyższy szczyt świata, Mount Everest. W związku z powyższym Zjazd postuluje podjęcie konkretnych kroków w celu zapewnienia podstaw realizacji tego zamierzenia. Komisja Wypraw proponuje powołanie przez Zarząd komitetu organizacyjnego i koordynującego przyszłą wyprawę”.

Ambitny projekt został podchwycony przez prasę polską i na gorąco skomentowany („Życie Warszawy” 23 II 1965). Wiadomość powtórzyły również pisma w innych krajach, wywołując zrozumiałe zainteresowanie wśród alpinistów zagranicznych. Z prośbą o podanie bliższych szczegółów zwrócili się m. in. alpinisci radzieccy z Alma Aty.



Widok z grani nad doliną Urup na Acher Czloh (7020 m) i Kuh-e Tez (7015 m).

Fot. Marian Bała

Czechosłowacka wyprawa w Hindukusz

Nasi sąsiedzi zza Tatr przejawiali żywe zainteresowanie wynikami polskiej działalności w Hindukuszu, jednakże dopiero w tym roku (1965) zdołali zorganizować własną wyprawę. Nosi ona nazwę „I československá horolezecká expedice” i została zaplanowana z dużym rozmachem. Mówi o tym chociażby zestaw nazwisk uczestników, obejmujący całą niemal czechosłowacką czołówkę: Rudolf Antoníček, Jan Cervinka, Milan Daniel, Ivan Gálfy, Vilém Heckel, Miroslav Jaškovský, Radovan Kuchař, Miloš Matras, Josef Psoška, Vladimír Sedivý (kierownik), Vlastimil Smída, Ivan Urbanovič, Jaromír Wolf (lekarz). 9 z nich ma tytuły „mistrzów sportu”, w tym 1 „zasłużony mistrz sportu”. Średni wiek: 37 lat (31—47), wszyscy żonaci. Sylwetki omówiło obszernie pismo „Turista” nr 6/65, s. 209—211. Alpinistom towarzyszy filmowiec Bedřich Roger.

Wyprawa ma rozległy program zdobywczy i naukowy. Interesuje się głównie wschodnią

częścią Hindukuszu Wachańskiego. W połowie czerwca ekipa opuściła Czechosłowację, zabierając m. in. 1500 kg żywności i 150 kg leków.

Po drugiej stronie globu

Mathias Rebitsch, austriacki alpinista i podróżnik, autor głośnej książki alpinistyczno-archeologicznej „Die silbernen Götter”, bawił znowu w Andach, na czele „Atacama-Expedition 1965”. Do Klubu Wysokogórskiego nadeszła od niego pocztówka następującej treści: „Buenos Aires, 12 VI 1965. Z kolejnej wyprawy w Puna de Atacama — śladami Waszych pionierów z roku 1937 — przesyłam najlepsze górskie pozdrowienia. Byliśmy w rejonie Ojos del Salado i udało nam się zdobyć kilka szczytów. Mathias Rebitsch”. Nie potrzeba chyba dodawać, że „nasi pionierzy z roku 1937”, to II Polska Wyprawa w Andy, prowadzona przez niedawno zmarłego Justyna Wojsznisa.

Przeźrocza himalajskie

W r. 1964 ukazała się w sprzedaży seria przeźroczy obrazujących przyrodę i eksploatację Himalajów. Przeźrocza te zostały zatwierdzone przez Ministerstwo Oświaty jako pomoce szkolne w nauczaniu geografii. I zestaw (opracowanie: Lech Wróblewski) składa się z 3 filmów: „Himalaje, najwyższe góry ziemi”, „Trudy i radości wypraw himalajskich” oraz „Nepal”. II zestaw (opracowanie: Jerzy Hajdukiewicz i Lech Wróblewski) podzielony jest na 2 części i nosi tytuł „Dhaulagiri — zdobywcze himalajskiego olbrzyma”. Przeźrocza te można nabyć w cenie 12 zł za rolę zamawiając za zaliczeniem pocztowym w „Sklepie Wzorcowym WS”, Warszawa, ul. Marchlewskiego 15/17.

Plany na rok 1966

Polscy alpinści wyspecjalizowali się w Hindukuszu i nie zamierzają poprzestać na wynikach trzech wypraw. Na lato 1966 zgłosiły gotowość zorganizowania dwóch nowych ekspedycji środowiska krakowskie i poznańskie.

Koło Poznańskie KW chciało skierować się tym razem w góry północnego Badachszanu, nie eksplorowane dotąd alpinistycznie, a kryjące jak się zdaje gniazda szczytów sześciotysięcznych. Koło Krakowskie nosi się z innym planem. Pragnie ono sko-

rzystać z już wydeptanych ścieżek i powiększyć liczbę zdobytych przez Polaków siedmiotysięczników, a także kontynuować prace pomiarowe i kartograficzne, w które jego zespół włożył już tyle pracy.

Ponieważ w organizowaniu wypraw w Hindukuszu oba koła dysponują dużym doświadczeniem, można mieć nadzieję, że nie poprzestaną tylko na planach.

Zdobywca Saragar w Polsce

Wśród uczestników tegorocznego Międzynarodowego Spotkania UIAA w Tatrach (por. s. 66) znalazł się jako delegat Włoch znany alpinista dolomitowy Paolo Consiglio, dyrektor i współzałożyciel *Scuola Nazionale Alpinismo della SU CAI Roma*, jeden z 8 członków włoskiej wyprawy na Saragar w r. 1959 i jeden z 4 zdobywców tego szczytu (7349 m). W rozmowach ocenił on bardzo wysoko polską działalność w Hindukuszu i prosił o dostarczenie mu szczegółowych materiałów na ten temat. Na odjeździe ofiarował on Klubowi Wysokogórskiemu książkę „Paropàmiso” F. Marainiego, z następującą dedykacją:

Przyjaciółom z Klubu Wysokogórskiego na pamiątkę wspaniałych dni wspólnie spędzonych w Tatrach — z nadzieją na szybki powrót, z nadzieją, że granice niedługo będą tylko wspomnieniem i nie będą istniały tak, jak nie istnieją pomiędzy alpinistami jakichkolwiek krajów. Paolo Consiglio.

Sprostowania i uzupełnienia

UNSOELD NA EVEREŚCIE

W moim artykule o amerykańskim wejściu na Everest zamieszczonym w numerze 1—2/64 „Taternika” nie dostrzeżony w korekcie błąd literowy na s. 22 spowodował zasadnicze zniekształcenie treści. Otóż w butli Unsoelda tlen wyczerpywał się szybko, a nie „wyczerpał”, jak wydrukowano, błędnie informując, że przynajmniej jeden wspinacz ostatniej dwójki szczytowej zdobył Everest bez tlenu. W danych warunkach nie miało to oczywiście miejsca, gdyż tlenu — choć skąpo — wystarczyło do wierzchołka. Być może, iż w przypadku wcześniejszego opróżnienia się butli dwójka i tak atakowałaby szczyt, a to z uwagi na podobne (a może nawet większe) ryzyko odwrotu trudną granią zachodnią, ale to już sfera teoretycznych rozważań. Faktycznie dokonali wielkiego trawersowania, w którym korzystanie z tlenu niczym nie umniejsza wielkości wyczynu.

Na marginesie chciałbym przypomnieć, że jak dotychczas tylko 3 Chińczykom w r. 1960 udało się wejść na Everest bez tlenu, którego zapas wyczerpał im się 45 m pod wierzchołkiem (zob. „Taternik” 1/61 s. 6—7). W drodze powrotnej skorzystali oni z niezżytego zapasu tlenu Liu Lin-mana, który czekał na nich wyczerpany na wysokości 8700 m, nie korzystając z respiratora.

Wyczyn ten dał dowód niezwyklej bojowości i szczerego zaangażowania ideowego alpinistów chińskich, wkraczających na arenę światowej walki o najwyższe szczyty Himalajów.

Lech Wróblewski

WIELKA TERIAŃSKA TURNIA

Od Antoniego Sidorowicza w Wrocławiu otrzymaliśmy sprostowanie informacji podanej w numerze 3—4/1960 naszego pisma. Chodzi mianowicie o II przejście północno-wschodniego filara Wielkiej Teriańskiej Turni, którego dokonał A. Sidorowicz wraz z Wojciechem Świerczkowskim w dniu 6.VII.1958, a nie — jak pisaliśmy na s. 37 cytowanego numeru — Andrzej Nowacki i Adam Szurek w dniu 11.IX.1960. Przejście tej drugiej dwójki byłoby tym samym trzecim z kolei.

CZEKAN — LASKA GÓRALSKA?

„Słownik wyrazów obcych” PIW doczekał się niedawno dziesiątego wydania (1964), a ciągle jeszcze pokutuje w nim błędna definicja podstawowego składnika naszego ekwipunku zimowego, mianowicie czekana: „czekan (tur. czakan, od czakmak bić) 1. laska góralska z rękojęcią w

kszałcie toporka, używana przy wspinaczce wysokogórskiej, np. do rąbania stopni w śniegu i lodzie (...)” Jak widać, czekam pomyłono tu wyraźnie z ciupagą. Laską od biedy można go nazwać, ale w żadnym razie nie góralską, zaś rękojeść (poprawniej: głowica) nie przypomina bynajmniej toporka, lecz kończy się z jednej strony dziobem, a z drugiej łopatką.

Nie jest też wolne od usterek hasło „alpinizm”. Dla języka polskiego definicja tego pojęcia wymaga zastrzeżenia, iż turystyka wysokogórska w Tatrach zwana jest „taternictwem”, nie odpowiada też naszej współczesnej praktyce językowej twierdzenie, jakoby „alpinizmem” mogli się zwać „ogół wiadomości o przyrodzie alpejskiej”. W hasle „asekuracja” zbędne jest podhasło 4. W objaśnieniu „fönnu” warto by dodać, że jest odpowiednikiem tatrzańskiego halnego wiatru.

Józef Nyka

STASZYSZYN W KAUKUSZU

Do r. 1960 mało kto w Polsce umiał bez wahania wskazać Hindukusz na mapie świata. Kolejne wyprawy wiele w tym względzie zmieniły, mimo to nie brak jeszcze ludzi, którym Hindukusz myli się z... Kaukazem. Przykładem nazwa „Kaukusz” stworzona przez „Express Poznański” (nr 209/63), a ostatnio recenzja wstawy Z. Staszyszyna, zamieszczona w „Dzienniku Łódzkim” z dnia 6.II.1965. Czytamy w niej, co następuje: *Latem ub. roku (o czym obszernie informowaliśmy z tytułu przyjętego na siebie patronatu) wyruszyła w Hindukusz Afgański pierwsza łódzka wyprawa alpinistyczna. Towarzyszył jej wówczas młody alpinista, reporter CAF Zbigniew Staszyszyn, który postanowił utrwalić na taśmie fotograficznej relację z tej wyprawy. Rezultaty jego kronikarskiej działalności mamy obecnie możliwość oglądać na wystawie pt. „Bezingi 64”.*

Taternik

Орган Польского Высокогорного Клуба
Organ of the Polish Mountaineering Club
Revue du Club Polonais de Haute Montagne
Organ des Polnischen Bergsteigerklubs

Volume, Jahrgang, том: XLI (1965) Nos 1—2 (186—187)
Redaktor, editor, rédacteur: Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18 (Pologne).
Tel. 41-07-87.

Журнал „Татерник” выходит 4 раза в год и издается Польским Высокогорным Клубом. Журнал „Татерник” высылается в обмен альпинистским и спелеологическим издательствам.

The journal „Taternik” is published four times a year by the Polish Mountaineering Club (Klub Wysokogórski). It is sent in exchange for mountaineering or speleological publications.

La revue trimestrielle „Taternik” est une publication du Club Polonais de Haute Montagne (Klub Wysokogórski). La revue vous sera expédiée en échange contre les publications du domaine de l'alpinisme et de la spéléologie.

Die Zeitschrift „Taternik” erscheint vierteljährlich, herausgegeben vom Polnischen Bergsteigerklub (Klub Wysokogórski). Sie wird gegen alpinistische, späleologische oder touristische Publikationen ausgetauscht.

СОДЕРЖАНИЕ

Гиндукуш 19262—1964. Альпинистские экспедиции (Б. Хвасьцински)	2	Как был побежден Кух-э Мандарас (С. Циргоффер)	20
Семьтысячники Гиндукуша (М. Вала)	7	Особенности климата (Е. Миткевич)	22
Польская Экспедиция в Гиндукуш 1962 года (Р. В. Шрамм и С. Циргоффер). Главные первовосхождения: Кух-э Надир Шах (7125 м), Кух-э Тез (7015 м), Кух-э Мандарас (6631 м), М 3 (6100 м), М 4а (6274 м), М 5 (6000 м)	9	Первовосхождение на Кух-э Тез М. Барановски)	23
Штурм пика Надир Шаха (С. Циргоффер)	15	Результаты экспедиции (Р. В. Шрамм)	27
Покорение Кух-э Надир Шаха (А. Гонсиоровски)	18	Польская Экспедиция в Гиндукуш 1963 г. (А. Вильчковски). Экспедиция группы г. Лодзи. Первовосхождения: Лангута-э Барфи (7017 м), М 2 (6588 м), Алуар (6440 м). Тротье восхождение на Кишмихан (7177 м)	31
		На Кишмихан по новому пути (Б. Мац)	39
		Пик М 2 взят! (Е. Михальски)	47

Первосхождение на Лангута-э Барфи (Е. Варгересевич)	49
По контрфорсу Шахаура (Е. Михальски)	51
Снаряжение (Б. Мау)	53
Медицинские вопросы (М. Грычынски)	56

Вклад польских альпинистов в дело исследования высокогорного Гиндукуша (С. Бель)	59
Траурный листок — с. 63. Из литературы — с. 64. Записки — с. 66. Приложения — с. 70.	

SUMMARY

	Page		
The Hindu Kush and the Polish Mountaineering (J. Nyka)	1	The First Ascent of the Kuh-e Tez (M. Baranowski)	23
The Hindu Kush 1962—1964. Retrospect and Prospect (B. Chwaściński)	2	Hindu Kush 1962 — Summary of Results (R. W. Schramm)	27
The 7000-metre Peaks of Hindu Kush (J. Wala)	7	The III Polish Hindu Kush Expedition, 1963 (A. Wilczkowski). The leader: A. Wilczkowski. The first ascents: Languta-e Barfi (7017 m), M 2 (6588 m), Auwar (6440 m). The third and fourth ascent of Kishmikhhan (7177 m)	31
The II Polish Hindu Kush Expedition, 1962 (R. W. Schramm and S. Zierhoffer). The leader: S. Zierhoffer. The first ascents: Kuh-e Nadir Shah (7125 m), Kuh-e Tez (7015 m), Kuh-e Mandaras (6631 m), M 3 (approx. 6100 m), M 4a (6274 m), M 5 (approx. 6000 m)	9	The Kishmikhhan by a New Route (B. Mac)	39
The Road to the Kuh-e Nadir Shah (S. Zierhoffer)	15	The Ascent of M 2 (J. Michalski)	47
The Ascent of Kuh-e Nadir Shah (A. Gąsiorowski)	18	The First Ascent of Languta-e Barfi (J. Warteresiewicz)	49
How we Climbed the Kuh-e Mandaras? (S. Zierhoffer)	20	Mountain Equipment (B. Mac)	53
Weather Conditions (J. Mitkiewicz)	22	Some Medical Problems (M. Gryczyński)	56
		The Polish Exploration of the Hindu Kush (S. Biel)	59
		Obituary — p. 63. Book Reviews — p. 64. Current News — p. 66. Miscellanea — p. 67. Corrections — p. 70.	

SOMMAIRE

	Page		
La chronique du Hindou Kouch 1962—1964 (B. Chwaściński)	2	Les neiges du Kuh-e Tez (M. Baranowski)	23
L'Hindou Kouch — les massifs dépassant 8000 m (J. Wala)	7	L'expédition Polonaise 1963 au Hindou Kouch (A. Wilczkowski). Les participants ont gravi le Kishmikhhan (7177 m, 3. et 4. ascension), Languta-e Barfi (7017 m), M 2 (6588 m) et Auwar (6440 m)	31
L'Expédition Française-Polonaise au Hindou Kouch, 1962 (R. W. Schramm et S. Zierhoffer). L'expédition, dirigée par S. Zierhoffer, a réussi les premières ascensions du Kuh-e Nadir Shah (1725 m), Kuh-e Tez (7015 m), Kuh-e Mandaras (6631 m), M 3 (6100 m), M 4a (6264 m), M 5 (6000 m) et Auwal (5800 m)	9	Kishmikhhan (B. Mac)	39
Kuh-e Nadir Shah — premiers contacts (S. Zierhoffer)	15	La conquête de Languta-e Barfi (J. Warteresiewicz)	49
Kuh-e Nadir Shah — le sommet (A. Gąsiorowski)	18	Shakhaur — la tentative sur l'éperon nord (J. Michalski)	51
La conquête de Kuh-e Mandaras (S. Zierhoffer)	20	Equipment et matériel (B. Mac)	53
		La contribution polonaise à l'exploration du Hindou Kouch (S. Biel)	59
		Nécrologie — p. 63. Les livres nouveaux — p. 64. Notes diverses — p. 66. Corrections — p. 70.	

INHALTSVERZEICHNIS

	Seite		
Hindukusch und das polnische Expeditionswesen (J. Nyka)	1	gen (R. W. Schramm)	27
Hindukusch-Rundschau 1962—1964 (B. Chwaściński)	2	Haben die Salzburger die falschen Gipfel bestiegen? (S. Biel)	29
Die Siebentausender des Hindukusch (J. Wala)	7	III Polnische Hindukusch-Expedition, 1963 (A. Wilczkowski) Organisation: Sektion Łódź. Leitung: A. Wilczkowski. Erstbesteigungen: Languta-e Barfi (7017 m), M 2 (6588 m), Auwar (6440). Dritte und vierte Besteigung des Kishmikhhan (7177 m)	31
II Polnische Hindukusch-Expedition, 1962 (R. W. Schramm und S. Zierhoffer). Leitung: S. Zierhoffer. Erstbesteigungen: Kuh-e Nadir Shah (7125 m) Kuh-e Tez (7015 m), Kuh-e Mandaras (6631 m), M 3 (ca. 6100 m), M 4a (6274 m), M 5 (ca. 6000 m). Erfolgreiche kartographische Arbeiten	9	Der Kishmikhhan (B. Mac)	39
Ringen um den Kuh-e Nadir Shah (S. Zierhoffer)	15	Auf dem Gipfel des M 2 (J. Michalski)	47
Die Eroberung des Kuh-e Nadir Shah (A. Gąsiorowski)	18	Erstbesteigung des Languta-e Barfi (J. Warteresiewicz)	49
Wie der Kuh-e Mandaras bestiegen wurde? (S. Zierhoffer)	20	Shakhaur-Nordpfeiler — Vorstoß und Rückzug (J. Michalski)	51
Meteorologische Notizen (J. Mitkiewicz)	22	Der „Landlord“ (M. Eiselin)	52
Lavinentage am Kuh-e Tez (M. Baranowski)	23	Die Ausrüstung (B. Mac)	53
Hindukusch 1962 — Ergebnisse und Erfahrungen (R. W. Schramm)		Ärztliche Probleme der Expedition (M. Gryczyński)	56
		Die polnische Erforschung des Hohen Hindukusch (S. Biel)	59
		Nekrologe — S. 63. Schriftenschau — S. 64. Informationen — S. 66. Nachträge — S. 70.	

TATERNIK

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego poświęcony sprawom taternictwa, alpinizmu i speleologii.

Redaktor: Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18.

Zastępca redaktora: Jan Staszal, Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7.

Komitet Redakcyjny: Ryszard Gradziński, Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm, Jan Alfred Szczepański i Piotr Żółtowski.

Adres redakcji: Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 410787.

Adres administracji: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439. Tel. 266956.

Prenumerata: „Taternik” ukazuje się w 4 zeszytach rocznie. Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują pismo w ramach składek członkowskich poprzez koła terenowe. Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz oddziały i delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Wpłaty przyjmowane są do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: półrocznie — zł 20, rocznie — zł 40. Prenumeratę na zagranicę (o 40% droższą) przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 204688, konto PKO nr 1-6-100024.

Egzemplarze numerów archiwalnych można nabywać (zamawiać) w administracji „Taternika” lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17, konto PKO nr 114-6-700041 VII O/M Warszawa.

Wymiana: „Taternika” wysyła się na wymianę za wydawnictwa o pokrewnym charakterze (alpinistyczne, turystyczne, krajoznawcze, geograficzne, speleologiczne itp.). Wymienę załatwia redakcja pisma.

Wydawca: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439, tel. 266956.

Realizacja: Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa, ul. Rutkowskiego 7/9, tel. 262451.

Druk: ZPLSW.745c/65.2500.E-48.



WYDAWNICTWO »SPORT I TURYSTYKA«

Cena zł 20

<http://pza.org.pl>